

*„...Przedmiotem miłości do Ojczyzny są:
ziemia i ludzie, na której oni mieszkają, ich praca, obowiązki i sukcesy.
Najpierw należy poznać swoją ziemię, a z nią i swój Naród
a wtedy i ich kulturą opiekować, i bronić, je przed wrogiem.
Niezbędnie posiadać swój język, wiarę, historię,
literaturę piękną, sztukę, muzykę, obyczaje;
dobro oddzielić od zła, prawdę od kłamstwa
oraz troszczyć się o to, aby obronić się od niedobrych i złych rzeczy,
i razem dbać o rozwój dobrego...”*

X. Jan Wasilewski, 13.I.1926, Łotwa-Łatgalia (Infanty Polskie)

SPIS TREŚCI

Franciszek Lachocki, <i>Polesie - Mój Dom</i>	2
HISTORIA NASZYCH MAŁYCH OJCZYŹN – PELISZCZE	
Antoni Paszkowicz, <i>Historia budowy kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusowego i Serca Maryi w Peliszczach</i>	3
POLSKA I POLACY	
Aleksander Siemionow, <i>Polska i Polacy</i>	23
RELIGIA	
Mikołaj Własiuk, <i>Kościół Serca Pana Jezusa na Grajewce – nieznane, małe arcydzieło architektoniczne międzywojennego Brześcia</i>	27
Zbigniew Sulatycki, <i>Wspomnienie o Wielkim Polaku i Wielkim Kapłanie (śp. ks. Józef Obrębski)</i>	31
Urszula Adamska, <i>Niepokonany Kardynał Białorusi, Kazimierz Świątek</i>	33
Z NASZEGO ŻYCIA	37
KULTURA	
Jerzy Waszkiewicz, <i>Polsko-białoruskie związki kulturowe w XIX i na pocz. XX w., cz I</i>	45
Marta Czerwieniec, <i>Zabytkowe cmentarze dawnego województwa poleskiego</i>	49
RODY POLESKIE	
Lilia Potonia, Eugeniusz Lickiewicz, <i>Tołłoczkwie</i>	54
LEKTURA DLA CIEBIE	
Natalia Hartmann-Kisłowska, <i>Saga Poleska</i>	57
Anatol Franciszek Sulik, <i>„Hameryka” dziadka Giełguda</i>	66
Z LISTÓW CZYTELNIKÓW	73
<u>Autorzy listów:</u> Dariusz Morsztyn, Tadeusz Jasiewicz, Janusz Kamiński, Józef Brucko-Stempkowski, Janina Pisanko-Świeżewska i in.	

‘ECHA POLESIA’

Kwartalnik Zjednoczenia
Społecznego „Związek
Polaków na Białorusi”

Założyciel:

ODDZIAŁ BRZESKI
ZS „Związek Polaków
na Białorusi”

Adres Redakcji:

Brześć, 224023
ul. Moskiewska 344 – 56
e-mail:
klub_polski@wp.pl
www.echapolesia.pl
tel.: w Brześciu:
00-375-162/42-45-72

Redaktor naczelny:

Alina Jaroszewicz

Numer ukazał się przy
współudziale Senatu RP,
Fundacji „Pomoc Polakom
na Wschodzie” i Fundacji
Pomocy Szkołom Polskim
na Wschodzie im. T. Goniwicza
oraz Ofiarodawców

Adres korespondencyjny:

Fundacja im. T. Goniwicza
20-611 Lublin
ul. Kazim. Wielk. 9/60
tel. (81) 747-6163
kom.: 605-828-137
e-mail:
fundgon@gmail.com

Skład i łamanie:
Dorota Kapusta

Druk: Wydawnictwo Muzyczne
POLIHYMNIA



Polesie – mój Dom

Ziemio moja poleska, w puszczach zagnieżdżona,
ty mi stajesz w pamięci po nocach i we dnie,
grzybami pachnąca, zielenią nasycona,
do ciebie me myśli wracają bezwiednie.

Myślami tam błędzę – nad Jesiołdą i Piną,
po Muchowcu pływam łódką płaskodenną –
i te wszystkie widoki z oczu mi nie giną,
choć jestem zajęty mą pracą codzienną.

A ileż było tajemnic w poleskich moczarach,
gdzie kwitła pełna wolność ptactwa i zwierzyny,
gdy ranek wstał po nocy we mgłach i oparach,
i słońce suszyć zaczęło mokre listki olszyny...

I widzi się te czajki, pobudkę grające –
i błotnych piosenkarzy, cietrzewie na tokach,
stadko śmigłych cyranek nad bagnami mknące –
i szare gęsi daleko w obłokach...

Poleszuk jest panem i tych bagien księciem,
zaślubiony z lasem, z niedostępną rzeką, –
cichy mocarz natury, przekonany święcie,
że Polesie dla niego... – i domem i mekką.

Franciszek Lachocki

18 III 1985 r.

Redakcja dziękuje Pani Janinie Pisanko-Świeżewskiej
za nadesłanie powyższego wiersza

Drodzy Czytelnicy,

Gorąco polecam Państwu tę ujmującą historię wsi Peliszcz, napisaną przez Antoniego Paszkiewicza. Myślę, że warto to przeczytać nie tylko miłośnikom Ziemi Kamienieckiej, a każdemu, kto pragnie poznać prawdziwą historię swojego narodu. W „Historii budowy kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusowego i Serca Maryi” autor przedstawił panoramę życia kresowej wsi polskiej we wszystkich płaszczyznach – socjalno-politycznej, religijnej, etnograficznej, obyczajowej, tworząc prawdziwy i pełny obraz, który staje się dziś unikatowym, niepodważalnym świadectwem naszej historii.

„Ziemia jest ciałem naszej Ojczyzny, lecz Ojczyzna ma swoją duszę – swój duch. Duszą Ojczyzny jest życie naszych przodków i naszego narodu, trud i nasza działalność” – tak pisał związany z naszą ziemią ks. Jan Wasilewski. Mieszkańcy Peliszc w latach carskiej niewoli 1794-1918 wbrew wszystkiemu zachowali wiarę ojców, poczucie tożsamości narodowej i ludzkiej godności. W latach caratu modlitewniki pełniły rolę elementarza dla dzieci i dorosłych. Dzięki Kościołowi katolickiemu zachowana została historyczna łączność z kulturą i cywilizacją zachodnią oraz przedzaborowa tolerancja, która wyrażała się w przyjaznym współżyciu katolików, prawosławnych, unitów, przedstawicieli różnych narodowości.

Przez stulecia w Peliszczach nie było swojego kościoła ani kaplicy, ale Peliszczanie po całotygodniowej ciężkiej pracy na roli, z butami na przedramieniu, dzielnie pokonywali 20 km do kościoła w Kamieńcu. Nabożeństwa majowe, czerwcowe, czy październikowe odbywały się też w domach wiernych, co sprzyjało jedności i solidarności mieszkańców, budowało poczucie wspólnoty. Normą były też systematyczne piesze pielgrzymki, czy podróże do udzielenia nieodzownej pomocy w rolnym gospodarstwie parafialnym. Ważną rolę odgrywało też wspólne śpiewanie Gorzkich Żali, Godzinek, pieśni patriotycznych i obrzędowych przez młodych, i starszych. Do dzisiaj chór peliszczański (tradycyjnie lepszy od chóru w Kamieńcu czy nawet w Brześciu) wykonuje pieśni z okresu powstania styczniowego, starannie zapisane w szkolnych zeszytach w kratkę, przepisywane z pokolenia na pokolenie. Praktyki religijne w latach caratu kształtowały świadomość narodową, postawę patriotyczną, wychowywały wysoką moralność w rodzinie i współżyciu rodzin mieszanych.

Droga budowy „swojego” kościoła w Peliszczach była długa, żmudna, dramatyczna, ale dzięki ofiarnej pracy, wielkiemu poświęceniu i świętemu uporowi mieszkańców, doprowadziła ich do celu. Myślę, że nie mogło być inaczej, gdyż był już od dawna zbudowany w Peliszczach ten prawdziwy kościół żywy, kościół niewidzialny – żył w sercach Peliszczan, w ich świadomości, marzeniach, myślach, czynach. I była prawdziwa wspólnota. Z wielkim wzruszeniem czytam o życiu zwykłych ludzi „sprzed wojny” – o ich niesłychanej pracowitości, szlachetności, heroicznym poświęceniu Bogu, Ojczyźnie – dużej i tej małej. Jestem przekonana, że takich wspomnień nie ma i nie mogło być w Europie Zachodniej, gdyż takiej historii – zaborów, walki, niszczenia, przetrwania i odrodzenia poza Polską nie ma. Jakie piękne by było nasze życie i nasz świat, gdyby nie było nawału dwóch niszczycielskich totalizmów, gdyby nie zginęli najlepsi synowie naszej Ziemi, gdyby dali oni godne potomstwo... A dziś mamy po 70 latach zniewolenia – tyle strat, tyle bólu, zniszczeń, szczególnie w sferze ducha...

Tym cenniejszy jest ten tekst Antoniego Paszkiewicza, który zachował dla nas „powietrze historii”, ducha tamtych lat, za którym dziś nam tak tęskno. Czytajmy, przekazujmy innym. Proszę Was, byście tworzyli historię o swoich wsiach i miasteczkach, o swoich rodzinach – będą to kolejne odkryte karty naszej historii, najlepszy pomnik naszym przodkom, ale także cegiełki do budowania lepszej przyszłości, do wychowania i kształcenia przyszłych pokoleń. Dzisiejsi Peliszczanie mogą być dumni ze swojej przeszłości. W następnych numerach „Ech Polesia” opowiemy Czytelnikom o tym, czym żyją, jak wychowują i uczą swoje dzieci obecni mieszkańcy Peliszc, co doświadczyli w nowych realiach, w których musieli pozostać na swojej ziemi i żyć dalej, i trwać.

Zachowajmy pamięć o tych skromnych, wielkich budowniczych Kościoła i nowej Polski. Dziękuję za wykonaną wielką i szlachetną pracę autorowi Panu Antoniemu Paszkiewiczowi, za przekazane materiały Pani Halinie Mickiewicz z Peliszc, Panu Profesorowi Jerzemu Perdeni, potomkowi tej ziemi – za pomoc w przygotowaniu materiału do druku, a także za udostępnienie fotografii z rodzinnego archiwum.

Alina Jaroszewicz

HISTORIA BUDOWY KOŚCIOŁA POD WEZWANIEM NAJŚWIĘTSZEGO SERCA JEZUSOWEGO I SERCA MARYI W PELISZCZACH

Wstęp

Zamiar napisania historii w Peliszcach zrodził się w 1984 r., w 50-tą (1934-1984) rocznicę odprawienia w nim pierwszej mszy św. – 18.11.1934 r. – po wybudowaniu i udostępnieniu go wiernym, przed całkowitym wykończeniem i konsekracją.

Nieżyjący od 1967 r. mój ś.p. ojciec często wyrażał życzenie, żeby ktoś opisał dzieje budowy kościoła w Peliszcach. Należał do najściślejszego grona inicjatorów budowy i najaktywniejszych członków Komitetu Budowy Kościoła. Emocjonalnie przeżywał wszystkie dobre i złe chwile w okresie budowy. Robocze narady komitetu odbywały się w naszym domu i wiele charakterystycznych faktów utkwilo w jego pamięci. Gdy ojciec wraz z rodziną w 1941 r. został zesłany na 20 lat katorgi syberyjskiej, przedstawiciele władzy radzieckiej w asyście NKWD, zabierając go z domu, oświadczyli: „Pojedziesz tam (na Sybir) budować kościoły, tylko nikt ci już paczki z żywnością nie wyśle”¹.

Po szczęśliwym powrocie z zesłania w 1946 r. i osiedleniu w okolicy Torunia, ojciec często wracał myślami do rodzinnej wsi na Polesiu i zbudowanego tam kościoła. Jego marzeniem było opisanie dziejów budowy. Po upływie 50 lat jego działalności, spełniam marzenie mego ojca. O celowości opisu budowy kościoła w Peliszcach i związanym z tym wysiłkiem społeczności wiejskiej w czasie kryzysu ekonomicznego upewniły mnie też rozmowy z ludźmi, którzy brali udział w tych zamierzeniach i pokonywaniu trudności. Tym bardziej, że w czasie ciężkich przeżyć wojennych i zmian po II wojnie światowej zbudowany kościół godnie spełniał i dziś spełnia swoją rolę Domu Bożego. Na oceanie popieranego oficjalnie bezbożnictwa, kościół ten stał się wysepką nadziei i przetrwania wiary. Dawał pociechę duchową katolikom z Kamieńca, Szereszewa, Prużany,

Tewli, Kobrynia, Żabinki, Czernawczyc, Wysokiego Litewskiego i Wierzchowicz. Legły w gruzach zabytkowe stare świątynie w Kiwaticzach, Zbirogach, Prużanie, lub zostały zamienione na inne cele w Brześciu, Wysokiem Litewskim, Raśnej, Wierzchowiczach, Kamieńcu Litewskim, a wybudowana z trudem świątynia w Peliszcach stoi i jest źródłem czerpania siły duchowej. Ta na pozór mała wiejska świątynia stała się żywą placówką zachowania wiary ojców.

Opracowanie to dotyczy ograniczonego kręgu odbiorców, staram się jednak wypełnić wolę mego ś.p. ojca, aby zachować przyszłym pokoleniom pamięć o staraniach inicjatorów i budowniczych kościoła. Młode pokolenie powinno znać przeszłość i jak najdłużej zachować pamięć o rodzinnym gnieździe. Podstawowe materiały wykorzystane w tej pracy to relacje naocznych świadków tej budowy. Wiele zebranego materiału zawdzięczam moim współrodakom, którzy udostępnili posiadane dokumenty i przypominali o wydarzeniach godnych uwagi. Serdeczne podziękowanie pragnę wyrazić za życzliwość i okazaną pomoc. W szczególności Wincentemu Szelukowskiemu, Antoniemu Markucowi, Danucie i Waławowi Trzeciakom, Marii Majczuk, Stefanowi Trzeciakowi, Janinie Kołybskiej, Janowi Żukowi, Józefowi Jurcowi, Janowi Majczukowi.

Niezwykle cenny był obszerny artykuł „Budowa kościoła w Peliszcach” zamieszczony w nr 22 gazety „Polesie” z dnia 1.VI.1930 r., który podpisał Peliszczanin.

Pożar kościoła parafialnego w Kamieńcu Litewskim

W lipcu 1924 roku przez kilka dni każdego wieczoru, mniej więcej o tej samej porze, przechodziła nad Kamieńcem burza połączona z wyładowaniami elektrycznymi. W nocy z 24 na 25 lipca już od zmierzchu, po upalnym dniu, nadszedł duszny i parny wieczór, zwiastujący nadejście letniej burzy. Około godziny 23 od strony północno-wschodniej nadeszła chmu-

¹ Wysyłkę paczek żywnościowych pierwszym zesłańcom (osadnicy i leśnicy) wywiezionym w lutym 1940 roku na Sybir zorganizowali: Emilia Jahołkowska, Tomasz Paszkowicz, Kazimierz Karlikowski i inni mieszkańcy Peliszc i okolic.

ra. Z której wraz z piorunami lunęły strugi deszczu. Podczas błyskawic było jasno jak w słoneczny dzień. Chwilami trwał jednostajny grzmot podtrzymywany niezliczoną ilością błyskawic.

Zbudzeni ze snu ludzie i ci, którzy widząc nadciągającą burzę nie poszli jeszcze spać z lękiem patrzyli na szalejący nad miastem żywioł. Wtem, wśród grzmotów, rozległ się nierównomierny, przeraźliwy jęk dzwonu kościelnego, któremu rozpaczliwie towarzyszyła sygnaturka. Dzwony o tej porze były znakiem alarmu i trwogi przed nadciągającym niebezpieczeństwem. W świetle błyskawic widać było, że pali się kościół. Iskra uderzyła we lewą od strony wschodniej wieżę kościoła, która zaczęła się palić jak smolna pochodnia, począwszy od wierzchołka. Gdy paliła się tylko wieża, a ogień stosunkowo powoli posuwał się ku dołowi, pożar można byłoby łatwo ugasić, gdyby w miasteczku była straż pożarna z prawdziwego zdarzenia. Takiej wtedy i przez kilka lat następnych nie było w Kamieńcu. Najbliżej mieszkający mieszczanie: bracia Weremkowiczowie, Kamińscy, Janczarek, Nazarewicz, Łaciński, Kłosowski, i inni, przybywszy na ratunek, wynosili sprzęt liturgiczny i wyposażenie kościoła, dzięki czemu znaczna część chorągwi, ornatów, posągów została uratowana. Szczególną zasługę przy ratowaniu kościoła należy przypisać Janowi Nazarewiczowi, który jako jeden z pierwszych znalazł się przy płonącym kościele i sprawnie pokierował ewakuacją sprzętu liturgicznego. Gaszenie ognia było utrudnione z powodu braku wody w bliskiej odległości. Najbliższa studnia z wiadrem na łańcuchu znajdowała się w odległości 30 m co uniemożliwiło skuteczną akcję gaszenia pożaru. Smutny był dzień 26 lipca 1324 roku – dzień odpustu świętej Anny, zawsze uroczyscie obchodzony.

Kościół w Kamieńcu pod wezwaniem Świętych Apostołów Piotra i Pawła, i Świętego Michała Archanioła został zbudowany w 1723 roku staraniem ks. Grzegorza Giżyckiego. Fundatorami byli okoliczni ziemianie. Konsekrowany został 15.X.1729 roku przez biskupa Stefana Rupniewskiego.

Kościół ten po powstaniach 1830 i 1863 roku był jedyną ostoją dla rodzin zesłanych na Sybir powstańców i schronieniem w okresie długotrwałych prześladowań religijnych katolików i braci unitów.

W tym czasie sytuacja wyznaniowa w Kamieńcu i okolicy uległa znacznym zmianom.

Według kościelnych ksiąg metrykalnych w latach 1864-1871 r. w samym mieście Kamieńcu na prawo-

sławie przeszło 78 rodzin. Jedną form skutecznego walczącego z katolicyzmem było wydawanie zezwoleń na ślub z osobami prawosławnymi, które przed zawarciem związku małżeńskiego zmuszane były do wyrażenia pisemnej zgody na wychowanie potomstwa w duchu prawosławia. W wykazach spowiedniczych ksiąg kościelnych spotykamy wiele polskich nazwisk-unitów lub katolików rzymskich obecnie w większości te rodziny są prawosławne².

Sytuacja w parafii kamienieckiej po pożarze kościoła

Proboszczem parafii kamienieckiej w czasie pożaru kościoła w Kamieńcu był ks. Wacław Turlaj. Do rozległej parafii należały w tym czasie następujące miejscowości: miasto Kamieniec wraz z przedmieściem Zamosty, Szyszowa, Uhlany, Czemery, Czemery II, Podbiała, Baranki, Radość, Wielika, Widomla, Pruska, Pruska II, Ranie, Podbrodziany, Sedruż, Krywlany, Werchy, Orepicze, Strele, Indycze, Grabowce, Sosny, Bildejki, Bohdziuki i Peliszcze.

W okolicy Kamieńca w siedmiu wsiach istniały cerkwie prawosławne, które przed rozbiorami, a ściślej przed likwidacją unii kościelnej (przed rokiem 1839) należały do Kościoła Katolickiego: Czemery, Baranki, Radość, Mikołajewo, Rzeczycza, Orepicze, Indycze i Życin. Przed I wojną światową 1913 r. w Kamieńcu wybudowano nową cerkiew prawosławną w stylu typowo rosyjsko-bizantyjskim, czynną do dnia dzisiejszego (1987 r.). Najbliżej Kamieńca położone sąsiednie kościoły rzymsko-katolickie, czynne po odzyskaniu niepodległości 1918 r., były w: Białowieży – 34 km, Czernawczycach – 18 km, Kwatyczach – 22 km, Wysokim Litewskim – 38 km, Szereszowie – 33 km, Raśni – 35 km, Zbirogach – 27 km, i Wierchowiczach – 30 km.

Trudności gospodarcze, z jakimi borykało się w latach dwudziestych odrodzone państwo polskie, nie stwarzały właściwych warunków do natychmiastowego rozpoczęcia budowy nowego kościoła po pożarze. Ciężka sytuacja materialna spowodowała, że postanowiono zakupić z pobliskiej puszczy Białowieskiej odpowiednią ilość drzewa, z którego, po spłowaniu na deski, zbudowano zastępczą kaplicę. Przy budowie kaplicy wykorzystano, ocalałą z pożaru, drewnianą dzwonnice, zbudowaną w 1794 r. Stano-

² Jan Perdenia, *Z przeszłości Podlasia. Włość Kamieniecka* (rękopis).

wiła ona prezbiterium. Do niej dobudowano główną nawę kaplicy o wymiarach 22x12 m. Do dzwonnicy dobudowano dwie murowane zakrystie. Dach kaplicy został pokryty papą. Jesienią 1946 r., na polecenie władz ZSRR, kaplica, w nocy, spychaczami została doszczętnie zburzona.

Zamiar budowy kościoła w Peliszczach

Już w trakcie zwożenia drzewa z puszczy 1924 r. wśród mieszkańców Peliszcz, wsi odległej od Kamieńca o 10 km zakiełkowała myśl zbudowania kościoła w Peliszczach. Po przeprowadzeniu konsultacji z mieszkańcami najbliższych sąsiednich wsi i uzyskaniu ich akceptacji, powstał realny plan budowy kościoła którego następstwem byłby podział parafii kamienieckiej i erygowanie nowej samodzielnie parafii peliszczowskiej. Przemawiało za tym - mała ilość kościołów i kaplic w granicach rozległej parafii kamienieckiej, centralne położenie wsi Peliszcze w południowej części tej parafii i duże zgrupowanie w najbliższej okolicy ludności rzymsko-katolickiej jak to przedstawia poniższe zestawienie:

Lp	Miejscowość	Ilość domów	Ilość osób	Odległość od Peliszcz w [km]	Odległości w od Kamieńca [km]
1.	Peliszcze	123	653	0	10
2.	Bohodziuki	74	293	2.5	9
3.	Podlesie	42	186	5	14
4.	Lasoty, Sosny	41	194	5	15
5	Grabowce, majątek Życin	14	47	3	13
6	pozostali	9	31	1.5	11
Razem osób 1404					

Mieszkańcy tych wsi wykazywali niewymierny zapał do budowy własnego kościoła. Istniały jednak argumenty przemawiające przeciw tej inicjatywie. Budowa kościoła w Peliszczach spowodowałaby oderwanie znacznej części wiernych od parafii kamienieckiej, a tym samym pozbawiłaby dopływu środków na budowę kościoła w Kamieńcu. Względny prestiż miasta pragnącego zachować swoje wpływy na silniejsze gospodarczo okolice gminy również nie sprzyjały zamiarom budowy nowego kościoła. W zaistniałej sytuacji proboszcz kamieniecki ks. Wacław Turłaj nie chciał w ogóle słyszeć o budowie kościoła w Peliszczach przed zbudowaniem kościoła w Kamieńcu. Nieustępliwe stanowisko proboszcza w tej sprawie wywołało nieomal „świętą wojnę”, która w pewnych okresach nasilała się na skutek

sprzecznych stanowisk zajmowanych przez przeciwną stronę.

Mieszkańcy projektowanej parafii w Peliszczach zobowiązali się solidarnie do świadczenia usług transportowych własnym zaprzęgiem i pomocy w zakresie nie kwalifikowanej siły roboczej przy budowie kościoła w Kamieńcu. Jednak te i inne argumenty, nie trafiały do przekonania proboszcza kamienieckiego, który nadal, jak tylko mógł, i gdzie tylko mógł, stwarzał przeszkody komplikujące starania peliszczan o uzyskanie zezwolenia na budowę i zatwierdzenie planów. Ta nieprzejednana postawa ks. W. Turłaja zaczęła wywoływać wręcz odwrotne skutki, przejawiające się większą mobilizacją zwolenników podziału parafii, co w konsekwencji przyspieszyło powołanie społecznego Komitetu Budowy Kościoła w Peliszczach, któremu powierzono koordynację wszystkich spraw związanych z realizacją zamierzonej inwestycji.

Powołanie Komitetu Budowy Kościoła w Peliszczach

Wiosną 1925 r. na ogólnym zebraniu mieszkańców Peliszcz i przyległych wsi -Bohodziuki, Podlesie, Lasoty i Grabowce, został wybrany niżej wymieniony skład Komitetu Budowy Kościoła: Wincenty Trzeciak – prezes (Grabowce), Andrzej Owsianik – skarbnik (Peliszcze), Mikołaj Tabaka – sekretarz (kierownik Szkoły Powszechnej w Peliszczach), Anna Tabakowa – księgowa (żona kierownika Szkoły Powszechnej w Peliszczach), członkowie: Łukasz Kuchta - zastępca skarbnika (Peliszcze), Andrzej Antonowicz (Peliszcze), Antoni Majczuk (Bohodziuki), Tomasz Mikuc (Podlesie), Jakub Łojkuc (Peliszcze), Andrzej Homziuk (Peliszcze), Cyprian Perdenia (Peliszcze), Wincenty Szelukowski (Peliszcze), Wawrzyniec Owsianik (Peliszcze), Aleksander Trzeciak (Sosny), Tomasz Paszkowicz (Peliszcze), Piotr Żuk (Peliszcze), Feliks Owsianik – fundator placu pod budowę kościoła (Peliszcze), Stanisław Gutowski – ziemianin z majątku Życin.

Wobec nieprzejednanego stanowiska miejscowego proboszcza parafii kamienieckiej, inicjatorzy budowy kościoła gdzie mogli szukali poparcia. Krążyły zatem pisma i jeździły delegacje, tak do władz kościelnych, jak i państwowych. Kilkakrotnie delegacja była w Brześciu u dziekana, kilkakrotnie w Kurii Biskupiej w Pińsku, nie pomijano również starosty. 20 lutego 1925r. delegacja w osobach Wincentego Trzeciaka,

Piotra Żuka i Andrzeja Homziuka dotarła do Metropolity i Arcybiskupa Wileńskiego Jerzego Matulewicza. Usilne i cierpliwe starania trwały kilka lat nim został podjęta upragniona decyzja. Nastąpiło to po pasterskiej wizytacji przeprowadzonej przez biskupa Zygmunta Łozińskiego 1924 r. kiedy na placu budowy biskup wyraził zgodę. Podczas wizytacji parafii kamienieckiej, ks. biskup w drodze powrotnej z Kamieńca do Żabinki zatrzymał się w Peliszcach, by na miejscu osobiście zapoznać się z narastającym od kilku lat problemem i możliwościami budowy kościoła w Peliszcach i wtedy wyraził zgodę na budowę.

Przyjazd ks. biskupa Zygmunta Łozińskiego do Peliszc

Przyjazd późniejszego Sługi Bożego biskupa Zygmunta Łozińskiego na plac budowy był znamienny i niezapomniany, a zarazem brzemienny w skutkach. Wierni godnie przygotowali się na godne przyjęcie swojego pasterza. O określonej godzinie przyjazdu w odległości dwóch kilometrów przed Peliszcami, gdy od strony Kamieńca na skrzyżowaniu szos Kamieniec – Żabinka-Wysokie Litewskie-Prużana

pojawili się biskupi samochód, 80 jeźdźców na doborowych koniach, otoczywszy pojazd, asystowało dostojnemu gościowi do bramy powitalnej. Konna banderia, wyszkolona przez byłego plutonowego 25 pułku ułanów z Prużany, Wincentego Szelukowskiego (mieszkańca Peliszc), na drewnianych lancach, miała proporczyki koloru papieskiego i narodowego.

Brama powitalna znajdowała się na szosie biegnącej wzdłuż wsi pomimo poprzedniego dnia, przy bramie zgromadziło się kilkuset wiernych. Godnym podkreślenia było to, że na powitanie przybyło sporo mieszkańców należących do Kościoła Prawosławnego. Witając tradycyjnie chlebem i solą, prezes komitetu Wincenty Trzeciak, w imieniu zgromadzonych, zwięzłym przemówieniem serdecznie przywitał dostojnego gościa. Padły słowa zapewnienia o wierności kościołowi rzymsko-katolickiemu, dowodem czego było przetrwanie w wierze ojców przez długie lata niewoli i nasilających się w tym czasie prześladowań religijnych. Wyraził przekonanie, że usunięte zostaną przeszkody i wierni będą mogli przystąpić do realizacji wielkiego dzieła jakim będzie budowa domu Bożego.



Komitet założycielski budowy kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego i Serca Maryi w Peliszcach. Do 1939 r. wieś liczyła 803 mieszkańców, w tym 553 katolików.

Po przywitaniu i wręczeniu wiązanek kwiatów przez najmłodszych mieszkańców, wzruszony serdecznością biskup przemówił do zebranych. Następnie wszyscy udali się pieszo (około trzystu metrów) na miejsce przewidziane pod budowę kościoła. Na placu przyszłej budowy, biskup wysłuchał wypowiedzi obecnych przy tym członków Komitetu Budowy Kościoła. Następnie zmierzył własnymi krokami wzdłuż i wszerz cały plac, i zwracając się do zebranych stwierdził: „Miejsce jest trafnie wybrane, pod każdym względem dobrze zlokalizowane, oby tylko wystarczyło wam zapалу, sił i wytrwałości przy pomocy Bożej w podjętym zamiarze, no i środków pieniężnych o które dziś nie jest łatwo na wybudowanie świątyni Pańskiej. Ja, mocą nadanej mi władzy z całego serca wam błogosławię. Szczęść Boże”. Ostatnie słowa błogosławieństwa, zgromadzeni na placu czarnej, zaoranej ziemi ogrodowej przyjęli w pozycji klęczącej, z pochylonymi głowami, z wielkim przejęciem i dumą rozpierającą serce, głęboko wierzących zwykłych spracowanych mieszkańców poleskiej wsi klęczących po raz pierwszy na ogrodowym zagonie, na którym, po wzniesieniu kościoła, siewcami słowa Bożego będą kapłani kierowani z woli Bożej przez jego namiestników. Stało się to, na co od dawna oczekiwano. Słowa biskupa do inicjatorów budowy potraktowano jako zezwolenie na budowę kościoła i nadzieję na ustanowienie w przyszłości nowej parafii.

Żegnany owacyjnie biskup Z. Łoziński odjechał w kierunku Żabinki. Tak jak przy powitaniu przez konną banderę do granicy wsi Peliszcze. I kto wie jak potoczyłyby się dalsze losy nowej parafii zwłaszcza po wybudowaniu kościoła, gdyby nie przedwczesna śmierć (1932 r.) tego Sługi Bożego. Wydaje się, że wiele kłopotów zostałoby ograniczonych lub całkowicie wyeliminowanych.

Zmiana proboszcza w parafii kamienieckiej

Przyjazd biskupa, zbadanie sprawy na miejscu, osobiste obejrzenie placu budowy, pozytywna ocena przedłożonych mu założeń inwestycyjnych, zostały zrozumiane i przyjęte przez fundatorów jako akceptacja, i zezwolenie na rozpoczęcie budowy. Jędną z poważniejszych konsekwencji wizyty pasterskiej biskupa Z. Łozińskiego, było przeniesienie na inną parafię proboszcza kamienieckiego, Wacława Turłaja. W Kamieńcu natomiast parafię objął ks. Albin Bakinowski, przeniesiony z parafii w Szereszewie. Wprawdzie nowy proboszcz

kamieniecki nie należał do kategorii ludzi określanych mianem budowniczych, to jednak najważniejsze było, że nie hamował inicjatywy budowy drugiego kościoła, w granicach tej samej parafii.

Były to czynniki decydujące, które spowodowały, że od tego momentu energiczniej przystąpiono do prac przygotowawczych. Zamówiono u architekta opracowanie projektu dokumentacji kosztorysowo-technicznej, ogrodzono plac budowy i stopniowo gromadzono materiały budowlane (kamienie). Rozpoczęto zbiórkę wstępnie zadeklarowanych funduszy – po 30 zł od jednego hektara posiadanego gruntu. Stawka ta obowiązywała tylko katolików, mieszkańców Peliszczy. Inne wsie Bohdziuki, Podlesie, Sosny i Grabowce zobowiązały się do nieco mniejszych kwot pieniężnych. Nowy proboszcz kamieniecki ks. A. Bakinowski od początku przyjął koncepcję proponowaną przez Peliszczan, według której mieszkańcy wsi zainteresowanych budową kościoła w Peliszczach, będą razem z peliszczanami świadczyli, określoną ilość dni, pracy fizycznej i transportowej z własnymi zaprzęgami także przy budowie kościoła w Kamieńcu. Dobrowolne datki pieniężne natomiast będą składane tylko na rzecz budowy kościoła w Peliszczach.

Dzięki pozytywnemu ustosunkowaniu się nowego proboszcza poprawiła się znacznie atmosfera w parafii kamienieckiej. Ks. A. Bakinowski, będąc gorącym i szczerym patriotą polskim, był również wielkim propagatorem zbliżenia i zgodnego współżycia ludności polskiej i białoruskiej, rodzin prawosławnych i „polskich” (tak powszechnie określano ludzi należących do wyznania rzymsko-katolickiego). Był zwolennikiem i rzecznikiem w duchu przedrozbiorowego współżycia społeczności polskiej i białoruskiej w imię zbliżenia ewangelicznego. Zwyczajem ks. A. Bakinowskiego, podczas spotkań z parafianami, było łączenie „pół-żartem, pół-serio” słów polskich z dowcipnymi powiedzonkami białoruskimi. Praktyka i metody postępowania ks. A. Bakinowskiego niwelowały antagonizmy zaszczerpane przez carat w okresie zwalczania unitów i przymusowej rusyfikacji.

Intensyfikacja prac przygotowawczych do budowy

Realizując otrzymane zlecenie, inż. architekt Bronisław Nielubowicz z Brześcia n/Bugiem, 30.05.1929 r. przedłożył Komitetowi Budowy Kościoła w Peliszczach, gotowy i zatwierdzony przez władze duchowne

i administracyjny projekt wraz z kosztorysem. Godnym podkreślenia było to, że wykonawca projektu zadanie wykonał w przyspieszonym terminie i w dodatku przy zastosowaniu 50% zniżki w stosunku do cennika.

Jesienią tego roku plac budowy został ogrodzony drewnianymi sztachetami, zakupiono i sprowadzono kolejną do stacji w Zabince potrzebną ilość wapna, którą po przewiezieniu furmankami, przelasowano i zabezpieczono na okres budowy. W cegielni Chotyłów zakupiono 120.000 sztuk cegły, którą również kolejną i furmankami dostarczono na plac budowy. Godnym uwagi był udział braci prawosławnych, którzy uczestniczyli i pomagali przy pracach transportowych.

Kamień węgielny – cokół z jednego kamienia

W odległości niespełna 5-ciu kilometrów od Peliszcza jest położona wieś Lasoty, jeden z licznych zaścianków dawnej szlachty zagrodowej, który nie uległ rusyfikacji i zachował czysto polski charakter narodowy. Pośród 41 rodzin rzymsko-katolickich nie było ani jednej rodziny prawosławnej lub mieszanej, mieszkańcy zachowali polską kulturę kresową i nieskażony język polski. Z uwagi na bezpośrednie sąsiedztwo cały zaścianek zadeklarował się do wspólnej budowy kościoła w Peliszczech.

Na budowę fundamentów postanowiono użyć wielki głaz narzutowy z epoki lodowcowej, który od praprawieków wystawał kilka metrów nad powierzchnię ziemi na wspólnym pastwisku wsi Lasoty. Kamień ten stanowił, rzadko spotykany w tym regionie, prawdziwy pomnik przyrody. Dziś użycie jego do celów budowlanych byłoby nie do pomyślenia, ale widocznie takie było jego przeznaczenie. Objętością swoją (około 200 m³) kamień ten wypełnił 80% fundamentów kościoła. W marcu 1929 r. przystąpiono do przewiezienia kamienia na plac budowy. Przedtem należało skruszyć głaz na kawałki nadające się do transportu saniami. Skruszenie kamienia materiałem wybuchowym powierzono Łukaszowi Homziukowi – rolnikowi z Peliszcza, pirotechnikowi z amatorstwa. Materiał wybuchowy pochodzący z rozbitych pocisków artyleryjskich, pozostałości po pierwszej wojnie światowej dostarczył Antoni Marzec, rezerwista saper, również rolnik z Peliszcza.

Przy wykonywaniu otworów Ł. Homziukowi pomagali młodzi chłopcy będący już po odbytej służbie wojskowej, gdzie praktycznie zapoznali się z tajnikami specjalności minerskiej. Cała operacja kruszenia kamienia i przewiezienia saniami (przy końcu pa-

miętnej zimy 1928/29 roku) do Peliszcza, miała trwać tydzień, a nie więcej jak 10 dni. Ustalony harmonogram nie został przekroczony, a przewóz odbywał się nadzwyczaj sprawnie. W czasie rozbijania kamienia, o mało nie został zabity dużymi odłamkami, Stefan Homziuk. Dwa odłamki wielkości wiadra przeleciały w odległości jednego metra koło niego, z obu stron. Był błąd i przerażony zaniemówił, stojąc bez ruchu. Zbiegli się wszyscy z bezpiecznej strefy, by wyrazić zdziwienie, że będący tak blisko śmierci został przy życiu, zawdzięczając to Opatrzności.

Pogoda nakazywała przyspieszyć przewóz kamienia przed roztopami, które mogły spowodować przerwę w przywozie aż do następnej zimy. Jeżdżono saniami robiąc kilka kursów od wczesnego świtu aż do późnych godzin nocnych byleby zdążyć. Nie obyło się bez przygód. W ostatnim dniu zwożenia kamienia, czasie przejazdu przez drewniany mostek ostatnich sań jedna belka nośna pękła, i tylko dzięki natychmiastowemu zadziałaniu woźnicy, udało się bezpiecznie przejechać. Nie ulega wątpliwości, iż w wypadku transportu wozem konnym, wóz zostałby pociągnięty razem z kamieniami w otwarty dół, do wezbranej strugi. Te przygody szczęśliwie i topnienie śniegu, zaraz potem, (gdyby nie zakończono przewozu kamienia, zaistniałaby konieczność przeczekania do następnej zimy) wzbudziły liczne komentarze i przekonanie o słuszności zapoczątkowanego dzieła, mającego służyć przyszłym pokoleniom, na chwałę Bożą.

Po poczynionych przygotowaniach 1929r., można było przystąpić do budowy. Umowę o realizację prac budowlanych zawarto z majstrem A. Różyckim, pochodzącym z Kamieńca Litewskiego. Wczesną wiosną 1930 roku, w pięć lat po rozpoczęciu starań, przystąpiono do wykonania fundamentów. Społecznym wysiłkiem, ręcznie wykopano rowy, których do końca kwietnia zbudowano fundament pod nową świątynię.

Wmurowanie aktu erekcyjnego

W niedzielę 11 maja 1930 roku ks. kanonik Kazimierz Bukraba – dziekan brzeski (późniejszy biskup piński) dokonał wmurowania aktu erekcyjnego, na którym z ramienia fundatorów złożyli podpisy przedstawiciele Komitetu Budowy Kościoła: Andrzej Homziuk, Łukasz Kuchta, Tomasz Paszkowicz, Andrzej Owsianik, i Wincenty Trzeciak. W tym to pamiętnym dniu, przy polowym ołtarzu, wzniesionym na fun-

damentach głównego ołtarza o godz. 11-tej, po raz pierwszy, została odprawiona uroczyste celebrowana przez ks. dziekana K. Bukrabę Msza św. W nabożeństwie i związanych z nią uroczystościach udział wzięli oficjalni goście z Franciszkiem Usajewiczem wicestarostą powiatu Brzeskiego na czele. A jednak, pomimo zaproszenia, w uroczystościach nie wziął udziału ks. Albert Bakinowski, aktualny proboszcz parafii kamienieckiej, do której w tym czasie należały Peliszcze. Dopisali natomiast licznym udziałem bracia prawosławni – dawni unicy, którzy ofiarnie uczestniczyli w pomocniczych pracach fizycznych jak też, może skromnych, ale szczerych datkach pieniężnych przy zbiorce zasadniczego funduszu na budowę.

Fundusze budowy

Ważnym problemem było zebranie odpowiednich funduszy. Sąsiednie kościoły w dawnych czasach były fundowane przez magnatów:

- W 1558 roku fundatorem kościoła parafialnego w Czernawczycach p.w. Przenajświętszej Trójcy był książę Mikołaj Krzysztof Radziwiłł zwany „Sierotką”,
- W 1595 roku A. Tyszkiewicz zbudował drewniany kościół w Prużanie, a dwadzieścia lat później Lew Sapieha zbudował kościół murowany,
- W 1678 roku Eustachy Tyszkiewicz podkomorzy brzeski ufundował wspaniały klasztor w Wistyczach,
- Mikołaj Pac łowczy pomocniczy litewski i wojewoda podlaski, właściciel Kiwatycz, zbudował murowany kościół w Kiwatyczach (uległ zniszczeniu podczas II wojny światowej).

Obok Peliszcz był tylko jeden majątek – Życin, należący do ziemianina Stanisława Gutowskiego. Była to posiadłość licząca około 700 ha, z czego połowa stanowiła las o nazwie Skinderówka. Majątek ten był podupadły i zadłużony. Dla ratowania sytuacji właściciel, co kilka lat, sprzedawał kawałek gruntu chłopom lub partię drzewa Żydowi, będącemu właścicielem tartaku w Żabinie. Z powyższych powodów S. Gutowski nie mógł być potencjalnym fundatorem kościoła w Peliszczach. Ofiarował jedynie drzewo z lasu Skinderówka nadające się na ogrodzenie placu i na rusztowania. Niezbędny materiał na konstrukcje dachowe, drzwi i okna przywieziono z puszczy Białowieskiej. Sklepienie zostało wykonane z desek odpowiednio wyginanych, co nadawało wrażenie lekkości i piękno konstrukcji, ale było to kosztowne.

Sytuacja materialna poleskiej wsi w owym czasie, po 9 latach od zakończeniu wojny i odzyskaniu niepodległości była ciężka. Pomimo pracowitości, rolnicy nie mogli związać przysłowiowego „końca z końcem”. Gdy planowano budowę w latach 1928-1929, ceny płodów rolnych były jednak stosunkowo dobre. To wpłynęło na podjęcie dobrowolnej uchwały „opodatkowania się” na budowę kościoła wstępnie po 30 zł z hektara gruntów ornych. Podejmując te zobowiązania finansowe nikt nie przypuszczał, że za 2–3 lata wybuchnie mocno odczuwalny kryzys gospodarczy. Stało się to w latach budowy, gdy ceny płodów rolnych gwałtownie zaczęły spadać. Za 1 q. żyta płacono rolnikowi 10-20 zł, a za 100 kg tucznika około 90 zł (jeżeli był amator kupna). Na własne oczy widziałem jak na jarmarku w Żabinie rolnik, wobec braku nabywcy, starą wychudzoną szkapę puścił z uwięzi, przymocowawszy do grzywy dowód tożsamości konia. Przed Komitetem Budowy Kościoła zaczęła się formować trudna do pokonania bariera finansowa, hamująca dopływ środków płatniczych na sfinansowanie rozpoczynającej się budowy. Inicjatorzy jednak, mając serca gorące, zapał i silną wolę, wpłacali zadeklarowane kwoty, by kontynuować rozpoczęte dzieło. Pierwszą poważniejszą zbiórkę pieniędzy przeprowadzono zimą 1928/29 r., której wyniki okazały się nadspodziewane.

Z okazji wmurowania aktu erekcyjnego, wychodzący w Brześciu n/Bugiem tygodnik „Polesie” opublikował w numerze 22, 1930 roku obszerny artykuł pod tytułem „Budowa kościoła w Peliszczach”. Dzięki zachowaniu tego numeru przez Wacława Trzecia-ka syna Wincentego, prezesa Komitetu Budowy Kościoła, dziś po upływie 56 lat, możemy odtworzyć listę fundatorów. Jednym z pierwszych był rolnik Feliks Owsianik, który ofiarował plac o powierzchni 3000 m² o wartości 1000 zł. Na wystosowany apel włączyli się zamiejscowi fundatorzy, którzy nadesłali pocztą pieniądze wkwocie: Wincenty Łojkuć z Chicago 80 dolarów to jest 708 zł; Jan Łojkuc z Radzymina – 143 zł; Paweł Owsianik z Warszawy – 44 zł; Jan Ossowski właściciel apteki z Kamieńca Litewskiego – 100 zł; Aleksander Michalczuk, były nauczyciel w Peliszczach – 35 zł. Miejscowi fundatorzy, którzy złożyli datki powyżej 100 zł.: Jan Jurec – 300 zł; Leon Trzeciak – 250 zł; Piotr Andruszkiewicz – 105 zł; Andrzej Owsianik – 380 zł; Sebastian Wasieczko – 300 zł; Piotr Żuk – 280 zł; Leon Owsianik – 140 zł; Aleksander Wasieczko – 200 zł; Leon Wasieczko – 140 zł; Cyprian Owsianik – 120 zł; Karol Hołod

– 105 zł; Andrzej Trzeciak syn Łukasza – 200 zł.; Katarzyna Trzeciak – 100 zł; Aleksander Hołod – 150 zł; Piotr Trzeciak – 180 zł; Benedykt Trzeciak – 115 zł; Tomasz Paszkowicz 301 zł; Wawrzyniec Owianik – 141 zł; Leon Paszkowicz – 363 zł; Piotr Trzeciak – 200 zł; Feliks Trzeciak – 160 zł; Cyprian Perdenia – 300 zł; Jan Żuk – 185 zł; Wincenty Trzeciak – 240 zł; Ludwik Trzeciak – 179 zł; Paweł Trzeciak – 140 zł; Aleksander Trzeciak – 240 zł; Bolesław Trzeciak – 104 zł; Aleksander Trzeciak – 240 zł; Feliks Werszko – 245 zł; Aleksander Hołod – 140 zł; Leon Łojkuć – 160 zł; Antoni Owsianik – 290 zł; Tomasz Trzeciak – 130 zł; Jan Łojkuć – 150 zł; Andrzej Homziuk – 177,50 zł; Stefan Łojkuć – 100 zł; Feliks Perdenia – 125 zł; Łukasz Homziuk – 140 zł; Paweł Żuk – 143 zł; Józef Homziuk – 160 zł; Antoni Szeluk – 160 zł; Ludwik Gieruś – 200 zł; Leon Szelukowski – 130 zł; Stanisław Trzeciak – 120 zł; Antonina Trzeciak – 120 zł; Stefan Homziuk – 130 zł; Szymon Żuk – 130 zł; Kazimierz Werszko – 177 zł; Kazimierz Homziuk – 160 zł; Aleksander Lasota – 100 zł; Tadeusz Wójcik – 170 zł; Łukasz Kuchta – 266 zł; Feliks Szkuta – 155 zł; Adam Łojkuć – 280 zł; Karol Antonowicz – 140 zł; Józef Antonowicz – 195 zł; Andrzej Antonowicz – 295 zł; Stefan Antonowicz – 100 zł; Tomasz Markuć – 200 zł; Antoni Jurec – 170 zł; Mikołaj Tabaka – 206 zł; Bartłomiej Żuk ze wsi Sosny – 443 zł; Józef Wojtowicz ze wsi Grabowce – 300 zł; Aleksander Trzeciak ze wsi Sosny – 358 zł; Kazimierz i Wincenty Trzeciak (ojciec i syn razem) z Grabowców – 766 zł. Prócz wyżej wymienionych kwot, wpłynęło jeszcze drobniejszymi datkami ponad 3.000 zł. Co na dzień poświęcenia kamienia węgielnego (11 maja 1930 roku stanowiło ogółem 18.448,50 zł.

Był to pierwszy dobrowolny i nie przymuszony rzut składek finansowych. Dalsze wpłaty, były dokonywane sukcesywnie przez fundatorów, w okresie trwania budowy kościoła. Podkreślić należy, że roboczną niefachową przy budowie fundamentów, jak również zwózkę materiałów, świadczyła ludność Peliszczy, nie wyłączając prawosławnych, którzy bardzo chętnie pomagali przy pracach fizycznych, jak też wpłacając kwoty pieniężne na budowę kościoła.

Autor artykułu na łamach tygodnika „Polesie” podpisujący się „Peliszczanin” serdecznie podziękował mieszkańcom sąsiednich wiosek jak: Grabowce, Sosny, Lasoty, Podlesie i Bohdziuki, za solidarne włączenie się swoją ofiarnością pieniężną, pomocą w pracach fizycznych i transportowych.

Kontynuowanie dalszych prac budowlanych

Wśród wielu społecznych zadań, wynikających z aktualnych potrzeb gospodarczych, jak budowa szkoły, budowa mleczarni i sklepu spółdzielczego, przygotowania się do komasacji pól będących w szachownicy, budowę kościoła i organizację nowej parafii umieszczono na pierwszym planie. O wielkim społecznym zaangażowaniu mieszkańców wsi Peliszcze, wśród osób oficjalnych przebywających tam służbowo, utarło się powiedzenie, „to poleski Lisków”. I było w tym określeniu sporo prawdy, tylko żeby stać się „Liskowem”, potrzebny był kościół i ofiarny działacz społeczny, „w rodzaju ks. prałata Wacława Blizińskiego”. Jednym słowem, zwyciężyła idea dalszej budowy kościoła pomimo piętrzących się przeszkód.

Po wykonaniu fundamentów i zgromadzeniu potrzebnych materiałów, wiosną 1931 roku, energicznie przystąpiono do wznoszenia jednej z pierwszych świątyń budowlanych, w tym czasie, na Polesiu. Prace murarskie powierzono w fachowe ręce majstra A. Różyckiego, który po zrobieniu fundamentów przystąpił do wznoszenia murów zasadniczych. Pomimo braku podstawowych urządzeń technicznych np. windy lub elektrycznie napędzanej mieszarki do zaprawy murarskiej, prace szybko posuwały się i „w oczach” rosły mury. Zaprawy murarskie mieszano ręcznie w drewnianych skrzyniach, a następnie wiadrami dźwigano do stanowisk murarzy. W końcowej fazie wznoszenia murów ściennych i wieży, cegłę noszono na plecach przy użyciu tzw. „kozłów”. Ciężar włożony na plecy wynosił około 50 kg, a wysokość docelowa (wieża) równała się poziomowi 3-4 piętra. Pamiętam jak młodzi chłopcy robili zakłady, kto więcej na plecach udźwignie jednorazowo cegły na wieżę kościelną?

Zapał i szybkość budowy, były godne podziwu. Jesienią 1931 roku ściany zostały wzniesione do wysokości zrębu. Dalsza praca została zahamowana na skutek niewywiązania się prywatnej firmy z wykonania oryginalnej konstrukcji sklepienia z wyginanych i odpowiednio pasowanych desek. Tego rodzaju konstrukcja „sklepienia” powiązana z więźbą dachową, oparta na zrębach ścian, eliminowała ciężar sklepienia tradycyjnego zrobionego z cegły. Całość dominowała lekkością wyglądu sylwetki dachowej kościoła po stronie zewnętrznej, jak też w jego wnętrzu, zachowuje lekki styl baroku. Wykonanie opisanych konstrukcji, nastąpiło dopiero w połowie 1932 roku

co spowodowało przerwę w dalszej budowie – oraz zabezpieczenie papą otwartych murów do czerwca 1932 roku, to jest do momentu dalszego kontynuowania przerwanych prac murarskich nad ołtarzem, zakrystiami i wieżą włącznie z pokryciem dachówką.

Ponowna zmiana proboszcza w parafii kamienieckiej

Decyzją władzy kościelnej, doszło do ponownej zmiany proboszcza w parafii kamienieckiej. Aktualny proboszcz ks. Albert Bakinowski, został przeniesiony do parafii Szereszewo, a jego miejsce w Kamieńcu objął ks. Ignacy Wierobiej. Był młody, energiczny, o którym wśród ludu poszła fama, że jest nieprzeciętnej siły. Nowy proboszcz objął parafię, mając przydomkę „budowniczy kościołów”. Jako młody kapłan wykazał się cechami dobrego organizatora, a że miał zaliczony już jeden wybudowany kościół, skierowanie do Kamieńca było celowe i przemyślane. Nie było też zdziwieniem, gdy nowy proboszcz po objęciu parafii, od razu zabrał się do odbudowy spalonego (od podstaw) kościoła w Kamieńcu Litewskim.

Na zwołanym spotkaniu z inicjatorami budowy kościoła w Peliszczach zgodnie ustalono, że peliszczanie i mieszkańcy pozostałych wsi (przewidywanych do nowej parafii), będą solidarnie świadczyć pomocą w pracach pomocniczych i przewozowych własnym transportem przy budowie kościoła kamienieckiego. Ponadto, do czasu podziału parafii, katolicy z Peliszcz, Bohdziuk, Podlesia, Sosnów i Grabowców będą pomagali (jak było dotychczas) przy uprawie 40-to hektarowego gospodarstwa rolnego położonego na terenie Kamieńca i Zamostów.

Do prac pielęgnacyjnych i przy zbiorach, zwłaszcza peliszczanie wychodzili gremialnie, których proboszcz Wierobiej wita słowami: „o moja Warszawa pracuje, moja Warszawa zrobiła”, co należało rozumieć, jako wyraz wielkiego uznania dla mieszkańców Peliszcz. Jednym słowem, po ostatniej zmianie proboszcza w parafii kamienieckiej wydawało się, że stosunki parafialne na tle budowy kościoła w Peliszczach i podział parafii ułożyły się znakomicie. Jednakże, za lat parę okazało się że tak różowo nie jest.

Po okresie zastoju, spowodowanego głównie opóźnieniem wykonawcy przy układaniu drewnianego półokrągłego sufitu z giętych desek, wiosną 1933 roku dalsze prace budowlane ruszyły ostrym tempem do przodu.

Religijność – pobożność

Od niepamiętnych lat, religijność przekazywana z pokolenia na pokolenie, była oparta na głębokiej wierze i zachowaniu ścisłej łączności, z Kościołem Rzymsko-Katolickim. Dzięki temu, została zachowana, w latach carskiej niewoli, (1794-1918) odrębność narodowa i powiązanie z Macierzą. Jak powszechnie było wiadomym w większości ludność zamieszkująca na tych terenach porozumiewała się tam językiem „prostym”, będącym zbiorem wyrazów ukraińskich, polskich, rosyjskich, białoruskich i nielicznych pochodzenia litewskiego. Język ten był uformowany w następstwie ciągłych wojen i życia mieszkańców pod zmiennymi administracjami państwowymi. Był bardzo łatwo zrozumiały przez rdzennego Polaka. Powiązanie języka „prostego” z językiem polskim wywodziło swój rodowód z książeczek do nabożeństwa wydawanych w języku polskim, które to modlitewniki, wobec braku za caratu szkół polskich spełniały rolę elementarzy, do nauki i rozumienia języka polskiego w kościele przez rodziny katolickie. Dzięki Kościołowi katolickiemu, w którym modlono się w języku polskim, zachowana została historyczna łączność z kulturą i cywilizacją krajów Europy Zachodniej.

Tak za czasów niewoli narodowej, jak też do chwili wybudowania kościoła w Peliszczach, zwolennicy tej budowy realizowali swoje praktyki religijne, chodząc przeważnie, do odległego o 10 km kościoła w Kamieńcu Litewskim. Wobec braku środków masowej komunikacji autobusowej, bądź też kolejowej, piesze wędrówki niedzielno-święteczne były męczące i uciążliwe. Jeżeli nie był to okres wzmożonych prac polowych, to wielu gospodarzy jeździło własnymi zaprzęgami konnymi. Wyjątkowo na Boże Narodzenie, Wielkanoc lub inne doroczne święta kościelne, zwłaszcza na uroczystości odpustowe, podtrzymywana była tradycja jechania furmankami lub saniami. Jednakże najczęściej podróżowano do kościoła pieszo, latem przeważnie boso, z butami na ramieniu. Buty wkładano na nogi przy miejskich rogatkach lub przed wejściem do kościoła.

Takie niedzielne „spacery” po 20 km (w obie strony) dziennie, zwłaszcza po całotygodniowej wyczerpującej pracy na roli, były wielkim wysiłkiem, poświęceniem i wyrazem przywiązania do niedzielnych i świętecznych praktyk religijnych. Niezależnie od pokonywanych przestrzeni, w celu odbycia praktyk

religijnych, odbywano też piesze podróże do siedziby parafii, celem udzielenia nieodzownej pomocy przy obróbce ziemi, w rolnym gospodarstwie parafialnym. Dziś, tego rodzaju piesze wędrówki, w dniu przeznaczonym na odpoczynek, byłyby nie do pomyślenia, wśród dorastającej młodzieży rozleniwionej, niestety, coraz większym wygodnictwem.

Jak sobie przypominam, w okresie lat trzydziestych, w Peliszczach działało kilka kółek „Żywego Różańca”. Oddzielnie, wśród mężczyzn, mężatek i dziewcząt. Zazwyczaj w pierwszą niedzielę miesiąca wieczorem zbierali się członkowie kółek różańcowych, z większych domów, gdzie po wspólnym odmówieniu różańca dokonywano wymiany kolorowych kartek, zwanych pospolicie „tajemnicą”, gdyż każda z nich zawierała jedną z piętnastu tajemnic Różańca Świętego. We wsi było takich pięć czy sześć domów, w których odbywały się wspólne modlitwy (majowe lub różańcowe).

Tego rodzaju wspólne modlitwy odbywały się również w moim domu rodzinnym. Dlatego jeszcze jako mały chłopiec często włączałem się do tych modlitw, zwłaszcza gdy otrzymywałem przywieziony z Rzymu (przez ks. Leona Szelałę) pamiątkowy różaniec, poświęcony przez papieża Piusa XI. Wiele niewiast (w tym i moja matka) należało do „Straży Honorowej” – poświęconej adoracji Najświętszego Serca Jezusowego. Do dziś pozostały w pamięci chwile, podczas których matka przerywała najpilniejszą pracę, by o godz. 12-tej w południe odmówić określone modlitwy adoracyjne. Różne godziny były deklarowane do tego rodzaju modlitw, np. moja ciocia za godzinę adoracyjną przyjeżdżała 3-cią rano.

W podobny sposób i według wieloletniego zwyczaju, we wsiach odległych od kościoła parafialnego w Kamieńcu Litewskim były odprawiane zbiorowo i uroczyste nabożeństwa majowe, i czerwcowe, a w miesiącu październiku: różaniec. Z uwagą też należy wspomnieć o zbiorowych modlitwach, odmawianych w najbliższych kręgach rodzinnych, podczas których, zwłaszcza rano w niedzielę i święta, śpiewano, „Kiedy ranne wstają zorze”, a następnie godziniki, lub wieczorem różaniec, szczególnie w miesiącu październiku.

Na pograniczu kontynuowania praktyk religijnych, znalazły się też panujące zwyczaje przy pracach w gospodarstwach rolnych. Siew żyta przeważnie rozpoczynano w pierwszą sobotę września – dniem Matki Bożej Siewnej, wsypując do tak zwanej „sywenki”

rodzaj kobiałki zrobionej ze słomy wykruszano kłosy ziarna żyta poświęconego w dniu Matki Bożej Zielnej. Na wieczerną wigilię – przed Bożym Narodzeniem, na stole pod lnianym obrusem kładziono siano, które po wieczerny gospodarz rozdelał pomiędzy żywym inwentarzem. Wiosną, przy pierwszym wypędzaniu krów na pastwisko, gospodyni kropiła wodą święconą wychodzące z obory krowy.

Inną, zasługującą na uwagę formą zbiorowych modlitw były pielgrzymki ochoczo organizowane na uroczystości odpustowe do sąsiednich i dalszych parafii: Czernawczyc, Kiwaticz, Raśnej, Zbirogów, Kobrynia, Brześcia, Kodnia, a nawet co kilka lat do Częstochowy. W każdym przypadku były to pielgrzymki piesze, w których dominujący udział brała wspólnie młodzież żeńska i męska.

Praktyki kościelno-religijne w latach niewoli carskiej kształtowały świadomość narodową wiernych, postawę patriotyczną i życie rodzinne. Głęboka treść żywej wiary katolickiej, kierowanej przez kościół, kształtowała wysoką moralność w rodzinie i współżyciu społecznym rodzin katolickich z prawosławnymi. Potwierdzeniu powyższej tezy niech posłuży zapamiętany epizod końcowych lat trzydziestych. Po całodzienniej pracy po sianokosach, wracając do domu, prowadziliśmy dyskusje o tematyce patriotyczno-religijnej. W toku prowadzonej rozmowy jeden z kolegów, zapytał: „Dlaczego babtyści nie uznają Matki Boskiej?”. Gdy w miarę posiadanej wiedzy religijnej udzieliłem mu wyjaśnienia, z ust tego młodego chłopca z ubogiej rodziny chłopskiej usłyszałem: „och, ja chciałbym, choćby w tej chwili, zaraz, oddać życie za Matkę Boską Częstochowską”. Słów tych i sylwetki tego chłopca nie zapomnę nigdy. Widzę go stale oczyma mojej pamięci jako wiernego syna Kościoła i Ojczyzny. Kolega ten przeżył zawieruchę wojenną i żyje tam do dziś jako wierny Polak i katolik, którego nie zламаł w trudnych czasach stalinowski terror.

Wychowanie patriotyczno-religijne młodzieży okresu międzywojennego sprawiło, że podczas II wojny światowej, gdy kraj był okupowany przez wrogów, prawie cała młodzież męska z Peliszcz, Bohdziuk i sąsiednich wsi znalazła się w szeregach Armii Krajowej. Zdecydowana postawa pozostawiania przy wierze katolickiej i polskości sprawiła, że w latach 1945-46, 11 chłopców (w wieku „Kolumbów”) zostało zesłanych na Syberię do Workuty i Norylska. Wprawdzie po 10 latach wszyscy powrócili do Polski, to jednak przeżył obozowe skróciły ich żywoty.

W końcowej fazie budowy

Dzięki ofiarnemu zbiorowemu wysiłkowi – przed nadejściem zimy 1933-1934, kościół został wzniesiony w stanie surowym, pokryty czerwoną dachówką sprowadzoną z cegielni w Świsłoczy. Po wnikliwym przeanalizowaniu istniejących możliwości, na początku 1934r. Komitet Budowy Kościoła postanowił tak pokierować dalszymi pracami, by móc najpóźniej w czwartym kwartale 1934r. oddać świątynię do użytku, nawet w stanie niezupełnie wykończonym.

Powzięte zamierzenie wpłynęło dodatnio na szybkość dalszych robót. Pod czujnym okiem fachowych mistrzów budowlanych, odpowiedzialnych za całość budowy „domorośli” wiejscy rzemieślnicy, jak: W. Szkuta, L. Jurec, J. Kuchta, T. Kuchta, L. Paszkowicz, S. Trzeciak i inni chętnie włączyli się do prac związanych z wstawianiem i szkleniem okien, montowaniem drzwi i schodów na chór, układaniem drewnianej podłogi w zakrystii i w prezbiterium, budowa ołtarzy oraz innych prac wykończeniowych. W głównej nawie kościoła położono tymczasową podłogę z surowego betonu, na której w przyszłości miała być ułożona podłoga z płytek mozaikowych (stało się to po 48 latach).

Dzięki przyspieszeniu nieodzownych prac wykończeniowych, inicjatorzy budowy kościoła nabrali przekonania, że istnieją realne widoki rychłego uczestniczenia we mszy św. odprawianej początkowo co drugą niedzielę o 7 rano, bowiem z taką propozycją wystąpił ks. Ignacy Wierobiej – proboszcz parafii kamienieckiej. Było to słuszne posunięcie, które radośnie i z należytą powagą zostało przyjęte przez wszystkich inicjatorów, i kontynuatorów budowy. Wysunięta propozycja i widoki rychłego osiągnięcia zamierzonego celu zmobilizowały do wzmocnienia wysiłku i nasilenia prac wykończeniowych. Dziś po upływie 50 lat trudno by było opisać entuzjazm, jakim prześcigając się nawzajem, pracowały osoby starsze, młodzież (w tym też niektórzy prawosławni).

Przed zaplanowaną uroczystością przekazania do użytku kościoła zdążono otynkować całe prezbiterium oraz zewnętrzne ściany budynku. Zagruntowano pokostem wymagające konserwacji wszystkie elementy drewniane jak drzwi, okna i schody. Zakończono budowę wieży i roboty blacharskie. Gdy budowa dobiegała końca, latem 1934 r., rozważywszy realne możliwości, wierni postanowili, iż w niedzielę 18 listopada tegoż roku, zostanie „prymitywnie” (takie-

go użyto określenia) poświęcony i oddany do użytku kościół rzymsko-katolicki w Peliszczach. Wprawdzie podjęcie tak poważnej decyzji, zbliżało inicjatorów do rychłego osiągnięcia zamierzonego celu, to niemniej piętrzące się trudności materialne spowodowane kryzysem gospodarczym (lata 1929-1934) dawały się we znaki „torpedując” wysiłki, zmierzające do zwiększenia ofiarności fundatorów. Wiadomo, że przy budowie najwięcej kosztów pochłaniają prace wykończeniowe. Tymczasem zaistniała konieczność zbiórki dodatkowych funduszy, niezbędnych do zakupu podstawowego sprzętu liturgicznego.

Wstępne wyposażenie kościoła

Z uwagi na znaczną wartość niektórych aparatów kościelnych Komitet Budowy Kościoła wystosował apel do instytucji mogących przyjąć z pomocą finansową. Podobny apel wystosowano również do osób fizycznych. Wezwanie nie pozostało bez echa.

Pamiętnego kwietniowego popołudnia 1932 r. na przystanku autobusowym, w połowie wsi, przy starej szkole powszechnej, z autobusu jadącego od strony Żabinki, wysiadł nieznany nikomu skromnie ubrany mężczyzna dźwigając pokaźnej wielkości starannie opakowaną paczkę. Zatrzymał się przed domem Jana Łojkuca i stojąc bezradnie zaczął wypytywać gdzie się mieści Komitet Budowy Kościoła? Z zagadkowym nieznany przybysz pierwszy kontakt nawiązał Andrzej Homziuk. Zadając pytanie w jakiej sprawie chciałby rozmawiać z przedstawicielami budowy kościoła. Nieznajomy przybysz przedstawił się jako Józef Maciejewski pochodzący z Częstochowy. Przyjechał, z własnoręcznie wykonaną kopią cudownego obrazu Matki Boskiej Jasnogórskiej. W ten nieco tajemniczy sposób, bez uprzedzenia, Matka Boska Częstochowska przybyła do Peliszcza nawiedzając parafię jeszcze przed wybudowaniem kościoła. Przybyła niejako sama, bez honorowej eskorty, by patronować dalszej budowie Domu Bożego i opiekować się wiernym jej ludem, pozostając tam na zawsze.

Wiść o przywiezionym obrazie z szybkością „przysłowiowej” błyskawicy obleciała całą wieś i spowodowała, że w kilkadziesiąt minut przy obrazie zebrało się liczne grono mieszkańców w tym przeważnie niewiasty i młodzież. Zebrani na miejscu podjęli zgodną decyzję, by do czasu wybudowania kościoła, tak cenny prezent, tymczasowo, umieścić w jednym z większych domów wsi Peliszcze.



Kościół w Peliszcach oddany wiernym „w stanie surowym”

Wybór padł na mieszkanie Tomasza Paszkowicza, w którym jeden większy pokój od lat służył mieszkańcom wsi na odprawianie zbiorowych modlitw (różaniec, nabożeństwo majowe). Zgromadzone niewiasty wzięły obraz na ręce i śpiewając nabożne pieśni religijne, w nastrojowej atmosferze zapadającego zmierzchu, i w należytej powadze przeszły około pół kilometra, by w wybranym domu, na honorowym miejscu umieścić obraz. W obszernej izbie obraz został umieszczony w okiennej ramie, do której swoimi wymiarami dokładnie pasował. Pod obrazem został ustawiony stół, na którym składano żywe kwiaty. Do dnia 18 listopada 1934 r. obraz Czarnej Madonny Jasnogórskiej był adorowany przez wiernych mieszkańców zbierających się tam na wspólne modlitwy majowe i różańcowe.

Niezwykle skromny pan Józef Maciejewski z własnej inicjatywy, na wiadomość o budowie jednego z pierwszych po odzyskaniu niepodległości kościołów na Polesiu, własnoręcznie wykonał kopię obrazu i na własny koszt dostarczył do miejsca przeznaczenia. Ugoszczony w Peliszcach, po przenocowaniu i obejrzeniu budowanego kościoła, życząc pomyślnego dalszego przebiegu prac budowlanych, odjechał do stacji kolejowej w Żabince, skąd pociągiem udał się do Częstochowy pozostawiając piękną pamiątkę – pierwszy obraz na wyposażenie kościoła.

Na apel Komitetu Budowy Kościoła latem 1934 r. zaczęło napływać wyposażenie niezbędne do odprawiania Mszy św. Niektóre szaty obrusy i przykrycia ołtarzy zostały artystycznie wykonane z lnu i wełny

chałupniczym sposobem, przez pracownice niewiasty z Peliszc i sąsiednich wsi. Dwa konfesjonały, drewnianą podłogę, ołtarz główny i boczne ołtarze wykonali bezpłatnie miejscowi stolarze. Niewiasty należące do Straży Honorowej ufundowały z własnych składek chorągiew poświęconą Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. Janina Kowalczyk z domu Wojtowicz z Kolonii Grabowce ufundowała dwie czarne chorągwie pogrzebowe. Staruszka, samotna wdowa Urszula Paszkowicz ufundowała dwie ozdobne chorągwie procesyjne. Do czasu kiedy w tym miejscu stanie nowy duży dzwon (lub kilka nowych dzwonów), 24-kilogramowy dzwon został przeniesiony na wieżę kościelną, który wcześniej był zawieszony na drzewie przy starej szkole. Przez długie lata zwoływał wiernych na modlitwę.

Poświęcenie kościoła

Z nadejściem jesieni 1934 r. zaczęły się gorączkowe przygotowania do uroczystości poświęcenia kościoła, zaplanowanej na niedzielę, 18 listopada. Tego dnia, w nie otynkowanych jeszcze surowych murach w nowej świątyni po raz pierwszy została odprawiona Msza św. Dzień ten został upamiętniony jako święto parafialne do dziś obchodzone uroczystością pod nazwą „rocznica poświęcenia kościoła”. W tym dniu uroczystą Mszę św. odprawił ks. dziekan z Brześcia w asyście trzech księży. Na uroczystości poświęcenia nie było biskupa, do którego uprawnień należy konsekracja i umieszczenie świętych relikwii w ołtarzu. Dalszy ciąg wypadków sprawił, że poświęcenie kościoła, do dziś nie zostało zastąpione uroczystością konsekracją³.

Do Peliszc w tym dniu przybyły liczne rzesze wiernych, w tym było sporo osób wyznania prawosławnego. Z konieczności wielu pozostawało na zewnątrz kościoła. Uroczystości sprzyjała pogoda, gdyż listopad był w tym roku wyjątkowo ciepły. Poprzedniego dnia przeszła wielka burza z wyładowaniami elektrycznymi, od których z sąsiedniej wsi spłonęła stodoła pełna zbiorów. Tydzień, po zakończonym nabożeństwie komitet w starej szkole wydał obiad dla zaproszonych gości. Przygotowaniem obiadu zajęły

³ to jest do 17.07.1987 (red.).

się kobiety z Koła Gospodyń Wiejskich pod kierunkiem Anny Tabakowej żony kierownika miejscowej Szkoły Powszechnej. Młodzież peliszczańska zorganizowała loterię fantową, wśród fantów były owce, prosięta, króliki i drób. Całkowity dochód około 250 zł został przeznaczony na zakup wyposażenia do kościoła.

Dzień 18 listopada pozostał na długo w pamięci wiernych.

Od tego dnia, zgodnie z uprzednimi ustaleniami, co drugą niedzielę, o godz. 7.00 rano odprawiana była Msza św. przez niestrudzonego proboszcza parafii kamienieckiej Ignacego Wierobieja. Ofiarny kapłan, przy sprzyjającej pogodzie dojeżdżał własnym rowerem, a w dni deszczowe lub mroźne korzystał z przysyłanej po niego furmanki.

Ograniczone zostały wyjazdy furmankami do kościoła w Kamieńcu, co wyraźnie odczuli inicjatorzy budowy kościoła. Zwiększył się udział wiernych na nabożeństwach niedzielnych, gdyż każdy przyjazd księdza do kościoła w Peliszczach gromadził nieporównywalnie więcej osób od tych, którzy przedtem jeździli lub chodzili do kościoła w Kamieńcu.

„Rorate coeli de super”

„Spuście roś Niebios a z góry” – te słowa i melodia adwentowa, po raz pierwszy zabrzmiały w peliszczańskim kościele, już w kilka tygodni po listopadowej uroczystości w 1934 r. Było to wielkie przeżycie dla tych wszystkich, którzy przyczynili się do zbudowania świątyni Pańskiej. Po 16-tu latach od dnia uzyskania niepodległości państwa i 10 lat po spaleniu kościoła parafialnego w Kamieńcu Litewskim, zamierzony cel został osiągnięty.

W okresie przygotowania do uroczystości listopadowej, wiosną 1934 r. w Peliszczach powstał chór kościelny. Organizatorem chóru i zarazem jego dyrygentem był młody nauczyciel szkoły powszechnej, pochodzący z Kościana Wielkopolskiego Mieczysław Stefanowicz. Energiczny młody nauczyciel, przykładny katolik, rozmiłowany w muzyce i śpiewie, dobrawszy spośród młodzieży wiejskiej chętnych amatorów śpiewu, rozpoczął systematyczne ćwiczenia czterogłosowego chóru kościelnego. Pierwszymi chórzystami byli: Emilia Paszkowicz, Antonina Owsianik, Karolina Owsianik, Antonina Jurec, Maria Żuk (córka Piotra), Antonina Trzeciak (córka Andrzeja), Anna Paszkowicz, Maria Łojkuć,

Maria Jurec (córka Antoniego), Antonina Trzeciak (córka Stefana), Stanisław Trzeciak (syn Stefana), Józef Trzeciak (syn Andrzeja), Bronisław Trzeciak (syn Piotra) Franciszek Żuk (syn Leona), Kazimierz Żuk (syn Jana), Józef Hołod, Józef Kononowicz, Stanisław Kuchta, Wincenty Homziuk, Antoni Paszkowicz. Później dołączyli do chóru inni młodzi chłopcy i dziewczęta. Przy końcu lat trzydziestych chór uzyskał wysoki poziom był wielokrotnie zapraszany na uroczystości religijne i świeckie (dożynki) do sąsiednich parafii.

Zakupiona okazyjne mała fisharmonia dała nieocenione usługi podczas szkolenia chóru i do dziś spełnia tam funkcję organów, których kościół jeszcze nie posiadał.

Finezyjnie opracowana przez chór msza gregoriańska była dużym osiągnięciem artystycznym, cennym w całej okolicy.

Księża Marianie z Bielan

Tak się złożyło, że w tym samym roku (1924), w którym spalił się kościół w Kamieńcu Litewskim, gdy zrodziła się budowa kościoła w Peliszczach, 21-letni mieszkaniec Peliszcz, Leon Szeluk (potem zmienił nazwisko na Szelać) podjął życiową decyzję wstąpienia do zakonu księży Marianów. Wbrew woli własnego ojca Antoniego Szeluka, z akceptacją matki wstąpił do zgromadzenia w Raśnej koło Wysokiego Litewskiego, potem kolejno był w Skórcu, Drui, na Bielanach Warszawskich, wreszcie w Rzymie ukończył długą drogę do ołtarza. W tym czasie, kiedy już jako kleryk przyjeżdżał do domu rodzinnego na wakacje lub ferie świąteczne, razem z nim przyjeżdżali niejednokrotnie księża marianie, którzy goszcząc w Peliszczach odprawiali Mszę św. w intencjach zgłaszanych przez wiernych. Była w tym podwójna korzyść. Wyręczali od przyjazdów proboszcza z Kamieńca Litewskiego i zwiększali ilość dni w miesiącu, podczas których można było uczestniczyć w nabożeństwach. Takie przyjazdy były szczególnie pożądane i mile widziane podczas ferii Bożego Narodzenia i Świąt Wielkanocnych sprawiały wiele radości wiernym nowo powstającej parafii. Spośród odwiedzających kościół w Peliszczach pamiętam nazwiska takich księży, jak: J. Jarzębowski, L. Pawlik, A. Podziawo, A. Perz, W. Łysik, F. Czeczott, S. Chajęcki.

Prymicia

Na początku sierpnia 1936 r., po otrzymaniu święceń kapłańskich, ks. Leon Szelaż w towarzystwie księdza Józefa Jarzębowskiego, swojego wychowawcy i w asyście ks. Lucjana Pawlika odprawił Mszę św. prymicyjną w kościele peliszczowskim. Podczas tej uroczystości kościół był wypełniony do ostatniego miejsca przez wiernych z Peliszczy i okolicy, a nade wszystko przy udziale uszczęśliwionych rodziców, rodzeństwa, krewnych, rówieśników i znajomych. Poświęcając się służbie Bożej, młody kapłan za pośrednictwem Matki Niepokalanej, której los swój powierzył do święceń kapłańskich wybrał hasło:

„Cóż oddam Panu memu za wszystko, co mi uczynił”,

„W prostocie i szczerości serca oddaję się Tobie na wieczną służbę”.

„Spraw Panie, bym wsparty tak wielką łaską, w niewinności serca aż do końca wytrwał, a w miłości i poświęceniu dla dusz oraz we wdzięczności dla tych, którzy wiedli mnie do Twych ołtarzy, coraz więcej się pomnażał”.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich przez ks. L. Szelaż w 1936 r., kontakty między zgromadzeniem xx Marianów na Bielanych a mieszkańcami Peliszczy znacznie się wzmogły. Dzięki tym kontaktom coraz więcej wiernych mogło korzystać z nabożeństw odprawianych przez księży marianów.

Konflikt

Znane powszechnie przysłowie „zgoda buduje, niezgoda rujnuje” znalazło i tu swoje zastosowanie. W 1935 r. w miejscu spalonego przed 11-tu laty kościoła w Kamieńcu Litewskim, aktualny proboszcz ks. Ignacy Wierobiej przystąpił energicznie do odbudowy parafialnego kościoła. Według założeń i opracowanych planów nowy kościół miał być znacznie większy od spalonego, zbudowany z cegły wypalanej na przedmieściu Zamosty.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, katolicy z Peliszczy, z Bohdziuk, Podlesia, Lasotów, Sosnow i Grabowców zobowiązali się do świadczenia niewykwalifikowanej robocizny fizycznej i pracować własnymi zaprzęgami konnymi. Po założeniu fundamentów, gdy przystąpiono do wznoszenia murowanych ścian okazało się, że posiadane środki finansowe nie pokrywają przewidywanych zamierzeń. Kiedy pozornie wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, bez żadnych przekonujących przesłanek, dotychczas-

sowa dobra współpraca z parafią kamieniecką zaczęła się psuć. Pierwszym sygnałem była wiadomość, że w Bohdziukach zostanie wybudowana drewniana kaplica. W kilka miesięcy potem budowa ta została zakończona, a mieszkańcy mieli zapewnienie ks. I. Wierobieja, że co drugą niedzielę będzie przyjeżdżał i odprawił Mszę św. o godz. 7 rano. Pierwszymi inicjatorami budowy kaplicy byli: B. Rymkiewicz, organista parafii kamienieckiej i mieszkaniec Bohdziuk Walenty Smal. Korzyść w początkowej fazie odnieśli mieszkańcy Bohdziuk, którzy zadeklarowali częścią pomocy finansową na budowę kościoła w Kamieńcu co drugą niedzielę mieli nabożeństwo w swojej kaplicy w pozostałe niedziele w Peliszczy lub Kamieńcu.

Zaistniała obawa oderwania 74 rodzin (około 300 osób) od projektowanej parafii w Peliszczy. Zaczęły krążyć najrozmaitsze domysły i plotki, godzące w powagę krystalizującego się realnego planu powołania nowej parafii przy bądź co bądź, wybudowanym już kościele w Peliszczy.

Pozornie nic się złego nie stało. Budynek kościoła w Peliszczy był już wybudowany, a kaplica w Bohdziukach mogła istnieć, jak wiele tego rodzaju kaplic na terenie kraju, tym bardziej, że na Polesiu kościołów i kaplic katolickich nie było zbyt wiele. Jednakże nie oto chodziło. Sednem sprawy było niedopuszczenie jak najdłużej do podziału dawnej parafii kamienieckiej, co znalazło potwierdzenie w dalszym rozwoju wypadków. Jako jeden z epizodów tej dziwnej sytuacji do dziś tkwi we mnie taki szczegół. Wiosną 1937 r. w dniu Zielonych Świąt około godziny 7 rano przyjechał do Peliszczy rowerem kamieniecki proboszcz ks. I. Wierobiej. Zapytał stojących przed kościołem parafian: „czy w dniu wczorajszym zostało przewiezione drzewo z lasu Skinderówka do Kamieńca”? Od oczekujących na nabożeństwo padła odpowiedź, że z uwagi na pilne wiosenne prace w polu nie wszyscy mogli wyjechać, niemniej pozostała w lesie reszta drzewa zostanie przewieziona w najbliższych dniach zaraz po Zielonych Świątkach. Na to ks. I. Wierobiej stwierdził krótko: „to i Mszy św. dzisiaj nie będzie”. Po czym odjechał do Kamieńca, zostawiając osłupiałych kilkaset osób bezradnie oczekujących w kościele na odprawienie przewidzianego w tym dniu nabożeństwa.

Jako młody chłopak byłem zaszokowany, zresztą wszyscy inni jednakowo to odczuli i zareagowali oburzeniem. Jak można było tak postąpić? Na tym

tle powstało we mnie rozgoryczenie i wątpliwości. Byłem o krok od utraty wiary. Zwyciężył jednak rozsądek, po rozmowach z rodzicami, na tle głębokiej wiary jaka istniała w domu rodzinnym. Dziś z perspektywy kilkudziesięciu lat i doznanych przeżyć chwilami dziw bierze, że tyle głębokiej i mocnej wiary pozostało w sercach młodych wówczas peliszczan, którzy po przeżyciu kryzysu religijnego na tle budowy kościoła, pozostali wierni ideałom zaszczerpionych w dzieciństwie.

Wszyscy byli zaszokowani, wśród mieszkańców południowej części parafii kamienieckiej, która miała wejść do parafii peliszczowskiej powstało rozgoryczenie i oburzenie. Ja jako młody chłopak też tak to odczułem. Dziwiłem się jak można było tak karać? Dziś z perspektywy kilkudziesięciu lat i doznanych przeżyć chwilami dziwię się, że tyle głębokiej i mocnej wiary pozostało w sercach wówczas młodych peliszczan, pozostali wierni ideałom zaszczerpionym w dzieciństwie. Ten incydent, szereg spięć i nieporozumienia z proboszczem kamienieckim zmobilizował „poleski upór” peliszczan, do przyspieszenia starań o własnego księdza. Jedynie znikoma część mieszkańców, katolików wsi Bohdziuki udzieliła finansowego wsparcia proboszczowi kamienieckiemu.

Podczas ostatniej, przed II wojną światową, pasterskiej wizytacji w parafii kamienieckiej, ks. biskup Karol Niemira wizytował kościół w Peliszczach i kaplicę w Bohdziukach. Przeprowadził stosowne rozmowy, usiłując doprowadzić do zlikwidowania narastającego konfliktu. Niestety, toczące się spory zlikwidował dopiero czas i wypadki, jakie zaistniały podczas, i po II wojny światowej.

Starania o księdza

Nieprzyjemną atmosferę pogłębiały dające się mocno we znaki odczuwalne na wsi trudności gospodarcze, będące następstwem kryzysu początku lat 30-tych. Zmęczony był też pracą społeczną Komitet Budowy Kościoła i wymagał wsparcia, którego mógł mu udzielić jedynie kapłan-proboszcz przejmując część obowiązków komitetu. Dotyczyło to głównie obowiązków związanych z dalszymi pracami wykończeniowymi zbudowanego już kościoła oraz organizacji nowopowstającej parafii. Te przesłanki w głównej mierze zadecydowały, że mieszkańcy projektowanej parafii peliszczowskiej 1937 r. przystąpili energicznie do starań u władz kościelnych o oddele-

gowanie na stałe księdza do Peliszczy, który przejąłby koordynację dalszych prac rodzącej się nowej wspólnoty parafialnej.

Wysłano zatem pisma. Najpierw do władzy kościelnej – dziekanatu w Brześciu n/Bugiem i Kurii Biskupiej w Pińsku, a następnie do Warszawy. Gdy pisma nie wywołały oczekiwanej reakcji, udała się delegacja do metropolity wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego. Wprawdzie delegacja otrzymała tam pocieszającą pozytywną odpowiedź, to jednak po upływie określonego czasu, udzielone zapewnienie okazało się bezskuteczne. Jedynym rezultatem wyjazdu tej delegacji był z polecenia arcybiskupa, przyjazd z Brześcia do Peliszczy ówczesnego dziekana ks. kanonika Lucjana Żołądkowskiego. Po dokładnym obejrzeniu kościoła stwierdził, że nie jest to kaplica jak był poinformowany, ale całkiem ładny kościół.

Nie mając odpowiedzi na wysłane wcześniej pisma do Kurii Biskupiej w Pińsku, pod koniec 1937 r., wybrała się delegacja mieszkańców Peliszczy do biskupa w Pińsku Kazimierza Bukraby. Ks. biskup przyjął delegację, wysłuchał przedłożonych argumentów i na koniec oświadczył że „sprawa obsadzania kościoła w Peliszczach zostanie w niedługim czasie definitywnie i pozytywnie załatwiona”. Po upływie kilku miesięcy sprawa gdzieś utknęła i nie posunęła się do przodu. W tej, zdawałoby się beznadziejnej sytuacji, zrezygnowani inicjatorzy budowy kościoła wysłali do ks. biskupa K. Bukraby depeszę z pytaniem: „czy ks. biskup nie chce czy nie może załatwić sprawy peliszczowskiej”? I ta depesza pozostała bez odpowiedzi. W końcu zimy (luty, marzec) 1938 r. atmosfera we wsi stała się napięta i nieznośna, sięgając „zenitu”. Wtedy pojawiły się we wsi „prądy” wskazujące na możliwość rozwiązania konfliktu w oparciu o Kościół Narodowy.

W tej sytuacji *ultima ratio* zastosowano ostateczny środek postanowiono wysłać delegację do miejscowych władz szczebla wojewódzkiego. Wytypowano cztery osoby: Annę Tabakową, Marię Paszkowicz, Helenę Owsianik i Kazimierza Karlikowskiego, którzy udali się do wojewody poleskiego w Brześciu n/B, słynnego w owym czasie Wacława Kostki-Biernackiego. Wojewoda, w obecności delegacji, w czasie rozmowy telefonicznej z ks. biskupem, zażądał wysłania do Peliszczy na stałe księdza. Stwierdził, że w Brześciu może być o jednego księdza mniej, ale w Peliszczach najdalej z tydzień powinien być ksiądz, bo tam trzeba nadrobić straty zadane przez

carat w latach niewoli i prześladowań. Po zakończeniu rozmowy telefonicznej wojewoda, żegnając się z delegacją, zapewnił, że w najbliższych dniach przyjedzie na stałe do Peliszczy kapłan.

Przyjazd księdza do Peliszczy

W niedzielę Wielkiego Postu (była to pierwsza lub druga niedziela Wielkiego Postu), w godzinach rannych, przybył wprost do kościoła pierwszy kapłan, mający rozpocząć stałą posługę w nowo zbudowanym kościele peliszczańskim – ks. Mieczysław Mieczkowski. Do pracy kapłańskiej w Peliszczy księdza Mieczkowskiego prowadziła droga przez Pińsk, Brześć, Czernawczyce i Kamieniec Litewski. Przybył nie najlepiej poinformowanych o warunkach środowiskowych przyszłej parafii. Zaraz po przyjeździe o 11-ej godzinie została odprawiona suma. Treść kazania odbiegała całkowicie od tematyki ewangelicznej, a dotyczyła wymagań, jakie są nieodzowne do utrzymania parafii, wyposażenia kościoła plebanii, niezbędnych aparatów liturgicznych i warunków materialnych. Podniesiony głos i gestykulacja sprawiły, że ministranci bali się zbliżyć do księdza przy ołtarzu. Z wypowiedzi księdza Mieczkowskiego wynikało jego przekonanie o tym, że został podjęty zbyt wielki zamiar w stosunku do realnych możliwości Peliszczy. Nie wywołało to takiego wrażenia wśród wiernych, jakiego oczekiwał.

Bezpośrednio po sumie, członkowie Komitetu Budowy Kościoła zaprosili księdza Mieczkowskiego do przygotowanej kwatery. Była to połowa dużego wiejskiego domu składająca się z trzech izb: pokój, przedpokój i kuchnia. Mieszkanie to zostało bezpłatnie udostępnione przez rolnika Piotra Żuka na okres niezbędny do wybudowania plebanii. Podczas obiadu w rozmowie wyjaśniono szereg spraw mających istotne znaczenie dla rozładowania napięcia, jakie istniało na terenie kamienieckiej i sąsiednich parafii.

Po tej rozmowie, nastąpiła wyraźna zmiana stosunku ks. Mieczkowskiego do wiernych, co się ujawniło jeszcze tego samego dnia zgromadzonych w kościele na nabożeństwie Gorzkich Żali. W wyniku dalszych rozmów i wyjaśnień, z dnia na dzień, zmieniał się wzajemny stosunek kapłana i wiernych. Już po tygodniu ks. Mieczkowski zdecydowanie stanął po stronie organizowanej nowej parafii w Peliszczy. Nie zwlekając, przystąpił do demontażu tendencyjnie inspirowanych nieporozumień, w obrębie parafii

kamienieckiej. Wraz z przyjazdem księdza, zapoczątkowane zostało nowe życie rodzącej się społeczności parafialnej. Od tego czasu obecność Chrystusa stała się bliższa sercom prawie półtora tysiąca inicjatorów i zarazem ubogich fundatorów świątyni Pańskiej, mającej spełniać rolę nieustannego źródła natchnienia i siły przyszej wspólnoty parafialnej.

Osiągnięcie zamierzonego celu

A jednak, zrodzona w latach 1924/25 myśl zbudowania kościoła oraz wydzielenie nowej parafii w Peliszczy, z chwilą przyjazdu księdza na przedwiosniu 1938 r., stawała się, wprawdzie powoli, realną rzeczywistością. Jedną z najpilniejszych spraw, po przyjeździe księdza było zapewnienie nieodzownego sprzętu liturgicznego na okres Wielkiego Tygodnia zbliżających się Świąt Wielkanocnych. Uruchomione zatem zostały wszystkie możliwości społecznego wysiłku, mogące zapewnić należyty przebieg tych uroczystości.

Po skierowaniu ponownego apelu do parafian oraz za ich pośrednictwem, do czynnych sympatyków budowy peliszczańskiego kościoła, sypały się ofiary tak pieniężne jak rzeczowe. W tym miejscu należy wymienić kilku spośród licznych ofiarodawców. Jednym z pierwszych fundatorów okazał się ziemianin Przybora, właściciel majątku Siechnowice (majątek po rodzinie Tadeusza Kościuszki) położonego 12 km od Peliszczy, w kierunku Żabinki. On to zakupił i ofiarował do kościoła monstrancję o wartości 400 zł.

Młodzież z gimnazjum XX Marianów na Bielanach w Warszawie z własnych składek pieniężnych zakupiła piękny mszał i okazałą świecę paschalną ze świecznikiem. Młodzież katolicka ze wsi Peliszcze, zorganizowana w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, w ramach działalności amatorskiego zespołu teatralnego, prowadzonego przez Annę Tabakową przygotowała i wystawiła w Peliszczy oraz w kilku sąsiednich miejscowościach „II Część Dziadów” Adama Mickiewicza. Za uzyskany dochód z biletów ufundowano do kościoła baldachim. Godna podziwu była ofiarność, dzięki której zostały spełnione podstawowe potrzeby kościoła związane z nadchodzącym Świętem Zmartwychwstania.

Czternaście lat starań, najrozmaitszych zabiegów i olbrzymiego wysiłku materialnego, doprowadziły w konsekwencji do upragnionej możliwości odświeżania, w dniu Zmartwychwstania roku Pańskiego

1938, radosnej pieśni „Wesoły nam dziś dzień nastał”. To była radość prawdziwa, która w procesji rezurekcyjnej przejawiała się śpiewem triumfu i płaczem radości. Triumfem ustanowienia miejsca, w którym odbywało się bezkrwawe, wieczne przeistaczanie tajemnicy wiary świętej. Tych przeżyć nie sposób opisać, gdyż po prostu zrodziły się samorzutnie w ludzkich sercach.

Po zakończeniu pierwszego okresu wielkanocnego życia mieszkańców Peliszczy i przyległych miejscowości zaczęło się układać w sposób odmienny od lat poprzednich. Do tradycyjnych porządków domowo-rodzinnych „wśród nowy czynnik religijny” wynikający z działalności kościoła, który „korygował” prace zawodowe. Przyjęty porządek nabożeństw kościelnych zaczął „regulować” codzienne życie mieszkańców, gdyż pracę w gospodarstwach rolnych niejednokrotnie trzeba było dostosować do tego porządku. Stojący obecnie na czele Komitetu Budowy Kościoła ks. M. Mieczkowski koordynował dalsze prace, zmierzające do całkowitego zakończenia budowy, uzupełnianie wyposażenia do konsekracji kościoła i formalnego erygowania przez władze kościelne nowej parafii.

Korzystając z ofiarności mieszkanki Peliszczy Petroneli Werszko, zbiorowym wysiłkiem przewieziono z puszczy Białowieskiej (odległej o 40 km), zakupiony tam drewniany dom, który następnie postawiono w odległości 150 m od kościoła. Za przewiezienie i zbudowanie na nowym miejscu, właścicielka zobowiązała się odstąpić bezpłatnie część domu do urządzenia plebanii, do czasu wybudowania plebanii parafialnej. Tym sposobem, zimą 1938/39 r. proboszcz peliszczowski zamieszkał w wiejskim domu, ale w godziwych warunkach i blisko kościoła.

Nadając prawidłowy bieg pracom organizacyjnym, po uzgodnieniu projektu z władzami administracyjnymi, przystąpiono do ogrodzenia i urządzenia parafialnego cmentarza, położonego w odległości 300 m od kościoła. Późną jesienią 1938 r. pogorszył się stan zdrowia, osłabionych, prawie roczną chorobą obojga rodziców ks. Leona Szeląga. Rodzice księdza modlili się, by mogli razem umrzeć i tym samym sprawić dzieciom tylko jedno zmartwienie. Modlitwa została przez Pana Boga wysłuchana, gdyż w dwa dni po śmierci matki, a było to 30 grudnia, zmarł ojciec. W tej niezwyklej sytuacji 2 stycznia 1939 r. do wspólnej mogiły złożono razem ciała obojga rodziców. Na pogrzeb rodziców ks. L. Szeląga przyjechało z Biełan

trzech księży ze zgromadzenia Marianów, w tym ks. Józef Jarzębowski. Wydarzenie to pozostało na długo w pamięci tych, którzy w nim uczestniczyli.

Przełomowy rok

Kiedy został osiągnięty wymarzony i upragniony cel, kiedy zdawało się, po wieloletnim wysiłku, że nadszedł czas korzystania z owoców „Winnicy Pańskiej”, nieoczekiwanie nad Polską zachmurzyło się niebo i we wrześniu 1939 r. uderzył grom, którego następstw dziejowych nikt nie przewidział. Już zaskoczeniem była mobilizacja marcowa, która z jednej tylko wsi Peliszcze zabrała ponad 30 młodych mężczyzn, wprowadzając zamęt i niepokój do wielu rodzin. Atmosfera, jaka zapanowała, nie sprzyjała dalszemu kontynuowaniu prac wykończeniowych (głównie tynkarskich i malarskich) przy kościele. W związku z tym, po otynkowaniu kościoła na zewnątrz, zdecydowano wstrzymać dalsze prace dotyczące wnętrza. Zwiększyła się natomiast ilość intencji mszalnych zamawianych w kościele przez matki i żony zmobilizowanych synów i mężów.

Po tragicznych dniach walk wrześniowych na dwa fronty, zapadła wieloletnia noc okupacyjna. W bilansie strat wrześniowych, z projektowanej parafii peliszczańskiej, zginęło 5-ciu mężczyzn: Józef Trzeciak, Mikołaj Żuk, Antoni Werszko, Aleksander Kowalczyk, Jan Witombowski, a Julian Chomicz, w czasie obrony Brześcia, stracił nogę. Na początku drugiej dekady września, od strony Prus Wschodnich wkroczyły do Peliszczy wojska hitlerowskie, które następnie realizując pakt Ribbentrop-Mołotow i ściśle tajny protokół dodatkowy, po kilku dniach odstąpiły tereny na wschód od Bugu wojskom sowieckim wkraczającym od strony wschodniej.

Zgodnie z zamawianymi intencjami mszalnymi, peliszczański ksiądz modlił się za walczących żołnierzy. Otrzymywał za to ofiary w naturze: drób nabiał i inne artykuły żywnościowe, gdyż dotychczasowy pieniądź utracił swoją wartość obiegową. Proboszczowie w sąsiednich parafiach pozbawieni dochodów beneficjalnych, na skutek przeprowadzonych wywłaszczeń przez władzę sowiecką, odczuwali w tym czasie poważne braki materialne.

Po niespełna dwuletnim pobycie, na początku 1940 r. ks. Mieczysław Mieczkowski został przeniesiony do innej parafii, a zwolnione po nim miejsce objął ks. Wacław Tumiłowicz. Niestety, postępują-



ca choroba gruźlicy płuc spowodowała, że po kilku miesiącach pobytu w Peliszczach, został skierowany na leczenie, które zakończyło się śmiercią. Podczas pobytu ks. W. Tumiłowicza na leczeniu sanatoryjnym, okresowo zastępstwo pełnił ks. kanonik Lucjan Żołądkowski, który pozostał na stałe w Peliszczach. Były to lata 1941-1944, gdy na Wschodzie zmagaly się dwie największe armie świata, a w Polsce szalał terror niemiecki. Pomimo podeszłego wieku ks. Żołądkowski po przejęciu obowiązków kapłańskich, w liczonym środowisku katolickim (a tym samym pod względem narodowościowym polskim), utrzymywał stały kontakt i współpracę z Armią Krajową działającą na terenie Peliszczy w ramach placówki o kryptonimie „Emilia”. Dysponował dużym doświadczeniem życiowym, służył często dobrą radą, wsparciem moralnym i materialnym, a nade wszystko modlitwą. Był to kapłan różniący się zasadniczo od niektórych księży z sąsiednich parafii zatroskanych o sprawy materialne. Za wykonywane posługi kościelne nikomu nie narzucał wysokości ofiary i tym zjednał sobie

u wielu wiernych wielki szacunek i poważanie. Bywało, że (czynił tak zwłaszcza przy uroczystościach pogrzebowych) przed pobraniem ofiary przeprowadzał najpierw rozmowę z kościelnym, podczas której zwykle stawiał pytanie: „czy nie trzeba udzielić pomocy materialnej rodzinie zmarłego”? W zależności od otrzymanej odpowiedzi pobierał ofiarę. Było to na wskroś prawdziwie chrześcijańskie postępowanie, za które był szczególnie lubiany i szanowany przez parafian, co przejawiało się zwiększeniem ofiarności parafian.

W tym czasie wśród księży w sąsiednich parafiach utarło się powiedzenie, że pragnieniem każdego z nich było by: „choć na rok, dwa, zostać proboszczem kościoła peliszczańskiego”. W stosunku do organizacji podziemnej ks. L. Żołądkowski postępował w sposób rozsądny i umiemy. Na młodzież oddziaływał w czasie niedzielnych kazań, a nade wszystko w osobistych kontaktach. W lipcu 1943 r. już w dwa dni po tragicznej śmierci gen. Władysława Sikorskiego pod Gibraltarem, w peliszczańskim kościele zosta-

Kościół
przed
remontem



Kościół
po remoncie,
1995 r.



ła odprawiona Msza św. żałobna za spokój dusz ofiar katastrofy. W nabożeństwie tym wzięło udział wielu młodych mieszkańców należących do podziemnej organizacji AK.

Ostatnią intencję mszalną odprawił ks. kanonik Lucjan Żołądkowski w dniu 9.08.1944 r. za pomyślność odchodzących żołnierzy Armii Krajowej (w liczbie 150 ochotników z Peliszczy i okolicy) na zgrupowanie 30 Dywizji Piechoty AK w Lasach Grabowskich koło Białej Podlaskiej, przed wymarszem na pomoc powstańcom walczącej Warszawy. Wychodząc z oddziałem żołnierzy – ochotników AK, autor powyższej historii budowy jednego z kościołów na Polesiu pożegnał się na zawsze z ks. kan. L. Żołądkowskim, gdyż została ustanowiona na Bugu granica państwowa,

która zdecydowała, że ziemia rodzinna została włączona do Związku Radzieckiego.

W ten sposób kończy się historia budowy kościoła w sensie materialnym, ale nadal pozostaje sprawa otwartą dalszy rozwój i budowa w sensie duchowym tej świątyni Pańskiej, której, oby „bramy piekielne” nigdy nie zwyciężyły!

Antoni Paszkowicz

Oprac. *dr Jerzy Perdenia*, Kraków, 2011

O autorze

Antoni Paszkowicz, ur. 3.08.1919 r. w Peliszcach powiat Brześć n/Bugiem. Z domu wyniósł głęboką wiarę przekazaną przez rodziców i wrażliwość na sprawy społeczne. Wiejska szkoła w Peliszcach, dzięki wspaniałym nauczycielom jak np. Mikołaj Tabaka czy Aleksander Michalczuk, zaszczerpiła w nim miłość do Ojczyzny i poczucie obowiązku wobec niej. W 1939 r. gdy Polska była zagrożona ze strony Niemiec, zgłosił się na ochotnika do tzw. żywych torped. W latach 1940-1941 przebywał w Warszawie i tam włączył się do ruchu oporu (ZWZ-AK) oraz ukończył podchorążówkę leśną.

W 1941 r., po wkroczeniu Niemiec do Peliszczy – jego rodzinnej wsi, gdzie ostatnim transportem władze Związku Radzieckiego wywiozły na Sybir wraz z innymi zesłańcami jego rodziców wraz z bratem i siostrą, wrócił na opustoszałe rodzinne gospodarstwo w Peliszcach i zgodnie z rozkazem działał w okręgu Poleskim ZWZ-AK.

W sierpniu 1944 r. dowodził oddziałem Watra VIII 30-tej Poleskiej Dywizji AK, który szedł na pomoc powstańcom warszawskim. W 1945 r. po zakończeniu wojny, jak wielu innych repatriantów z Peliszczy i okolic, osiadł w Toruniu. Tu ukończył szkołę średnią, a po maturze już jako człowiek żonaty, zdobył wyższe wykształcenie na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Gdy pozwalało mu zdrowie, zawsze angażował się w prace społeczne dla środowiska w którym żył, nie zapominając jednocześnie o swoich rodzinnych Peliszcach. Aktywnie uczestniczył w działaniach powstałego konspiracyjnie 1975 r. Komitetu Odbudowy popadającego w ruinę kościoła w Peliszcach.

Był również współzałożycielem i przez pewien czas prezesem, powstałego w Toruniu 1996 r. Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia.

Zmarł 13.06.2001 r. po długiej chorobie. W pogrzebie uczestniczyło bardzo duże grono repatriantów z Peliszczy i okolic oraz ze sztandarami przedstawiciele organizacji i stowarzyszeń, w których działał.

Uroczystość pogrzebowa zakończyła się wspólnym odśpiewaniem hymnu narodowego.

Alina Paszkowicz

Toruń, 25.08.2010

Polska i Polacy

Polska

Jan Paweł II został ogłoszony błogosławionym. 1,5 mln pielgrzymów z całego świata wzięło udział w Watykanie we mszy beatyfikacyjnej, odprawionej przez papieża Benedykta XVI. Transmisję z Rzymu z radością oglądali Polacy w Polsce i na Białorusi. Na uroczystości beatyfikacyjne do Watykanu przybyło kilkadziesiąt tysięcy Polaków, z prezydentem Bronisławem Komorowskim, politykami i liczną delegacją polskiego Kościoła. Z Białorusi uczestniczyło w różnych grupach ponad 250 osób, wraz z hierarchami Kościoła katolickiego na czele z abp. Tadeuszem Kondrusiewiczem. Obecnych było ok. 90 oficjalnych delegacji z całego świata. Wielu pielgrzymów, którzy nie dostali się na szczelnie wypełniony Plac Św. Piotra, wysłuchało mszy na pobliskich ulicach, a nawet na mostach na Tybrze. Według mediów, w Watykanie najwięcej (poza Włochami) było Polaków - 80 tys. i Francuzów - 40 tys. Oczywiście wszyscy katolicy na Białorusi tak samo w ten dzień modlili się w kościołach całej Białorusi. (Patrzyłem w polskiej TV na te tłumy wiernych i przypominałem słynne szydercze słowa Stalina - „ile ten papież w Rzymie ma dywizji?” To nie dywizje, a całe armie).

W Polsce działa 530 szkół katolickich (wśród nich 139 katolickich liceum). Uczy się w nich 57.000 dzieci, ta liczba stale wzrasta. Te szkoły dają wysoki poziom nauczania i promują katolicki model wychowania. Szkoła katolicka jest otwarta także dla nie katolików. (Ciekawe, kiedy katolicy na Białorusi będą mieć takie szkoły?).

Polacy nie są obojętni na biedę i problemy obywateli Polski, ale gotowi do pomocy ludziom cierpiącym w innych krajach świata. Po tragedii w Japonii Caritas Polska zebrała dla ofiar trzęsienia ziemi w Japonii 3.000.000 zł.

W tym roku odznaczamy 90 lat (1901) bohatera rotmistrza Witolda Pileckiego, pochodzącego z Krupowa k/Lidy. Wielki polski patriota, uczestnik walk o Wilno, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej, współtwórca Tajnej Armii Polskiej, konspirator, więzień Auschwitz, ofiara komunistycznych represji. Po 2 latach starań powstał we Wrocławiu pomnik jednego z najodważniejszych ludzi na świecie - Witolda Pileckiego. Rotmistrz Pilecki walczył z dwoma totalitaryzmami: nazistowskim i komunistycznym. Pomnik został odsłonięty przez prezydenta Wrocławia Dutkiewicza oraz prezesa Dolnośląskiego Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK pułkownika Woźniaka. Pomnik poświęcił nasz „ziomek” z Wileńszczyzny kardynał Gulbinowicz. Witold Pilecki został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (1995) i Orderem Orła

Białego (2006). Wiele środowisk w Polsce podjęło starania o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego tego bohatera.

(Od Redakcji: W Polsce w ostatnich latach powstało i nadal rodzi się wiele inicjatyw uczczenia pamięci rotmistrza Witolda Pileckiego poprzez wmurowanie tablic pamiątkowych, nadania Jego imieniem nazw ulic, placów, rond, szkół, instytucji itp.)

W maju minęła 30-ta rocznica (1981) zamachu na naszego kochanego Jana Pawła II. Kula zamachowcy przeszła zaledwie o kilka milimetrów od tętnicy głównej. Do szpitala przyjechał prezydent Włoch Sandro Pertini, który przez cały czas czuwał pod salą operacyjną. Na szczęście Matka Boża czuwała nad papieżem. Strzały na Placu św. Piotra oddał do papieża Turek Mehmet Ali Agca. To, kto „stał” za zamachem, pozostaje jedną z największych zagadek w historii XX wieku. W przygotowanym następnie raporcie komisja włoskiego parlamentu stwierdziła, że bułgarskie służby specjalne wynajmując płatnego zabójcę Agcę działały na polecenie wywiadu wojskowego GRU. Pamiętamy zasługi naszego Papieża i prezydenta USA Regana. Dzięki tym dwóm wielkim postaciom rozpadło się zbrodnicze imperium sowieckie, upadł mur berliński, Polska i połowa Europy odzyskały wolność, a ludzie wiarę i nadzieję.

30 lat temu (13 grudnia 1981) bolszewicki reżim Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wprowadził stan wyjątkowy w Polsce. Tysiące polskich patriotów znalazło się „za kratami”. Czołgi i uzbrojeni żołnierze okupowali ulice i place polskich miast. „Czarna noc” opuściła się na polską ziemię. Wszyscy wiemy czym to się skończyło. Bo Polacy dobrze pamiętali, co im powiedział nasz papież Jan Paweł II, w 1979 r.

110 lat temu rozpoczął się (1901) słynny strajk dzieci z Wrześni. Na terenie zaboru pruskiego Niemcy wprowadzali germanizację wszystkich szkół. We Wrześni w szkole katolickiej na 651 uczniów - 642 było Polakami. Dzieci były zmuszone uczyć się po niemiecku i tylko religia była nauczana jeszcze po polsku. Ale w roku 1901 władze niemieckie zdecydowały, że i nauka religii musi się odbywać w języku niemieckim. Tego już nie wytrzymały polskie dzieci. Dzieci z wrzesińskiej szkoły odmówiły przyjęcia nowych niemieckich podręczników. W obronie dzieci ujęli się rodzice. Niemieccy nauczyciele najpierw zastraszały dzieci, potem bili, aż ręce były spuchnięte, że dzieci niosły książki po szkole pod pachami. Wtedy obok szkoły zgromadził się kilkusetosobowy tłum protestujących rodziców. Niemcy aresztowali najbardziej aktywnych rodziców i 26 z nich stało przed niemieckim sądem. 20 osób skazano nawet po 2,5 lat więzienia. Mimo drakońskich wyroków,

bicia dzieci i zaszczuwania Polaków szeroko rozszerzyła się akcja strajkowa. Za przykładem dzieci wrześnińskich poszli uczniowie innych szkół zaboru pruskiego. W 1906 r. opór dzieci, podtrzymywany przez rodziców, przybrał nawet postać powszechnego strajku. W strajku wzięło udział około 75.000 polskich dzieci w około 800 szkołach. To im zawdzięczamy, że polszczyzna przetrwała w najgorszym okresie walki, jaką podjął z ojczystym językiem Polaków pruski zaborca. Strajk dzieci z Wrześni stał się inspiracją do napisania przez Marię Konopnicką „Roty”.

400 lat temu (1611), po ponad półtorarocznym oblężeniu przez wojska króla Zygmunta III, Smoleńsk się poddał. Po niemal 100 latach rosyjskiego panowania miasto wróciło do Wielkiego Księstwa Litewskiego, a tym samym do Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Na specjalnym medalu wydanym w okazji zdobycia Smoleńska wybito łacińskie słowa, które w tłumaczeniu na język polski brzmią: „Zwyciężone, wolność odzyskuję”. Smoleńsk był strategicznym miastem. Położony między dorzeciami Dźwiny i Dniepru stanowił dla Rzeczypospolitej „klucz do Moskwy”. Niewielkie jak na takie przedsięwzięcie wojska Rzeczypospolitej pod wodzą hetmana Stanisława Żółkiewskiego stanęły jesienią 1609 r. pod murami Smoleńska. W szeregach Rzeczypospolitej walczyli także Litwini i kozacy z Zaporozża. Według różnych źródeł wojska te liczyły od ok. 10 do 17 tys. Nie dysponowały odpowiednią liczbą dział (30 lekkich armat) i nie były przygotowane do długotrwałego oblężenia miasta-twierdzy. Za wysokimi murami Smoleńska (liczącymi nawet 19 m i przetykanymi 38 basztami sięgającymi nawet 31 m) na wojska koronne czekali rosyjscy obrońcy. Pod wodzą Michała (Michaiła) Szejny miasta miało bronić (w zależności od źródeł) od kilku do kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy wspieranych przez mieszczan, których liczbę szacuje się także na kilkadziesiąt tysięcy. Rosjanie do pomocy mieli 500 Szwedów. Z murów strzelało ok. 170 dział. Do wysadzania murów sprowadzono nawet minerów z Francji i Szkocji. Ale i im nie udało się dokonać wyłomów w murach grubych na sześć metrów. W 1610 r. sprowadzono z Wilna i polskich Inflant ciężkie działa. Ostrzał, brak broni i wyżywienia doprowadziły do poważnego osłabienia obrońców. Do ostatecznego ataku doszło 12 czerwca 1611 r. Przypuszczono go na miasto-twierdzę niemal z wszystkich stron. Mina dokonała potężnego wyłomu w murach. Pozwoliło to na łatwe wejście wojsk Rzeczypospolitej. Smoleńsk został zdobyty.

20 lat temu (1991) w Moskwie znieśli sprzed budynku KGB pomnik jednego z najkrwawszych katów Związku Radzieckiego (sowieckiego Polaka) – Feliksa Dzierżyńskiego. Jego pomnik stał w tym miejscu 33 lata. Po nieudanym puczu tak zwanych „twardogłowych generałów”, Rosjanie zdecydowali (i słusznie) usunąć tego zbrodniarza z centrum Moskwy. (Niestety pomniki tego kata, jak i 2 pomniki Stalina, nadal stoją na Białorusi, a młodzi porucznicy białoruskiego KGB składają przed nimi przysięgę. A we wszystkich miastach Białorusi znajdują się ulice jego imienia. Boże! Jaki wstyd, jaka hańba nam wszystkim przed ich ofiarami).

W tym roku laureatem nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego stała się pisarka białoruska Swietłana Aleksijewicz, autorka książki „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Nagroda dla najlepszej książki reporterskiej wydanej w Polsce została przyznana przez miasto stołeczne Warszawa. Uroczystość odbyła się w Teatrze Polskim. Laureatka otrzymała 50.000 złotych. (Przypomnijmy, że znany polski pisarz Ryszard Kapuściński jest naszym krajanem, bo urodził się w Pińsku).

Najliczniejszy dotąd w Polsce Marsz dla Życia odbył się w Szczecinie. Uczestnicy marszu mieli otwarte parasole symbolizujące konieczność ochrony życia każdego dziecka poczętego. W marszu wzięło udział ponad 15.000 osób. (Czy możemy wyobrazić sobie taki marsz u nas na Białorusi?)

Nigdy wcześniej prasa niemiecka nie pisała o Polakach tak ciepło jak w tym roku. Od 1 Maja rynek pracy w Niemczech (i w Austrii) otworzył się dla Polaków. Na polskich robotników w Niemczech patrzy się jak „na zbawienie”. Plantatorzy szparagów i truskawek już zacierają ręce. Wreszcie będą mogli zatrudniać Polaków bez biurokratycznych procedur. Bo tam brakuje rąk do pracy. Mimo barier co roku do Niemiec jeździło pracować 200.000 Polaków. Kto bardzo chciał, ten już od dawna pracował. Po prostu będą teraz pracować legalnie. Chociaż fachowcom z Polski już nie bardzo opłaca się wyjeżdżać za granicę, bo i w Polsce zarabiają dość dobrze. Pojadą ci mniej kwalifikowani i z mniejszym wykształceniem. Efekty otwarcia rynku pracy najbardziej widać na mostach na Odrze. Rzemieślnicy z polskiej strony rano jadą do pracy do Niemiec, a wieczorem wracają do domu. Coraz więcej Polaków pracuje za granicą i coraz więcej tam zarabiają. W ubiegłym 2010 r. Polacy pracujący za granicą przysłali do Polski około 17 mld. zł (6 miliardów \$).

Nie oczekiwałem, że futbolowi kibice z Polski staną się jedną z najbardziej patriotycznej części polskiego społeczeństwa. Gdy byłem kilka lat temu w Poznaniu u znajomego, to dowiedziałem się, że kibice jednego z klubów piłkarskich wywiesili na stadionie w czasie meczu ogromny transparent, na którym napisali „17 września-IV rozbiór Polski”. Cieszyłem się ogromnie, że polscy kibice są nastawieni tak patriotycznie. Ale jak dowiedziałem się, że za to klub był ukarany, to byłem w szoku. Nie wszystkim podoba się takie nastawienie polskiej młodzieży. A wiosną tego roku kibice Śląska Wrocław wywiesili transparent ze słowami „Precz z komuną” z przekreślonym sierpem i młotem oraz podpisem „Lepiej być martwym niż czerwonym”. Pierwszą rocznicę tragedii w Smoleńsku silnie przeżywali nie tylko wszyscy polscy patrioci. We Wrocławiu, ale i w innych miastach kibice uczcili rocznicę Smoleńska. Nie wszystkim to w Polsce się podoba. Dlatego na polskich kibiców idzie zmasowany atak prorządowych mediów w Polsce. Wszyscy ci, którzy nie chcą pamiętać o tragedii w Smoleńsku naszego prezydenta i polskiej elity politycznej i wojskowej, posługują się często w stosun-

ku do kibiców słowami „bandyci, kibole, chuligani, zadymiarze”. Tak, polscy kibice, jak i kibice z całego świata nie są aniołami i różnie bywa. Ale na polskich stadionach staje się coraz mniej awantur i bezpieczeństwo na stadionach w ciągu 2 ostatnich lat bardzo się poprawiło i wykroczeń jest 3 razy mniej. A białoruskim kibicom trzeba jeszcze się uczyć patriotyzmu od swoich polskich kolegów.

Litwa

We wsi Mickuny pod Wilnem zostało zbudowane nowe polskie przedszkole. Koszt budowy szacuje się na około 600.000 \$. Na to przedszkole połowę sumy wydał Senat RP, a drugą połowę znalazł samorząd rejonu wileńskiego, którym rządzi polska partia na Litwie – Akcja Wyborcza Polaków na Litwie (AWPL). Z otwarcia przedszkola cieszą się miejscowi Polacy, bo nie muszą teraz wozić swoich maluchów do najbliższych polskich przedszkoli, a mają go u siebie we wsi. Cieszy się i dyrektor mickuńskiej polskiej średniej szkoły, gdyż uważa, że przedszkole - to pewny narybek dla pierwszych polskich klas. Będą tu działały dwie grupy żłobkowe i dwie grupy przedszkolne. Nic nie zastąpi edukacji w języku ojczystym – uważa mer rejonu wileńskiego Maria Reksć. Dzieci w przedszkolu mickuńskim planowanym na 75 miejsc nie zabraknie, gdyż kierowniczka przedszkola ma już 90 podań. (Czy nastąpi taka chwila dla nas Polaków na Białorusi?)

Funkcjonowanie oświaty polskiej na Litwie, gdzie istnieje 128 polskich szkół, należy do najpoważniejszych obecnie problemów dotyczących miejscowych Polaków. Litewski Sejm przyjął nowelizację ustawy o oświacie, która zakłada m.in. wprowadzenie w szkołach mniejszości narodowych, w tym polskich, przymusowej nauki części przedmiotów w języku litewskim. Zdaniem litewskich Polaków, taka nowelizacja jest początkiem końca polskiej szkoły na Litwie. Od ponad dziesięciu lat Wilno obiecuje, że zgodnie z traktatem polsko-litewskim umożliwi Polakom, obywatelom Litwy, zapis ich nazwisk w dokumentach litewskich w formie oryginalnej. Sejm Litwy zapowiadał, że odpowiednią ustawę przyjmie w kwietniu ubiegłego roku, w dniu wizyty w Wilnie Lecha Kaczyńskiego. Parlament ustawę jednak odrzucił. Problemem jest również zwrot ziemi. W większości rejonów Litwy zwrócono byłym właścicielom ziemię w ponad 90%. Tymczasem w regionie wileńskim, który w większości zamieszkują Polacy, w ocenie niektórych specjalistów, ziemię zwrócono zaledwie w 50%, w Wilnie natomiast ziemię odzyskało tylko ok. 10% jej byłych właścicieli. Polacy - zgodnie z Europejską Kartą Samorządową, którą Litwa podpisała i ratyfikowała, a także konwencją ramową Rady Europy o ochronie mniejszości narodowych – chcą w miejscowościach, gdzie stanowią większość, używać języka polskiego w życiu publicznym. Chcą np. napisów nazw ulic i miejscowości w języku polskim, obok nazw po litewsku. Litwa na to się jednak nie zgadza.

Po raz trzeci na mera rejonu wileńskiego, jednego z największych i najbardziej zróżnicowanych narodowo na Litwie, w którym zamieszkuje ponad 60 proc. Polaków, została wy-

brana Maria Reksć. Po ostatnich wyborach do samorządów lokalnych, jak na razie, jest ona drugą kobietą na Litwie, której powierzono stanowisko mera. Kandydaturę Marii Reksć, przedstawicielki polskiej partii (AWPL), poparło 22 spośród 27 radnych samorządu. Jak podkreślili radni, wcześniejszego wyboru dokonali sami mieszkańcy, którzy na dotychczasowego mera rejonu oddali ponad 16 tys. głosów. Dziękując wyborcom i kolegom radnym za zgłoszenie kandydatury i zaufanie wyborców, Maria Reksć przedstawiła swój program, który w zasadzie jest kontynuacją rejonowego programu AWPL i działalności prowadzonej od lat, która pełni kierownictwo rejonu wileńskiego, od 1995 roku.

Aleja dębów powstaje w miejscu urodzin marszałka Józefa Piłsudskiego w Zułowie. Związek Polaków na Litwie zapoczątkował tę akcję przed rokiem. Pierwsze dęby nasi Rodacy posadzili w hołdzie ofiarom zbrodni katyńskiej i katastrofy smoleńskiej. Teraz dołączyły kolejne... Nowo zasadzone dęby upamiętniają papieża Jana Pawła II, dowódcę okręgu wileńskiego Armii Krajowej generała Aleksandra Krzyżanowskiego, marszałka Senatu i wieloletniego prezesa Stowarzyszenia «Wspólnota Polska» prof. Andrzeja Stelmachowskiego oraz ponad 100 tys. obywateli Polski, ofiar zbrodni nazistowskiej w Ponarach. Aleja powstaje w odbudowywanej kompozycji według planu z 1937 roku. Zakłada się, że w przyszłości będzie miała około 300 metrów długości; będą tu rosły dęby upamiętniające wydarzenia z historii narodu polskiego, a także poszczególnych ludzi.

Ukraina

6-7 maja odbył się jubileuszowy X Światowy Dzień Polonii i Polaków za Granicą, który w tym roku miał miejsce w Winnicy i Berdyczowie na Ukrainie. W uroczystościach udział oprócz oficjalnej delegacji z Polski na czele z marszałkiem Senatu RP Bogdanem Borusewiczem, przedstawicielami Sejmu, Senatu, samorządowcami, organizacji współpracujących z Polakami oraz Polonią wzięli przedstawiciele polskich organizacji z różnych państw, przede wszystkim z Ukrainy. Uroczystości rozpoczęły się odsłonięciem tablicy poświęconej Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu w centrum Winnicy. Potem marszałek Bogdan Borusewicz wraz z polską delegacją spotkał się z przedstawicielami polskich środowisk, w międzyczasie odbył też spotkanie z przedstawicielami władz ukraińskich oraz miejscowymi samorządowcami. Pierwszy dzień obchodów zakończył się koncertem galowym z udziałem zespołów polskich z Ukrainy oraz specjalnej „gwiazdy” z Polski, zespołu Golec Orkiestra. Po koncercie odbyło się uroczyste przyjęcie z okazji Światowego Dnia Polonii i Polaków za Granicą oraz Święta Konstytucji 3 Maja. (Najbardziej mnie mile zaskoczyło, że w uroczystości wzięła udział delegacja władz Ukrainy na czele z przewodniczącym Rady Najwyższej Ukrainy oraz ministrem kultury Ukrainy. U nas nie do pomyślenia, że by przy jednym stole siedzieli przedstawiciele najwyższych władz Białorusi i władz Związku Polaków na Białorusi. Nie do pomyślenia, żeby Prezes Rady Naczelnej Związku Polaków na Ukrainie siedział w więzieniu.

Na Ukrainie są 4 polskie średnie szkoły (2 we Lwowie, w Mościskach, w Gródku Podolskim) i 1 szkoła podstawowa (we wsi Strzelczyska). Są też klasy polskie (Iwano-Frankowsk, Kamieniec Podolski, Szepietówka, Chmielnicki, Żytomierz i in.). Z polskich klas w Szepietówce planowane jest stworzenie polskiej szkoły. W bardzo wielu szkołach prowadzone są fakultatywne zajęcia z języka polskiego, a najbardziej rozpowszechnione są szkoły sobotnio-niedzielne. W tej chwili na Ukrainie pracuje ponad 30 nauczycieli z Polski.

Kolejna zbrodnia NKWD: masowe groby na Ukrainie. Zaledwie kilkanaście kilometrów od granicy z Polską, we Włodzimierzu Wołyńskim archeolodzy odnaleźli masowe groby. W zbiorowej mogile znajdują się ofiary NKWD zamordowane w latach 1939–41. Sześć masowych grobów odkryto na terenie zamku we Włodzimierzu Wołyńskim. Przedmioty znalezione w grobach: guziki od mundurów, policyjne pagony i odznaka z numerem mogą świadczyć, że to polscy oficerowie z tzw. Ukraińskiej Listy Katyńskiej. Sposób, w jaki została dokonana ta zbrodnia, jest identyczny, jak ten, który znamy z Katynia, Charkowa, Miednoje czy Bykowni. W czaszkach ofiar są charakterystyczne ślady po strzale w tył głowy. Ręce mieli krępowane drutem kolczastym. Na Ukraińskiej Liście Katyńskiej jest około 3,5 tys. nazwisk. Historycy zbadają, czy odkryte groby kryją polskich oficerów. Pytań jest jednak więcej. Choćby o Białoruską Listę Katyńską. Wciąż nie znamy nazwisk i miejsca pochówku prawie 4 tys. polskich oficerów zamordowanych przez NKWD na terenie dzisiejszej Białorusi. Wiele rodzin nie wie, gdzie ich bliscy zostali pogrzebani.

W Sewastopolu na Krymie otwarto konsulat generalny RP, który będzie pierwszym konsulem kraju Unii Europejskiej na Półwyspie Krymskim. W uroczystości uczestniczył m.in. wiceminister spraw zagranicznych Henryk Litwin, który objął stanowisko polskiego ambasadora w Kijowie. Nową polską placówkę dyplomatyczną uruchomiono w niecały rok od podjęcia decyzji o jej utworzeniu. W ceremonii wzięli także udział członkowie polskiego korpusu dyplomatycznego na Ukrainie, przedstawiciele ukraińskiego MSZ, oraz władz Sewastopola i Autonomicznej Republiki Krymu. Władze Republiki wyrażały zadowolenie, że dzięki polskiemu konsulatowi Krym znalazł się bliżej zjednoczonej Europy, gdyż mieszkańcy półwyspu będą teraz mogli otrzymywać wizy do UE na miejscu, od polskich dyplomatów. Do tej pory mieszkańców Krymu obsługiwał konsulat RP w Odessie. Dotychczas na Ukrainie było sześć konsulatów RP: w Kijowie, Lwowie, Łucku, Charkowie, Winnicy i Odessie oraz Konsulat Honorowy w Żytomierzu.

Rosja

W Irkucku mieszka teraz około 3.000 Polaków. Mają tam 2 kościoły. Jeden jest ponad stuletni, a drugi zbudowany 10 lat temu, jest to teraz katedra. Polacy w Irkucku mają takie szczęście, że jest w mieście polski konsulat, gdzie mogą starać się o Kartę Polaka. Prezes polskiej organizacji w Irkucku,

która powstała w 1990 r., Helena Szackich (jest chirurgiem dziecięcym) mówi, że Polacy nie mają tam żadnych problemów z miejscowymi władzami.

Pod osłoną nocy, w przededniu pierwszej rocznicy katastrofy smoleńskiej władze rosyjskie upokorzyły Polaków. Od kilku miesięcy na obelisku w miejscu katastrofy znajdowała się tablica umieszczona tam przez rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej. Napis oddawał cześć ofiarom tej tragedii, którzy... „zginęli w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem, w drodze na uroczystości upamiętnienia 70. rocznicy sowieckiej zbrodni ludobójstwa w Lesie Katyńskim dokonanej na jeńcach wojennych, na oficerach Wojska Polskiego w 1940 r.”. Na nowej tablicy, którą władze rosyjskie zamontowały na tym miejscu nie ma już słów o sowieckiej zbrodni ludobójstwa.

Mołdawia

Na południu tego kraju jest autonomiczny Gagauzski rejon. Mieszka tam oprócz Gagauzów i Mołdawian ludzi aż 156 narodowości. Jest to prawdziwy tygiel kultur i narodów. Oczywiście nie mogło tam zabraknąć naszych. Polaków mieszka tam około 15.000. Oczywiście jest i polska organizacja. Polskie Stowarzyszenie liczy 200 osób. Dzięki Stowarzyszeniu kilkaset młodych i starszych Polaków nauczyło się języka ojczystego. Obecnie 75 osób uczy się polskiego. Odradzaniu się polskości w tym rejonie autonomicznym, sprzyja niewątpliwie życzliwa atmosfera ze strony władz Gagauzji. Bardzo dobre stosunki polskie Stowarzyszenie ma z prezydentem Gagauzji. Jest to bardzo mądry człowiek odnoszący się do Polaków z ogromnym szacunkiem i życzliwością. Opiekę duszpasterską nad tamtejszymi Polakami sprawuje dojeżdżający do nich ksiądz mieszkający w Rumunii. Ksiądz jest narodowości węgierskiej, ale od razu „ostro” wziął się do nauki polskiego i teraz odprawia Mszę św. po polsku. Towarzyszą mu 2 polskie siostry zakonne.

Kazachstan

Polak, ks. Janusz Kaleta pochodzący z diecezji tarnowskiej, został biskupem Karagandy. Ta nowa diecezja obejmuje środkową część Kazachstanu i jest terytorialnie ponad dwa razy większa od Polski. Biskup Kaleta w Karagandzie zastąpił przechodzącego na emeryturę arcybiskupa Jana Lengę, który jest także Polakiem, urodzonym i wychowanym na Ukrainie. Większość mieszkających tam wiernych to Polacy i Niemcy. Diecezja liczy 16 księży i 39 siostr zakonnych.

Szwecja

Pracujący w Malmoe (Szwecja) polski lekarz Adam Szelaż po raz drugi został uznany przez pacjentów za najlepszego lekarza w Szwecji. Tak trzymać!

Aleksander Siemionow

Lida

Kościół Serca Pana Jezusa na Grajewce

– nieznane małe arcydzieło architektoniczne międzywojennego Brześcia

Po I wojnie światowej węzeł kolejowy Brześć Litewski nie stracił swego znaczenia, miasto pozostało ważnym międzynarodowym centrum transportowym i jednym z największych węzłów kolejowych odrodzonej Polski. Dlatego około 18% mieszkańców miasta pracowało przy obsłudze kolei. W 1920 r. został odbudowany Dworzec Centralny, wysadzony w sierpniu 1915 r. podczas odwrotu wojsk rosyjskich, a na początku lat 20. wybudowano kompleks parterowych i jednopiętrowych willi dla urzędników kolejowych. Do 1929 r. w Brześciu nad Bugiem (nieoficjalna nazwa miasta od 13 listopada 1919 r., prawnie od 12 lutego 1923 r.) odbudowano

729 budynków z więcej niż 2500 zdewastowanych i spalonych w sierpniu 1915 r.

W tym okresie rozpoczęto intensywną zabudowę powstałych na początku lat 1870. wsi kolejowych Grajewka i Kijówka, które stały się później imponującymi przedmieściami. 6 października 1929 r. Grajewka stała się dzielnicą miasta, a w 1930 r. dołączono Kijowskie i Szpanowiczskie Przedmieścia. Wówczas w Brześciu nad Bugiem działały trzy parafie rzymsko-katolickie. Potrzeby religijne mieszkańców centralnej części miasta zaspokajały: Kościół Podwyższenia Św. Krzyża na placu Romualda Traugutta oraz dwa Domy Modlitwy Kościoła Naro-



Obecnie – Dom Kultury Kolejarzy

dowego przy ulicy Steckiewicza 20 i Kościuszki 4. Na Przedmieściu Kijowskim działała Kaplica Matki Bożej Królowej Korony Polskiej. Potrzeby twierdzy garnizonowej zaspokajał Kościół Garnizonowy Św. Kazimierza. Wraz ze wzrostem liczby katolików na Przedmieściu Grajewskim pojawiły się trudności z zaspokajaniem ich potrzeb religijnych. W związku z tym podjęto decyzję o budowie kościoła kolejowego. Wybrano miejsce pomiędzy Dworcem Centralnym i szpitalem kolejowym (wybudowanym przez kolej rosyjską w drugiej połowie XIX wieku), w strefie wywłaszczenia kolei przy ulicy Mieszczańskiej w rejonie skrzyżowania ulic Niecała i Żabia. Terytorium, wyznaczone pod budowę, miało kształt trójkątny o długości około 150 metrów i szerokości 30 metrów. Projekt świątyni wykonał znany architekt brzeski Józef Barański.

Poza tym Józef Barański był nauczycielem rysunku, architektury i geometrii wykreślnej w Szkole Technicznej im. Marszałka Piłsudskiego, pełnomocnym architektem państwowym, mającym własną pieczęć herbową (jako jedyny architekt międzywojennego miasta) oraz prawo do projektowania wszystkich obiektów. Na uwagę zasługuje fakt, że architekt projektował w Brześciu przede wszystkim ważne obiekty, z których zachowały się: nowy gmach Szkoły Technicznej im. Marszałka Piłsudskiego (obecnie budynek college'u kolejowego), kościół ewangelicko-augsburski (kino „Smiena”), szpital miejski (szpital pogotowia ratunkowego), dom Janiny Urbanowicz (fabryka krawiecka im. Fomina), budynek Kurateli Brzeskiego Okręgu Szkolnego (budynek filharmonii), teatr miejski, kilka willi brzeskich. We wszystkich budynkach daje się łatwo zauważyć niezwykle styl architekta, który wyróżnia się wśród budynków innych brzeskich architektów, często bardziej płodnych, także pracujących w kierunku racjonalistycznym (N. Sinkiewicz, N. Kotowicz, B. Nowak, S. Sidorczuk, B. Rymkiewicz i in.) w 20. i 30. latach XX wieku. Józef Barański pracował w mieście do okupacji II Rzeczypospolitej. Los architekta od września 1939 r. jest nieznan.

Nowy kościół został zbudowany w 1932 r. i poświęcony pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa. Po-

dobnie jak ww. obiekty Barańskiego świątynia została wybudowana w stylu funkcjonalizmu, powstałym po I wojnie światowej i szeroko rozpowszechnionym w 20. i 30. latach XX wieku. Główną zasadą funkcjonalizmu stało się hasło L. Salliwina – „formę wyznacza funkcja”. Ten kierunek racjonalistyczny cechuje: maksymalna racjonalność planistycznych rozwiązań i konstrukcji, dokładna zgodność budynku z jego przeznaczeniem, ekonomiczność budowy. Wyrazistość artystyczna przejawiała się w ascetyzmie form. Budynki cechowały: geometryczność kształtów, kontrast głuchych powierzchni ścian z wielkimi przeszklonymi powierzchniami, płaskie dachy, poziome okna, czasem otwarte podpory na niższych piętrach. Funkcjonalizm, jako podstawa modernizmu, w różnych państwach miał swoje cechy charakterystyczne, odcienie, szkoły architektoniczne i nazwy: konstruktywizm, racjonalizm, „nowa architektura”, „styl światowy”, funkcjonalizm, „esprit nouveau”, „Bauhaus”, „Styl”, „Ars nova” i inne. Przedstawiciele „brzeskiego funkcjonalizmu” nie wykorzystywali płaskich dachów, niewysokie spadziste dachy były z reguły schowane za attykami i niewidoczne od fasady.

Dla Józefa Barańskiego konfiguracja działki wyznaczyła objętościowo-przestrzenne rozwiązanie nowej świątyni. Na działce już był przedwojenny parterowy budynek ceglany, będący własnością kolei. Budynek znajdował się blisko kolei, był w dobrym stanie, dlatego zdecydowano go zachować. Wcześniej prawdopodobnie była to hala remontowa, na co wskazują duże otwory okienne. Panująca w chrześcijaństwie analogia świątyni z arką Noego, została potraktowana przez mistrza w nowym „industrialno-kolejowym” kontekście jako „świątynia-lokomotywa”. Możliwe, że architekta natchnęły prawosławne cerkwie-wagony poruszające się po frontach I wojny światowej. Dlatego więc architekt obrał osiową konstrukcję blokowania kościoła, plebanii oraz istniejącego budynku, w którym zmniejszono okna, budynek zrekonstruowano pod magazyn PKP z osobnym wejściem od terytorium kolei. Komplex budynków kojarzył się z pociągami. Umieszczone jeden za drugim i oddzielone optycznie brandmauernymi ścianami budynki symbolizowały monumentalny zespół



Diana Belamiesowa – Makieta Kościoła Serca Jezusa

wagonów, ciągnięty przez kościół-lokomotywę. Efekt wzmacniała bliskość torów kolejowych. W ścianach kościoła wycięto łukowe wysoko położone okna. W części ołtarzowej okna rozmieszczono na dwóch piętrach, przypominając kabinę maszynisty, gdzie niewidocznie znajduje się Chrystus, prowadzący wiernych ku Życiu Wiecznemu. Za ołtarzem znajduje się plebania, przypominająca wnętrze z węglem. Wizualnej wysokości względnie niewielkiemu kościołowi nadają pionowe podziały głównej fasady. Kątowe pseudoryzalit, głuche na głównej fasadzie, przecięto wąskimi oknami na bocznych. Główna fasada podzielona jest trzema wysokimi wnękami, w których dolnej części w całej szerokości wnęk znajdują się drzwi płycinowe. Centralna, największa wnęka zwieńczona została oknem-oculusem z oprawą krzyżową i przypomina kocioł pociągu. Pod nią znajduje się duży krzyż łaciński. W bocznych wnękach są wąskie otwory okienne. Attykę wieńczy duży łaciński krzyż-„komin”, rozmieszczony na otwartej tryramowej dzwonnicy. Ryzalit bocznego wejścia do świątyni powtarza temat głównej fasady. Wszystkie elementy kompleksu zachowują w sobie głęboki sens ezoteryczny. Na południe od głównej fasady znajduje się kaplica-rotunda z niewielkim narteksem-ryzalitem (nie zachowała się). Niestety na rysunkach projektowych Józefa Barańskiego, przedstawionych przez byłego proboszcza Kościoła Krzyża Świętego Zbigniewa Karolaka, nie okazały się fasady kaplicy. Prawdopodobnie kaplica-rotunda według planu architekta powinna była przypominać cysternę dla zaopatrzenia „lokomotywy-kościół” w wodę. Na terenie kościoła zgodnie z projektem Barańskiego został założony niewielki regularny park z zabudowaniami gospodarczymi. W parku zrobiono plac rozrywkowy dla dzieci. Za parkiem posadzono ogród owocowy. Kompleks został zbudowany z funduszy PKP dzięki staraniom księdza Józefa Moniuszki i poświęcony jesienią 1932. Wiadomo, że w 1934 r. proboszczem był ksiądz Lucjan Żołądkowski. Jak skąpo powiedziano w dokumentach Magistratu Brześcia nad Bugiem: „kościół kamienny, rzymsko-katolicki, parafia pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa, ul. Mieszczańska 9, rozmiary kościoła 30 x 13 + plebania na 3 pokoje”. W pro-

jekcie Barańskiego zachowały się rysunki głównego ołtarza kościoła, wykonane w stylu konstruktywizmu; warstwowe płyty rozmieszczone występami w formie schodkowego ostrosłupa z dużym neogotyckim krzyżem pośrodku. Według danych rdzennych mieszkańców Grajewki latem 1938 r. w krypcie kościoła przez pewien czas znajdowała się trumna ze zwłokami ostatniego króla Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, przekazana przez rząd sowiecki, do decyzji z Warszawy, aby go pochować na nowo w Kościele Św. Trójcy w Wołczynie. Według jednych danych kościół zamknęli Niemcy w 1941 r., robiąc w nim magazyn solny i „bazę wojskową”. Według innych – kościół działał do 1944 r. i żołnierze-katolicy armii faszystowskiej przez cały okres okupacji przychodzili na msze. Brak dokumentalnego potwierdzenia, kiedy kościół został zamknięty. Od 1952 r. w budynku kościoła mieściło się kino „1 Maja”. Od 17 lipca 1956 r. – Czerwony Kącik stacji Brześć Centralny, później przekształcony w Klub Kolarzy brzeskiego węzła. Fasady kościoła zostały zrekonstruowane w stylu prowincjonalnego „stalinowskiego empiru”. Na głównej fasadzie pojawiły się pilastry – w swobodnym traktowaniu orderu korynckiego, na których opiera się masywny entablement. Attyka przybrała trójkątny kształt z wieńczącym gzymsiem na dentykulach. Fronton ozdobiono wypukłą pseudopanoplią. Otwory drzwiowe wykończono profilowanymi obramowaniami. Zadziwiające, że autentyczne drzwi na głównej fasadzie kościoła zachowały się do dziś. Po koniec lat 1960. od strony północnej do kościoła został dobudowany administracyjno-gospodarczy blok. W latach 1970. budynek wyłożono kafelkami „kabanczyk”. W latach 1980. zmieniono nazwę klubu na Dom Kultury Kolarzy.

Budynek kościoła – przykład funkcjonalizmu, z unikatowym rozwiązaniem objętościowo-przestrzennym, nie mającym analogów, niewątpliwie zasługuje na włączenie do Państwowego Rejestru Historyczno-Kulturowych Wartości Republiki Białoruś.

*Mikołaj Ulasiuk, Brześć
Tłum. Helena Parszyna*

Moje wspomnienie o Wielkim Polaku i Wielkim Kapłanie

Życie określa się i wartościuje
Poprzez wewnętrzny kształt Miłości
Jan Paweł II

7 czerwca 2011 odszedł do domu Ojca „*Patriarcha Wileńszczyzny – śp. ks. prałat Józef Obrębski*” Wielki Polak i Wspaniały Kapłan.

„Patriarcha Polaków Wileńszczyzny” – tak pisze o nim kardynał Henryk Gulbinowicz w przedmowie do książki Jana Sienkiewicza „Żywot jak słońce”.

„Król Polaków na Litwie” – mówią księża.

Ksiądz Józef Obrębski, od lat zasłużenie nazywany Patriarchą Kapłanów Wileńszczyzny, jest jej niekwestionowanym autorytetem moralnym naszych czasów. Służenie słowem i czynem Bogu, Ludziom i Ojczyźnie jest najcenniejszym dziedzictwem 105 lat ziemskiego życia Księdza Prałata Józefa Obrębskiego.

Tak, historia nasza zapisała bardzo wiele przykładów bezgranicznego bohaterstwa i całkowitego poświęcenia się dla dobra naszej Ojczyzny. Jakże wielu wspaniałych naszych braci i sióstr złożyło swe życie na ołtarzu Ojczyzny. Uczestnicy Insurekcji Kościuszkowskiej, powstań narodowych: listopadowego i styczniowego, żołnierze spod Somosierry, Westerplatte, Monte Cassino, Powstania Warszawskiego. Entuzjazm, zryw, szafowanie krwią, pogarda dla śmierci, „na stos rzuciliśmy” – a potem znów na długo przerwa, zniechęcenie, intrygi między patriotami, marazm. Sławimy bohaterów, którzy oddali za nas życie, ba stawiamy im pomniki. Natomiast nie zauważamy w sposób należyty tych, którzy nie ginęli za Ojczyznę, ale jej służyli przez całe swe życie – rozłożone na lata, dekady, na całe stulecia, bohaterstwo trwania codziennego – o ileż trudniejsze jest to od jednorazowego aktu szaleńczej odwagi, od szlachetnego złożenia życia. Takim właśnie był ksiądz prałat Józef Obrębski. Skreślmy więc Jego jakże bogaty życiorys.



Ksiądz Prałat Józef Obrębski urodził się 19 marca 1906 roku w Skarżynie Nowym w ziemi łomżyńskiej. Gimnazjum ukończył w Ostrowii Mazowieckiej. W 1926 roku wyjechał do Wilna. Wstąpił na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i do seminarium duchownego. Arcybiskup Metropolita Wileński Romuald Jałbrzykowski udzielił mu wiosną 1932 roku święceń kapłańskich i skierował do pracy w Turgielach. W 1932 roku mszę prymicyjną odprawił w Wysoko Mazowieckim. Gdy Sowieci wyrzucili arcybiskupa wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego z Wilna, ksiądz Obrębski zapytał go co robić. – Pilnuj wiary i kościoła – usłyszał. Pozostał na Wileńszczyźnie. Pilnował.

Turgiele to pierwsza jego parafia przed II-ą wojną. Zapisał się tu nie tylko jako duszpasterz, nie tylko katechizuje w szkołach, na ambonie i w konfesjonale, ale rozwija szeroką działalność społeczną. Zakłada spółdzielnie i koła rolnicze, organizuje kursy kroju i szycia, podejmuje się budowy domu parafialnego, naucza mieszkańców nowoczesnej uprawy roli i oddany bez reszty młodzieży, jako kapelan całego dekanatu.

Dodajmy, że pomagał mu w tych dziełach parafianin, generał Lucjan Żeligowski.

Niestety wybuch drugiej wojny nie pozwolił mu na dokończenie tych wspaniałych dzieł, które w Turgielach rozpoczął. Ale ziarna wiary i patriotyzmu, które „zasiał” w duszach szczególnie młodzieży i starszych przynoszą obfite owoce. Polacy mimo potęgi militarnej okupanta niemieckiego nie godzą się być niewolnikami. Rodzi się natychmiast podziemne państwo. Powstaje największa podziemna armia świata - Armia Krajowa. Ksiądz Józef Obrębski oczywiście jest z nimi, a Turgiele stają się „centrum” dowodzenia Wileńskiego odcinka Armii Krajowej. Tutejsze AK ciągle rośnie w siłę. W 1944 roku na Rezurekcję do Turgiel przyszli żołnierze AK „Wesoły nam dziś dzień nastał” śpiewało kilka tysięcy ludzi. Po Rezurekcji odbyła się wspaniała defilada. Ludzie płakali. Przybył także generał Krzyżanowski „Wilk” ze swoim sztabem (mjr Szyndzielarz „Łupaczko”, „Szczerbiec”) i całe ich wojsko. Byli na nabożeństwie, zaśpiewali w kościele, a potem na rynku gen. Krzyżanowski dekorował żołnierzy, a następnie przyjął defiladę. Tak, Turgiele niewątpliwie dzięki forowaniu miejscowej ludności przez księdza Józefa Obrębskiego stały się na Wileńszczyźnie centrum ruchu oporu. Plebania zaś była schronieniem dla wielu ściganych żołnierzy AK czy księży. Przez dłuższy czas gestapo zbierało informacje o ks. Obrębskim. O jego powiązaniach z AK. Kiedy uznali, że mają wystarczająco dużo dowodów przeciw jego działalności postanowili Go aresztować i wysłać do Ponar. Wysłali gestapowców do Turgiel i Go zabrali. Zbiegła się cała parafia. Przez rynek, raptem może sto kilkadziesiąt metrów, prowadzili Księdza kilka godzin: Ludzie błagali gestapowców by Go puścili, padali im pod nogi. Miejscowi chłopcy z AK gotowi byli Go siłą odbić, co mogli z łatwością zrobić, lecz On im tego zabronił. Szedł więc dobrowolnie – świadomie na śmierć – byle uchronić parafian Turgiel przed losem, jaki spotkał np. miejscowość Pirciupie.

Dwa razy miał już jechać na Ponary. I dwa razy wyrwał go z rąk gestapo Eiberg, niemiecki oficer, z pochodzenia Austriak, katolik, który w pobliskim majątku pilnował sowieckich jeńców. To on poręczył za Księdza, sam ryzykując. Udało się. Czy przetrwał on wojnę – nie wiadomo.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej i wkroczeniu bolszewików na Wileńszczyznę ks. Obrębski miał możliwość wyjazdu do PRL-u, ale nie skorzystał z tego i pozostał wśród swoich. Niestety nie długo to trwało i już w 1950 roku sowieci wyrzucili księdza z Turgiel. Znalazł się w starej drewnianej plebanii w Mejszagole oddalonej od Wilna 25 km. To tu również, tak jak za okupacji niemieckiej w Turgielach znaleźli u niego schronienie kapłani z Wileńszczyzny, profesorowie z seminarium czy księża greckokatoliccy poszukiwani przez sowietów. Jak mówi, były takie sytuacje, że miałem wizytę naczelnika sielsowietu, z którym rozmawiałem w jednej izbie, a w drugiej chowali się księża. Tu również był prześladowany, bowiem okupant sowiecki nie dawał mu spokoju.

Zawsze jednak znajdował sposób na wyjście z trudnych sytuacji. I tak np. gdy zabroniono katechizować młodzież – to ksiądz zostawał z nimi w kościele „tylko na rozmowę”. Zabroniono organizowania pielgrzymek do Kalwarii, to poinformował parafian, że następnej niedzieli wyjeżdża i będzie w Kalwarii. Co więc winien, że cała parafia przypadkiem się też tam znalazła? Chcą „zadusić” parafię podatkami – to gdzieś tam zaprosił i napoił inspektora podatkowego. Na plebanii wieczorami odbywały się seminaria dla młodych nauczycieli, studentów – a po zakończeniu mówił: „wychodźcie parami mówcie, że dawaliście na zapowiedzi”. Zawsze jednak znalazł się ktoś życzliwy i mu pomógł. Raz np. pomocy udzielił mu miejscowy Żyd Zinger. „Panie ksiądz, jutro na sumie będzie dwóch komisarzy” – ostrzegał. Innym razem mieli Go wywieść na Syberię. Ale miłosierdzie Boże było silniejsze.

Takim właśnie był uwielbiany przez Polaków na Wileńszczyźnie Ksiądz Prałat Józef Obrębski.

Jak nam dziś tacy są potrzebni!

Zbigniew Sulatycki
Sopot, 07.06.2011

OD REDAKCJI: Wyrazem naszej łączności ze śp. Księdzem Józefem Obrębskim był artykuł w „Echach Polesia” nr 1(9)2006 pt. „Współczesny ‘KRÓL POLAKÓW’ na Kresach Wschodnich”, str. 24/25.

Niepokonany Kardynał Białorusi

Kazimierz Świątek



Ksiądz Kardynał Kazimierz Świątek urodził się w Valdze, w Estonii, przy granicy łotewskiej w dniu 21 października 1914 roku, w patriotycznej rodzinie polskiej. Od 1917 r. ojciec Jan Świątek bierze udział w walce, w legionach Józefa Piłsudskiego. W 1920 r. ginie podczas obrony Wilna. Od 1922 r. mieszka w Baranowiczach, tam w 1932 r. kończy Gimnazjum im. Tadeusza Rejtana. W tym samym roku wstępuje do Wyższego Seminarium Duchownego im. Św. Tomasza z Akwinu w Pińsku. Jego przewodnikiem duchowym w całym życiu będzie, założyciel Seminarium, biskup Zygmunt Łoziński. Po przyjęciu święceń kapłańskich w dniu 8 kwietnia 1939 r., wyjeżdża do Prużany, gdzie zostaje skierowany na wikariusza parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Po wybuchu drugiej wojny światowej zostaje aresztowany za działalność konspiracyjną w 1941 r., a następnie skazany przez NKWD na karę śmierci, której uniknie cudem, ucieka po dwóch miesiącach z więzienia w Brześciu, gdy wybucha wojna niemiecko-sowiecka.

Kiedy 17 grudnia 1944 r. Armia Czerwona „uwalnia” ziemie polskie z okupacji niemieckiej, ksiądz Kazimierz Świątek zostaje znów aresztowany przez Sowietów w Mińsku, a następnie skazany na dziesięć lat łagrów o zastrzonym rygorze, najpierw w Marwińsku na Syberii, potem w Workucie nad Morzem Arktycznym. O pobycie na katordze mówił:

«Każdy dzień to była walka, czułem się jak Dawid zmagający się z gigantem Goliatem [...]». Na pytanie, jak zdołał przeżyć gułag, 90-letni arcybiskup Mińska odpowiedział: «To samo pytanie postawił mi oficer KGB, gdy wychodziłem na wolność, odpowiedziałem: życie zawdzięczam Bogu, On jest moim zbawieniem! Powtarzam to sobie codziennie i wam mówię to samo: O Boże, jaki jesteś dobry!».

Po workuckim łagrze, czas pokaże, że będzie musiał odbyć najcięższą próbę w życiu:

„Trzy tygodnie później [przyp. red.: po przybyciu do Workuty] urzęduje w jednym z baraków Wigilię. Za karę zostaje przerzucony w tundrę [przyp. red.: w okolice Inty], gdzie nie było ani obozów, ani domów, nie było nic, dosłownie nic. Tylko śnieg. Więźniowie nocowali zimą pod gołym niebem, bez namiotów zagrzebani w śniegu. Ks. Świątek spędza tam siedem lat.” Pracował tam do końca wyroku. Dla uwięzionych Polaków, Litwinów i Łotyszy był ukrytym duszpasterzem”.

Uwolnienie, w dniu 16 czerwca 1954 r. na mocy dekretu wydanego przez rząd radziecki, w dodatku, bez prawa zamieszkania w jakimkolwiek większym mieście Związku Radzieckiego, nie oznacza wcale końca zmagania z KGB. Odzyskane teoretycznie prawo do wolności, skutecznie zakłócają nieustanne inwigilacje, nękanie przez władzę, ciągła kontrola, każdego niemal Jego posunięcia. Gdy odmawia, pojawiają się groźby o tym, że zostanie znowu zesłany na Syberię do Workuty. *Wprost z ulicy zabierany był na przesłuchania, które trwały dnie i noce. Proponowano mu różne stanowiska, byle tylko zrezygnował z kapłaństwa.*

Nie osłabia to jednak jego wiary i nadziei, wręcz przeciwnie, Ksiądz Kazimierz Świątek przetrzymuje wszystko, chcąc odbudować w sercach ludzkich i na Ziemi Białoruskiej, tę właśnie wiarę i nadzieję, która ma w sobie. Próbuje powrócić do dawnej parafii



Uroczystość jubileuszowa 70-lecia kapłaństwa.
Prużana, 15.08.2009 r.

w Prużanie, lecz już nie może, ponieważ kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny zamieniono na tzw. „dom kultury socjalistycznej, zaś: *Rzeczy kościelne tj.: ornaty, kapy, bielizna kościelna zostały przeznaczone nieodpłatnie na przygotowanie kostiumów teatralnych. Taka to była kultura socjalistyczna, która postanowiła niszczyć, to co istotnie miało wielką wartość duchową i historyczną.* Kazimierz Świątek przybywa więc do Pińska, gdzie bez zgody władzy radzieckiej, dzięki m.in. pomocy mieszkańców miasta potajemnie, prowadzi działalność duszpasterską, sprawując funkcję niemianowanego proboszcza parafii katedralnej pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. W leksykonie duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRR 1939-1988 czytamy: *Po 5 miesiącach starań wiernych i jego samego otrzymał 1.12.1954 r. od obwodowego pełnomocnika ds. religii w Brześciu rejestrację (sprawkę), pozwalającą na pracę w katedrze w Pińsku, gdzie od 1948 nie było żadnego duszpasterza. Została ona obroniona od zamknięcia i zamieniona na magazyn zboża.*

W trudnych latach represji ksiądz Świątek podejmuje trud odbudowy struktur powojennego Kościoła nie tylko na terenie Pińska, ale również poza granicami miasta, z obwodów: homelskiego i wschodnich rejonów, dokąd nie mógł dotrzeć żaden kapłan od kilkudziesięciu lat. Zaczyna więc swoją misję i nieustanną pielgrzymkę do najmniejszych nawet miejscowości na Białorusi. Garnie się do Niego tłum wiernych, którzy pozbawieni wszelkiego kontaktu z Kościołem przez całe dziesięciolecia, sypią przed Nim dywany

z kwiatów i wzruszeni, witają i przyjmują swego pastera, podobnie jak później świat będzie przyjmował błogosławionego Ojca Świętego Jana Pawła II.

Tylko upór i niezwykle trud, poświęcenie i wytrwanie we wierze księdza Kazimierza Świątka skutkuje tym, że odradza się Kościół białoruski w ciągu 75 lat jego kapłaństwa. Na terenach odseparowanych przez sowieckie władze od wiary sieje jej ziarno i niesie światło wiary katolickiej, które dzisiaj przynoszą obfity plon w postaci odbudowanych kościołów i rzeszy katolickich wiernych, którzy nie wstydzą się już przyznawać do wiary praojców i własnych korzeni.

W czasach zmian ustrojowych i przekształcenia ZSRR w odrębne struktury państwowe ksiądz Kazimierz Świątek cierpliwie prowadzi i umacnia Kościół białoruski, pomimo jawnej opozycji władzy sowieckiej wobec wszystkiego co dotyczyło kultu religijnego i nieustannych prześladowań. Kontaktuje się ze środowiskiem Związku Polaków na Białorusi, wspiera kapłanów w ich pracy duszpasterskiej i odbudowuje, często z ruin, zabytkowe kościoły i zabudowania klasztorne. Ksiądz Profesor Roman Dzwonkowski – specjalista w zakresie historii Kościoła na Wschodzie pisze: *To dzięki jego pracy istnieje dziś ponad 220 czynnych kościołów i parafii, w których pracuje ok. 140 księży i ok. 100 sióstr zakonnych. To dzięki jego zaangażowaniu została przywrócona do życia XIV-wieczna piękna katedra pińska. Po 62 latach przerwy, przed dziesięcioma laty, otwarte zostało w Pińsku seminarium duchowne.*

13 kwietnia 1991 r. Ojciec Święty, błogosławiony Jan Paweł II mianuje Go arcybiskupem mińsko-mohylewskim i administratorem diecezji pińskiej. Papież widział i doceniał niezłomną walkę księdza Kazimierza Świątka o wolny Kościół na Wschodzie, dlatego już 26 listopada 1994 r. mianuje go kardynałem Białorusi. Funkcję tę pełni przez 12 lat, pozostając administratorem diecezji pińskiej do końca. Zmarł 21 lipca 2011 r. po długiej chorobie w Pińsku. Żegnał Go tłum wiernych: setki księży, sióstr zakonnych oraz świeckich z Białorusi, Ukrainy, Litwy, Łotwy i Polski.

W uroczystościach pogrzebowych udział wzięli: kardynał z Polski – Stanisław Dziwisz, arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz, metropolita mińsko-mohylewski i obecny administrator diecezji pińskiej, biskup Aleksander Kaszkiewicz, przewodniczący Konferencji Biskupów Białorusi, biskup Władysław Blin – ordynariusz diecezji witebskiej.

Obecni byli również: emerytowany arcybiskup, metropolita Rygi kardynał Janis Pujats; ojciec Sergiusz Gajek, administrator apostolski Kościoła Greckokatolickiego na Białorusi oraz biskup Marcejan Trofimiak z Łucka, na Ukrainie. W imieniu Białoruskiego Kościoła Prawosławnego obecny był biskup Benjamin. Poza księdzem kardynałem Polski Kościół reprezentowali m.in.: arcybiskup Wojciech Ziemba z Olsztyna, biskupi: Marian Błażej Kryszylowicz ze Szczecina, Ryszard Karpiński z Lublina, Jerzy Mazur z Ełku, Antoni Pacyfik Dydycz z Drohiczyzna. Przedstawicielem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Bronisława Komorowskiego był minister Jacek Michałowski, szef kancelarii prezydenta RP.

Msza Święta odprawiona została pod przewodnictwem kardynała Stanisława Dziwisza i arcybiskupa Tadeusza Kondrusiewicza, metropolity mińsko-mohylewskiego i obecnego administratora diecezji pińskiej, biskupa Aleksandra Kaszkiewicz, przewodniczącego Konferencji Biskupów Białorusi w asyście innych księży. Uroczystości odbyły się w Wyższym Seminarium Duchownym im. Św. Tomasza z Akwiny w Pińsku. Papież Benedykt XVI, który nie mógł przybyć na pogrzeb, napisał w telegramie: *Wznosząc żarliwe modlitwy do Boga, aby udzielił wiecznego spoczynku temu gorliwemu i wielkodusznemu pasterzowi, jednocześnie się duchowo z głębokim bólem wspólnot diecezjalnych, gdzie troskliwie wypełniał on posługę biskupią. Pamiętam jego heroiczne świadectwo Chrystusowi i Jego Kościołowi w czasach*



szczególnie trudnych a także entuzjazm poświęcony następnie odbudowie duchowej tego kraju.

Do Pińska przybyło tysiące wiernych, by pożegnać nie tylko pasterza Kościoła katolickiego, ale przede wszystkim człowieka o wielkim sercu i szczególnej dobroci, i pokorze; cechach tak bardzo cennych w naszych zagubionych czasach. Ksiądz biskup Władysław Blin, ordynariusz diecezji witebskiej na Białorusi tak Go wspomina: *Szanowali go wszyscy: wierzący i niewierzący, katolicy i prawosławni. Miał dobry kontakt zarówno z osobami starszymi, jak i z młodzieżą. Znał się na ludziach i umiał wspierać kapłanów w niełatwej na tych terenach pracy na rzecz odrodzenia Kościoła katolickiego po 70 latach prześladowań.*

Kościół katolicki na Białorusi pogrążony jest w żałobie po stracie wielkiego, niepokonanego przez komunizm Kardynała Kazimierza Świątka.

Bibliografia:

źródło: emazury.com/sybiracy

„Niedziela”, Nr 31/2011, s. 18, S. M. Królak, *Kardynał niezłomny*. R. Dzwonkowski, *Leksykon duchowieństwa polskiego represjonowanego w ZSRS 1939-1988*, Lublin, TN KUL, s. 584.

„Echa Polesia”, 2(30)2011, s. 25, ks. R. Iskrzycki, *Krótką historia kościoła Pużańskiego*.

„Nasz Dziennik”, Nr 169/2011, s. 1, S. Karczewski, *Kara śmierci i Sybir go nie złamały*.



Urszula Julita Adamska

Foto: **Aleksy Dubrowski**, Pińsk

Ksiądz Jan Wasilewski

Ksiądz Jan Wasilewski żył w latach 1885–1948. Był między innymi profesorem i pierwszym rektorem Wyższego Seminarium Duchownego im. Św. Tomasza z Akwinu w Pińsku – pierwszego na Polesiu, powstałego dzięki staraniom biskupa Zygmunta Łozińskiego; dyrektorem gimnazjum biskupiego w Drohiczynie n/Bugiem, wykładowcą. Pochodził z ziemiańskiej rodziny Stankiewiczów, z Mudryłowa, znajdującego się w powiecie dyneburskim (obecnie w granicach Łatgalii, na Łotwie – na terenie dawnych Inflant Polskich). Wielokrotnie aresztowany za działalność przeciwko władzy sowieckiej, w końcu jak większość prześladowanych przez reżim bolszewicki, zesłany został na Syberię na dziesięć lat zsyłki po dwóch latach ciężkiego, na załamanie psychiczne i fizyczne śledztwa w więzieniach w Piotrogradzie, Moskwie i Mińsku. Deportowany do Kozaczyńska nad Jenisejem, gdzie zmarł na skutek ciężkich warunków.



Na Syberii, 1947



JŌNS VASILEVSKIS

ANTIKRISTA
NOGŪS

O życiu i działalności ks. Jana Wasilewskiego opowiada Jadwiga Radzina (jego siostrzenica) w książce, która ukaże się niedługo drukiem nakładem Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie.

Z okresem życia księdza Jana Wasilewskiego, związanych było wielu wybitnych przedstawicieli Kościoła, do których m.in. należą: biskup Zygmunt Łoziński – ojciec duchowy księdza Jana, biskup diecezji pińskiej przed II wojną światową – Karol Niemira, ks. Władysław Hładowski, ks. kan. Edward Juniewicz, ks. Stanisław Ryżko oraz zmarły niedawno śp. Ksiądz Kardynał Kazimierz Świątek.

Po księdzu Janie Wasilewskim pozostały wspomnienia: „W szponach antychrysta”, rozprawa historyczna pt.: „Arcybiskupi i administratorzy diecezji mohylewskiej” i in.

Książka Jadwigi Radzinia pt.: „Jan Wasilewski” jest świadectwem czasów terroru i walki z religią katolicką i prześladowaniu księży katolickich na terenie dawnego ZSRR, do których należy niewątpliwie męczennik za wiarę ksiądz Jan Wasilewski.

Gdańskie spotkania

W dniach 15-19 czerwca 2011 roku odbyło się kolejne spotkanie młodzieży z Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu z członkami Związku Obrońców Wolności w celu udokumentowania ich świadectw oraz nagrania filmu o Ryszardzie Snarskim. (*Związek Obrońców Wolności to polska młodzieżowa organizacja, która walczyła w latach 1945-1948 w Brześciu i na Polesiu o prawa człowieka i zachowanie polskości ziem wcielonych do ZSRR*)

Pomorze powitało delegację PSS ciepłem. Już na dworcu w Gdyni miało miejsce spotkanie z pani Ewą Snarską, która co roku przyjeżdża z Kanady na grób swojego męża na cmentarz Srebrzysko w Gdańsku. Pierwsze spotkanie harcerzy z Brześcia i pani Ewy odbyło się rok temu podczas harcerskiego polonijnego Zlotu Stulecia w Zegrzu pod Warszawą, na który pani Ewa specjalnie przybyła, by nas poznać. Pani Ewa zadziwia swoją otwartością wobec ludzi i ma niepowtarzalne poczucie humoru. Kontakt z tą niezwykłą kobietą trwa nadal, dzięki jej staraniom został nagrany film o zlocie. Wcześniej otrzymaliśmy od Niej bezcenny dokument pt. „Workuta” nagrany w roku 1993 z podróży Jej Męża na Workutę, a opowiadający o losie brzeskich Polaków wysłanych do obozu pracy przymusowej w Workucie a także o barbarzyńskich warunkach bytu i pracy więźniów sowieckiego systemu totalitarnego.

Spotkania w Gdańsku zostały zaplanowane (też dzięki zaangażowaniu pani Ewy) w celu odwiedzenia grobu patrona II Drużyny Harcerskiej im. Ryszarda Snarskiego, a także w celu spotkania ze Stanisławem Stachowiczem – członkiem ZOW w Brześciu i bratem Zygmunta Stachowicza – dowódcy ZOW oraz panią Heleną Stachowicz – wdową po Zygmuncie Stachowiczu. Okazało się też, że w tym czasie w Sopocie odpoczywała pani Natalia Zarzycka, członkini ZOW w Brześciu, która również wyraziła chęć spotkania z brzeską młodzieżą. Oczekiwaliśmy na nowe materiały o ZOW, na relacje o osobie Ryszarda Snarskiego, zależało nam również na wiedzy o tym, dlaczego tak wybitne osobowości wyjechały z Ziemi Brzeskiej, porzucając groby swoich krewnych, i to tak daleko – aż na Wybrzeże.

Pierwsze odpowiedzi stały się oczywiste już w pierwszym dniu po zwiedzeniu cmentarza. Tak naprawdę powinien wyglądać cmentarz: wszystkie mogiły w należytym stanie, drzewa, kwiaty, spokój i cisza, przerywana tylko śpiewem ptaków. Harcerze Stanisław Zamana, Anna Poliechowa, Daria Dracz, Igor Paradiew stanęli do honorowej warty w hołdzie swojemu patronowi przy grobie rodzinnym Snarskich, złożyli kwiaty i zapalili znicz. Nasuwa się myśl, że polskie groby, które pozostały w Brześciu, nie są tak uporządkowane i zadbane jak tu. Nie wiadomo, jaki los czeka ich w przyszłości?

Po wspólnej modlitwie za duszę zmarłych grupa udała się na spotkanie z panią Natalią Zarzycką. Spotkanie odbyło się w zabytkowej kamienicy w centrum Sopotu. Pani Natalia ugościła nas sytym obiadem z rosółem, plackami ziemniaczanymi, truskawkami i pysznym deserem. Czuliśmy, że pragnęła Ona bez względu na swoje dolegliwości zdrowotne służyć bliźniemu, jak była nauczona od samego dzieciństwa. Rozmowa toczyła się na temat działalności ZOW, prowokacji władzy radzieckiej wobec Polaków i ich kultury, aresztowań, bestialskich śledztw i życia obozowego na nieludzkiej ziemi.

Tego samego dnia wieczorem rozmawiała nasza grupa z panem Stanisławem Stachowiczem – członkiem ZOW w Brześciu. Pan Stanisław potwierdził okrutne sposoby działania władzy wobec Polaków, podkreślił, że likwidacja szkolnictwa polskiego i Kościoła katolickiego odbywała się poprzez drastyczne metody związane z aresztowaniami, wysyłaniem



Brzescy harcerze na spotkaniu z Ewą Snarską (od lewej) i Natalią Zarzycką.



Stanisław Stachowicz, harcerka Daria Dracz, siostra Ewy Snarskiej z mężem, harcerz Stanisław Zamana, Hanna Paniszewa, Ewa Snarska.

do obozu wszystkich niepokornych. Powiedział, że do Gdańska wyjechał, żeby być jak najdalej od tego zbrodniczego „raju komunistycznego”...

Podczas wspólnej kolacji z zowowcami do grupy dołączyła pani Helena Stachowicz, która opowiadała o organizacyjnej działalności jej męża już po przyjeździe do Polski w roku 1956. Działalność ta była skierowana na integrację byłych więźniów stalinowskich obozów, stworzenia archiwów i udzielania pomocy potrzebującym.

Członkowie ZOW przez całe życie pozostali wierni swoim ideałom i przyjaźniom z młodych lat. Zbierają się co roku na spotkania, pomagają jeden drugiemu w różnych kłopotach życiowych. Każdy chciałby odwiedzić rodzinny Brześć, pochodzić jego ulicami i porozmawiać z mieszkańcami. Dlatego tak szczerze i gościnnie przyjęli naszą grupę badawczą, udzielili informacji, przynieśli dawne fotografie i inne dokumenty. Następnego dnia bratanek Ryszarda Snarskiego Sławomir Snarski zorga-

nizował dla grupy wycieczkę statkiem po porcie gdańskim, a jego syn Tomasz Snarski – pracownik naukowy Wydziału Prawa na Uniwersytecie Gdańskim przekazał dla biblioteki Polskiej Szkoły w Brześciu podręczniki jego autorstwa „Wiedza o społeczeństwie”. Rodzina siostry Ewy Snarskiej też uczestniczyła w naszych spotkaniach i zachęcała grupę do nowych działań w sprawie napisania historii ZOW.

Przywieźliśmy do Brześcia „Pamiętnik ZOW” autorstwa Leonarda Konikiewicza, który oczekuje na publikację w „Echach Polesia”.

W ostatnim dniu pobytu mieliśmy piknik harcerski w Stanicy Harcerskiej w Gdyni, która mieści się w zabytkowym domu, przekazanym po śmierci gospodarza harcerzom. To przepiękny dom nad samym Morzem Bałtyckim, z miejscem na ognisko. To dzięki doktorowi historii Jarosławowi Suchoplesowi



U grobu Snarskich na cmentarzu Srebrzysko w Gdańsku: Stanisław Zamana, Hanna Paniszewa, Ewa Snarska, Igor Paradijew.

z Gdyni, który zarezerwował dla naszej grupy pobyt w tym miejscu, mogliśmy korzystać ze wszystkiego, w co jest bogata stanica. Chociaż pogoda w tym dniu nie była najlepsza, jednak gości na piknik zebrało się sporo: harcerze i zuchy z drużynowymi z Gdyni, brzescy harcerze, zowowcy i członkowie ich rodzin. Wspólne śpiewanie pieśni harcerskich, kielbaski z ogniska, opowiadania o historii i dniu dzisiejszym – tak minął dzień do samego późnego wieczora. Stanisław Zamana w relacjach po imprezie powiedział: „Chciało się stworzyć taką samą atmosferę służenia bliźniemu podczas naszego spotkania, jak u pani Natalii Zarzyckiej w domu. Liczę, że nam to się udało”.

Obecnie grupa harcerzy pracuje nad scenariuszem filmu „Byliśmy uczciwi, czysti i odważni”, czyli historia o bohaterach tamtych dni – ludziach ZOW-u.



Stanisław Stachowicz i delegacja z Brześcia.

Hanna Paniszewa

UROCZYSTE ZAKOŃCZENIE ROKU SZKOLNEGO

1 czerwca 2011 r., w gorący Międzynarodowy Dzień Dziecka nauczyciele, uczniowie Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu oraz ich rodzice spotkali się na dziedzińcu Konsulatu Generalnego RP, by podsumować miniony rok szkolny. Prowadzący spotkanie pan Wiktor Mironow przywitał zebranych i gości, mówił o działalności placówki w mijającym roku. Uroczystość uświetniło wystąpienie pani Konsul – Anny Nowakowskiej i przybycie innych pracowników Konsulatu oraz wiceprezesa ZPB do spraw kultury z Grodna – Renaty Dziemiańczuk. Pani Konsul Generalna podziękowała nauczycielom i uczniom za całoroczną pracę nad poznawaniem zawilosci polskiej gramatyki i zdobywaniem wiedzy o Polsce. Życzyła wspaniałych, bo bardzo zasłużonych wakacji. W trakcie uroczystości wręczono nagrody i dyplomy dla zwycięzców konkursów: plastycznych, wiedzy o Janie Pawle II, konkursu recytatorskiego oraz historycznego, poświęconego osobie W. Pileckiego. Dyplomami uhonorowano także wyróżniających się w nauce uczniów. Trzem najlep-

szym absolwentkom tego roku szkolnego: L. Kowalowej, A. Darnopych i K. Pucykowicz pani Konsul ufundowała i przekazała specjalne nagrody, doceniając ich pracę i zaangażowanie w życie szkoły. Wręczono także certyfikaty znajomości języka polskiego uczniom dwóch grup, kończących już naukę w PSzS. Część oficjalna uroczystości przeplatana była popisami naszych uczniów – laureatów licznych konkursów (np. Konkurs pieśni estradowej „Malwy”, który odbył się w Grodnie w dniach 21-22 maja br.). Wysłuchaliśmy polskich wierszy i piosenek w pięknej interpretacji młodych wykonawców. Na zakończenie spotkania wspólnie odśpiewano „Rotę”, hymn Polaków na Białorusi. Tak więc pracowity rok szkolny 2010/2011 w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki odchodzi pomału do historii. Teraz akcja letnia. By wakacje były udane, wypuszczono w górę przy radosnych okrzykach młodzieży kilkadziesiąt kolorowych baloników, co należy już do tradycji naszej szkoły w ten pierwszy dzień wakacji.

Danuta Winiarek



Na uroczystości: Anna Nowakowska – konsul generalny RP w Brześciu, Wiktor Mironow – nauczyciel geografii, Lilia Potonia – dyrektor PSS im. I. Domeyki w Brześciu

Młodzież Polskiej Szkoły Społecznej im. I. Domeyki na dziedzińcu Konsulatu RP w Brześciu



LETNIA SZKOŁA JĘZYKA I KULTURY POLSKIEJ W BRZEŚCIU

Dobłą tradycją stało się prowadzenie podczas wakacji w Polskiej Szkole Społecznej im. I. Domeyki w Brześciu Letniej Szkoły Języka i Kultury Polskiej. Również w tym roku, czterdzieścioro dzieci w okresie od 20 do 30 czerwca brało udział w tym przedsięwzięciu. Był to czas radości, aktywnej nauki, intensywnego poznawania i zwiedzania historycznych miejsc naszej małej Ojczyzny.

Poza niewątpliwą przewagą zajęć z języka polskiego, dzieci miały możliwość uczestniczyć w zajęciach twórczych i muzycznych, oglądać filmy i zwiedzać muzea, a poprzez zwiedzanie doszukiwać się śladów polskości w tak dostępnych, a jednocześnie wyjątkowych miejscach. Ciekawym przeżyciem była kulturalno - krajoznawcza wycieczka do odległego o 40 km. od Brześcia powiatowego miasteczka Kobryń, w którym, dzięki świetnemu przewodnikowi pani Helenie Prużaniec, dzieci mogły obejrzeć miejscowe zabytki i odwiedzić grób rodzinny Aleksandra Mickiewicza, brata słynnego poety. Poszukiwać ślady polskiej kultury, architektury i tradycji, uczestnicy letniej szkoły mogły i w następnych punktach zwiedzania, a były nimi: gotycko-renesansowy XVI-wieczny kościół katolicki p.w. Św. Trójcy w Czernawczycach, fundacji Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła „Sierotki”, gotycka baszta w Kamieńcu z końca XIII w. popularnie nazywana „Białą Wieżą” i muzeum Puszczy Białowieskiej z rezerwatem pokazowym zwierząt.

Szczególnym był dla wszystkich dzień 26 czerwca - dzień podróży do Warszawy, do Muzeum Powstania Warszawskiego, gdzie uczniowie poznali bohaterskie strony historii naszej Ojczyzny

Podczas uroczystego zakończenia letniej szkoły, uczestnicy zaprezentowali swoje prace, wykonane w trakcie zajęć twórczych. Najlepsze, zostały nagrodzone, a wszystkie dzieci otrzymały upominki książkowe, na pamiątkę uczestnictwa w „Letniej Szkole Języka i Kultury Polskiej”. Po oficjalnej części, nastąpiła pora smażenia kielbasek, kosztowania słodkich smakołyków, wspólnego śpiewania polskich piosenek i zabaw na świeżym powietrzu. Nie była to już grupa nieznanych sobie dzieci, a zgrana, roześmiana, utalentowana ekipa, połączona jedną inicjatywą.

Letnia szkoła była dla wielu wspaniałą okazją do nawiązania nowych znajomości, nawet przyjaźni w gronie rówieśników i nieco starszych uczestników, do poznania innych osób zainteresowanych Polską i uczących się języka polskiego, a dla niektórych dobrą dawką motywacji i zachęty do zgłębiania swojej wiedzy.

Pragniemy serdecznie podziękować Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, oraz Senatowi RP za pomoc w organizacji III Letniej Szkoły Języka i Kultury Polskiej w Brześciu.

Anna Bielawska, Brześć



W Puszczy Białowieskiej

Grand Prix Edith Piaf 2011 dla naszej Haliny!

W dniach 17-19 czerwca 2011 roku w Krakowie odbyła się III edycja Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Francuskiej.

Grand Prix Edith Piaf 2011 zdobyła nasza rodaczka – Halina Masiuk.

26-letnia Halina, pianistka, absolwentka Polskiej Szkoły Społecznej w Brześciu, po ukończeniu szkoły przyjechała do Polski studiować filologię angielską; obecnie współpracuje z lubelską agencją koncertową Pro Music. Zaprezentowała muzykalność, idealnie czysty śpiew i ładny głos, którym precyzyjnie podała świetnie dobrane, różne w charakterze piosenki. Nic dziwnego, że zebrała już wcześniej kilka trofeów.

Trzeba zaznaczyć, że pierwszym konkursem piosenkarskim, który wygrała Halina, była «Brzeska Jesień z Polską Piosenką», organizowany przez Alinę Jaroszewicz i Klub Polski w Brześciu.

Serdecznie gratulujemy wygranej oraz życzymy nowych sukcesów!



Halina Masiuk
Foto: Anna Kaczmarz



Halina Masiuk
i Leszek Poznański, Prezes
Towarzystwa Przyjaźni
Polsko-Francuskiej
w Krakowie.
Foto: Anna Kaczmarz

LETNI OBÓZ ZUCHOWY W BRZEŚCIU

W dniach 1-8 lipca 2011 w Brześciu odbył się obóz zuchowy, zorganizowany przez Polską Szkołę Społeczną im. I. Domejki, dofinansowany ze środków Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” i Senatu RP. W obozie wzięły udział dzieci od 5 do 9 lat z Brześcia i odległych o 20 km Peliszcz. Przeprowadzenie takiego rodzaju odpoczynku miało na celu zgromadzić dzieci, które w przyszłości wejdą do drużyny harcerskiej. Gromada zuchowa pod nazwą „Zajęcie na łące” liczyła 18 osób. Jak wszyscy wiemy, harcerze służą społeczeństwu pod hasłem „Bóg. Honor. Ojczyzna”, więc każdy dzień obozowy zaczynał się od wspólnej modlitwy, po czym był czas na rozmaite zajęcia rozwijające, celem których było wprowadzenie słownictwa polskiego i krzewienie kultury polskiej u dzieci. Każdego dnia działo się coś nowego. Na oryginalne pomysły wychowawców dzieci nie pozostały obojętne. Dzień indianina, dzień morski, dzień owoców i warzyw, dzień transportu, dzień zwierząt – był to czas nie tylko nasycony przeróżnymi atrakcjami i zabawami, lecz również bezcennymi chwilami, pełnymi pozytywnych przeżyć i pożytecznej wiedzy, przedstawianej dzieciom w sposób dostępny i łatwo przyswajalny. Doświadczeniami harcerskimi z maluchami dzieliła się drużynowa Anna Poliechowa, która razem



z Panią Ireną Russką była jednocześnie organizatorką tego obozu. Oprócz wymienionych wyżej zajęć programowych dzieci miały możliwość zwiedzania zoo oraz strusiej farmy, pływania statkiem po Muchawcu oraz obejrzenia bajki w kinie, zwiedzania wystawy ryb morskich. Prawdziwą radość przyniosło dzieciom i ich rodzicom wspólne bawienie się w akwaparku w Kobryniu. Pod koniec obozu dzieci przygotowały dla rodziców koncert, podczas którego przedstawiły wszystko, czego nauczyły się w trakcie obozu zuchowego. Były to utwory muzyczne z ruchami tanecznymi oraz teatr muzyczny „Zwierzęcy domek”. Każdy zuch dostał na pamiątkę zdjęcie, dyplom uczestnika obozu, książki i słodycze.

Od dzieci zaczyna się przyszłość. Wychowajmy je z Bogiem w sercu i ze szczerą chęcią służby bliźniemu. Próba urzeczywistnienia tego właśnie pragnienia miała miejsce podczas obozu zuchowego w Brześciu.

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do tego projektu.

Maryna Paniszewa



Wystawa Stowarzyszenia Malarzy „Mostek”

Stowarzyszenie malarzy „Mostek” przy Związku Polaków na Białorusi, Oddział w Brześciu, powstało w 2009 roku. Jego prezesem jest Alina Kondraciuk – znana polski plastyk w Brześciu. Wszystkich członków stowarzyszenia łączy nie tylko polskie pochodzenie, lecz także zainteresowanie kulturą, sztuką i językiem polskim. Każdy z artystów ma własną drogę, odmienne cechy osobowości, lecz w stowarzyszeniu, mając bardzo zbliżone cele, doskonale uzupełniają się nawzajem. Walentyna Panok-Tatarnikowa oraz Aleksander Ułybin są również członkami Związku Malarzy Białorusi. Każdy z malarzy stowarzyszenia bierze aktywny udział w licznych zbiorowych wystawach w kraju i za granicą. Wszyscy mieli także własne indywidualne wystawy, uczestniczyli w międzynarodowych plenerach



malarskich, wielokrotnie prezentowali swoje prace w Konsulacie Generalnym RP w Brześciu. Każdy z nich posiada własną tematykę prac oraz tworzy różną techniką, natomiast wszystkich łączy miłość do sztuki.

20 maja 2011 roku Stowarzyszenie „Mostek” zaprezentowało swoje prace po raz pierwszy w Polsce. Uroczyste otwarcie wystawy miało miejsce w Miejskim Ośrodku Kultury w Terespolu. Na wernisaż przyszło wielu gości, przyjaciół artystów z Polski, mieszkańców Terespoła, miłośników sztuki. Dzięki uprzejmości Pani Anny Pietruczyk, dyrektorki MOK sztuka „Mostka” mogła rozpocząć swoją przygodę w Polsce.

Uroczystość rozpoczęła wstępnym słowem Pani Alina Kondraciuk, prezes stowarzyszenia. Po nim zebrani goście mogli podziwiać prezentowane obrazy i grafiki. Wystawa gościła w terespolskim MOKu miesiąc zbierając ciepłe opinie wśród zwiedzających. Teraz na wystawę oczekują kolejne miejscowości w Polsce, gdzie z całą pewnością zbierze ona pozytywny odzew.

Aleksander Ułybin

Piknik harcerski w Peliszczach

29 maja w Peliszczach, rejon kamieniecki – w siedzibie państwa Haliny i Adama Mickiewiczów odbył się piknik harcerski zorganizowany przez brzeski oddział ZPB we współpracy z oddziałem ZPB w Peliszczach. Cel imprezy – promocja ideałów harcerstwa wśród młodych Polaków i zachęcenie organizacji polskich do patronowania oraz opieki nad tą polską młodzieżową organizacją na Białorusi. Harcerze śpiewali pieśni, zapalili ognisko, postawili namioty. Poczęstunek na imprezę został ufundowany przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Brześciu. Na imprezie byli obecni przedstawiciele KG RP w Brześciu, wiceprezes Związku Polaków Białorusi z Grodna Mieczysław Jaskiewicz.

Hanna Paniszewa



Z wierszy Młodych Czytelników

Ważę słowa, o Boże,
gdzie jest TA MIŁOŚĆ,
która nie liczy,
wciąż daje?
– Wybaczenie, budowa potrzebuje obliczeń i starań.
relacja?
otwartość?
Odwago, gdzie jesteś?!
Wciąż chcę mi się schować
jak najwygodniej w fotelu –
sposobie bycia.

idę po omacku
w ciemności sama
pokonując lęki i strach
oswajam ciemności
i rosnę w siłę
chcę dać
siebie samą w dar

dla was, przyjaciele

Pytasz, co będzie
Odpowiem, ja nie wiem
w życiu nie o to chodzi
życie jest wieczne
wieczności trzeba się uczyć
zrozumieć się nie da
ograniczonym spojrzeniem
W obliczu wieczności stając z Tobą
nie czuję lęku
sama pojąć nie mogę
z Tobą wszystko potrafię
wiara umacnia kroki
dodaje skrzydeł by lecieć
Powiesz do kresu
Odpowiem, że życie jest wieczne
więc kresu nie ma



Zapalę
cicho i ciemno
ja i papieros
siedzę na schodach
myślę o niczym
że ziemia się kręci
politycy ważą losy świata
że jutro nastąpi
podobne i inne
i ziemia się kręci
Zaciągnę się dymem
wyłączę światło
usiadę
oprzę się o ścianę
nie lubię ścian ograniczeń
potrzebuję wolności
i nie mam o co się oprzeć
a ziemia się kręci

Szukam mojego Boga
tutaj na ziemi
w społeczeństwie wśród ludzi
Szukam Jego oblicza
radość rozpira me serce
gdy znajdę ślad Jego stopy
Tak dużo Ciebie, tak dużo
wszędzie
i ciągle za mało
Ludzie, zdejmijcie te klapki z oczu
podzielmy się sercem jak chlebem

Anna Kuzieńko
Brześć

Absolwentka PSS im. I. Domeyki w Brześciu, ukończyła UMCS w Lublinie. Pracowała w swojej szkole, wykładała język polski Obecnie mieszka w Warszawie

Polsko-białoruskie związki kulturowe w XIX i na pocz. XX w.

Narody: Polski i Białorusi zbliża nie tylko geografia, ale i wspólne pochodzenie słowiańskie, pokrewieństwo języka i podobieństwo doświadczeń dziejowych. Kultura białoruska w swej postaci nowożytnej kształtowała się razem z polską, co wynikało ze wspólnego losu historycznego Polaków i Białorusinów, którzy przez prawie czterysta lat żyli w państwie unijnym. W państwie tym, istniejącym do końca XVIII wieku, nie wykształciło się jeszcze współczesne rozumienie narodu, określane współcześnie jako *nation*. W XVI–XVII w. pojęcie narodu odpowiadało albo prowincji, która kiedykolwiek posiadała autonomię lub też własną państwowość (Litwa, Żmudź, Ruś, Mazowsze, Małopolska, Inflanty), albo ściśle wiązało się z państwem jako całością, względnie monarchą. Duże znaczenie miał też czynnik wyznaniowy. Na użytek wewnętrzny z reguły stosowano podział regionalny („Koroniarz”, Litwin, Żmudzin, Rusin, Inflantczyk). Za granicą zaś mieszkańców Rzeczypospolitej najczęściej nazywano Polakami, z wyjątkiem, bodajże, Księstwa Moskiewskiego, gdzie mieli miano Litwinów. Zamieszkała Rzeczpospolitą Obojga Narodów, mówiąca własnym językiem, ludność białoruska wówczas zwała się Litwinami i uważana była powszechnie za równych współobywateli, czyli „Polaków” w sensie przynależności do wspólnego państwa, ponieważ, jak zaznaczyliśmy, ówczesna opinia społeczna i tradycja polityczna wiązały jeszcze pojęcie narodu z poddaństwem. „Ojczyznę tę nazywano «Rzeczpospolitą» lub «Polską»” – pisał Władysław Wielhorski. „Nazwanie jej «Polska» w 1951 r. zdumiałoby rówieśnych nam Polaków, a oburzyłoby Litwinów, czy Białorusinów. Lecz ich praojcowie – i to zaledwie o trzy, czy cztery pokolenia oddaleni od obecnie żyjących prawników – nie dopatrywali się w takim określeniu niczego obrażającego ich patriotyzm plemienny i państwowy litewsko-białoruski”. Jednak z faktu, że ludność ta nie była polska z pochodzenia, mowy i nazywała się „ruską” nie wynikało, iż była ona rosyjską, jak usiłowali tego dowieść rasyfikatory po upadku państwa Obojga Narodów. Rosjanie pojawili się na Białorusi jako element napływowy, nieliczna warstwa urzędników, osadzonych na podbitych ziemiach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Pierwszym krokiem władz carskich było wprowadzenie nowego podziału ad-

ministracyjnego, mało wspólnego mającego z historycznym i gospodarczym rozwojem kraju. Wzorem całego imperium ziemie białoruskie zostały podzielone na gubernie. Ze względu na duży obszar i znaczną liczbę ludności Ziem Zabrzanych, Rosji nie stać było jeszcze na ich całkowite zintegrowanie z resztą państwa. Tym się tłumaczy fakt, że na przełomie XVIII i XIX wieków zachowały się na Białorusi niektóre urzędy państwowe sprzed rozbiorów (sądy ziemskie i grodzkie, samorząd szlachecki, sejmiki, system szkolnictwa), nadal obowiązywał Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego. To wszystko oraz fakt, że ziemianie i inteligencja w ogromnej większości byli Polakami, sprzyjało zachowaniu polskiego charakteru tych terytoriów, szczególnie zachodniej ich części. Zauważyć trzeba skądinąd, że do końca XVII wieku kulturę polską na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego tylko w nieznacznej części przedstawiali Polacy przybyli z Królestwa Polskiego. Zdecydowana większość warstw wykształconych, deklaruujących swą przynależność do języka i kultury polskiej, była miejscowego pochodzenia i wywodziła się z rodowitych Białorusinów, czy też Litwinów. Chłopi uważali się zazwyczaj za „miejscowych”, „tutejszych” uznając nadrzędność językową i kulturową polską. Szlachta zaś, zdając sobie sprawę z różnic kulturowych, traktowała na ogół lud jako polski niezależnie od mowy jaką się ten lud posługiwał. Dlatego początkowo, w guberniach wileńskiej, grodzieńskiej i mińskiej, władze zaborcze wyraźnie dążyły do oparcia się na elemencie polskim. Natomiast tam, gdzie wpływy polskości były słabsze, czyli w guberniach witebskiej i mohylewskiej, przeważały tendencje do przyspieszonej integracji z wewnętrznymi dzielnicami cesarstwa.

Na pierwszym etapie główny swój wysiłek asymilacyjny Rosjanie skupili na sprawach religijnych. Chodziło o likwidację Kościoła unickiego, do którego należała absolutna większość ówczesnych Białorusinów; osłabienie przez to władzy Rzymu i wpływów zachodnich. Proces, mający na celu wchłanianie unitów przez prawosławie, rozpoczął się za panowania Katarzyny II i trwał do czasów Mikołaja I. Mimo oporu ludności unię zniesiono w 1839 roku, przymusowo wcielając jej wiernych do rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Zahamowało to w znacznym stop-

niu rozwój narodowościowy i stało się w przyszłości przyczyną wewnętrznych sprzeczności i rozdarć w społeczeństwie białoruskim.

Po powstaniu listopadowym Rosja podjęła na Białorusi ostrzejsze kroki przeciwko wpływom polskim, a stworzony w 1831 r. Komitet do Spraw Guberni Zachodnich miał zapewnić zerwanie więzów łączących te ziemie z tradycją dawnej Rzeczypospolitej. W tym celu zarządzono wprowadzenie nowej nazwy dla guberni białorusko-litewskich – Kraj Północno-Zachodni. Uderzono w najbardziej czynny i świadomy element tych ziem – szlachtę i ziemiaństwo, które aktywnie poparły powstanie. Konfiskaty objęły tysiące majątków jego uczestników. Szlachcie zaściankowej zakwestionowano jej przywileje. Wydane w 1836 roku przepisy wymagały udokumentowania szlachectwa i, w razie niespełnienia tego warunku, pozwalały pozbawić przedstawicieli tej grupy tradycyjnych praw, traktując ich jako chłopów-„odnodorców”. Na tej podstawie dziesiątki tysięcy rodzin drobnoszlacheckich przesiedlono w głąb Rosji. Wzmogło się szykanowanie polskich ośrodków kulturalnych, drastycznie ograniczono liczbę szkół i zamknięto Uniwersytet Wileński. Wreszcie w 1840 roku zniesiono Statut Litewski i zastąpiono go prawem obowiązującym w Rosji, co w konsekwencji doprowadziło nie tylko do „skasowania” samorządu lokalnego, ale też do rusyfikacji urzędów państwowych, z których usunięto język polski obsadzając je odtąd urzędnikami-Rosjanami. Mimo nasilających się represji i zabiegów rusyfikacyjnych w wyższych warstwach społeczeństwa na Ziemiach Zabrzanych, zwłaszcza na Białorusi i Litwie, do pierwszej połowy XIX wieku nadal przeważały wpływy polski. Miejscowi działacze, całkiem świadomi swego pochodzenia i korzeni, aktywnie angażowali się w działalność mającą na celu odbudowanie państwa polskiego w oparciu na tradycje I Rzeczypospolitej. Dobitym tego przykładem służyć może postać Franciszka Sawicza, autora poezji w języku białoruskim, założyciela patriotycznego kółka studentów Wileńskiej Akademii Medycznej, należącego do tajnego sprzysiężenia Szymona Konarskiego.

Dopiero w drugiej połowie XIX wieku zaczyna budzić się świadomość społeczno-narodowa i kulturalna Białorusinów. Duch i idee osiemnastowiecznego oświecenia polskiego zapuściły trwałe korzenie na Białorusi, inspirując przyszłą twórczą działalność białorusko-polskich i białoruskich pisarzy XIX wieku. Od tego czasu bowiem można mówić o polsko-białoruskich związkach kulturalnych we współczesnym tego słowa znaczeniu. W epoce tej zaczął się

kształtować nowoczesny naród białoruski, jego nowożytna literatura. Jednocześnie, z falą romantyzmu w Polsce, wzrastało zainteresowanie „ludowością”, folklorem, w tym też białoruskim. Nawet pobieżny rzut okiem na dziewiętnastowieczną panoramę życia kulturalnego naszych ziem pozwala dostrzec fakt, że z jednej strony istniała już rozwinięta literatura narodu, który w wyniku rozbiorów stracił swą samodzielność polityczną i w ciągu całego okresu zniewolenia z poświęceniem walczył o jej odzyskanie, z drugiej zaś – młoda inteligencja i literatura, która dopiero zaczynała się odradzać i kształtować. Kultura polska XIX wieku miała już bogate tradycje narodowe. Piśmiennictwo polskie posługiwało się wyrobionym językiem literackim i rozwijało się w ogólnym nurcie literatur europejskich. Losy literatury białoruskiej potoczyły się inaczej. W przeszłości rozwijała się ona na podstawie języka będącego państwowym w Wielkim Księstwie Litewskim, dając wybitne wzory literatury polemicznej XVI–XVIII w. Dalsze wydarzenia historyczne przerwały jednak ciągłość jej rozwoju. W XIX wieku wzrosło zapotrzebowanie na nową literaturę wskutek budzącej się świadomości narodowej Białorusinów. W tych warunkach dziewiętnastowieczna literatura białoruska musiała utwierdzać się jako nowa i samodzielna, stanowiąca integralną część piśmiennictwa narodów słowiańskich i europejskich oraz znajdując się jednocześnie w sąsiedztwie dwu potężnych i pokrewnych jej literatur – polskiej i rosyjskiej. Białoruscy literaci tamtego okresu znajdowali się pod wyraźnym wpływem literatury polskiej. Jej poziom był nieporównywalnie wyższy, niż rodzajcego się nowożytnego piśmiennictwa białoruskiego, wpływy na nie olbrzymie w ciągu całego XIX, a nawet początku XX wieku. Pod wpływem właśnie polskiej literatury, wieszcz białoruski Janka Kupała, na zaraniu swej twórczości pisał wiersze po polsku. Piśmiennictwo białoruskie, zwłaszcza w swych nowożytnych zaczątkach, funkcjonowało prawie w tym samym rytmie kulturowym co polskie. Warunkowała to żywa jeszcze tradycja wspólnej Rzeczypospolitej. Za całkiem naturalny więc można uznać fakt, że w początkowym okresie rozwoju literatury białoruskiej jej reprezentanci byli pisarzami dwujęzycznymi (Jan Barszczewski, Aleksander Rypiński, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz i, w pewnym sensie, Jan Czeczot). Dopiero w latach 70. i 90. XIX wieku bardziej odczuwalne stały się wpływy literatury rosyjskiej, co zresztą tłumaczy się nie tylko jej burzliwym rozwojem we wspomnianym okresie, ale też nasileniem się tendencji rusyfikacyjnych na Ziemiach Zabrzanych po stłumieniu powstania styczniowego.

Ale ten związek kultur nie był jednostronny. Nie tylko literatura polska wywarła znaczny wpływ na genezę, kształtowanie się i rozwój literatury białoruskiej. Z kolei wpływy białoruskie, ogólnie określane w XIX wieku jako litewskie, wzbogacały twórczo literaturę polską. Szczególną rolę we wzroście zainteresowania Białorusią i Białorusinami odegrała epoka romantyzmu z jej kultem ludowości. Odrębny okres nowych prądów umysłowych, kierunków; literackich i badań nad białoruszczyzną przypada na czasy istnienia Uniwersytetu Wileńskiego (1803–1832), większość studentów którego wywodziła się z ziem białoruskich i litewskich. Nie przypadkowo więc tematyka ludoznawcza zajmowała znaczne miejsce w działalności towarzystw Filaretów i Filomatów. Poeci-filomaci: Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Jan Czeczot, Onufry Pietraszkiewicz, Teodor Łoziński, Antoni Odyniec, Aleksander Chodźko, Feliks Kolanowski obficie czerpali w swej twórczości z białorusko-litewskich tematów i wątków, wprowadzając do swych utworów wiele wyrazów białoruskich, jak też rozmaitych zwrotów, przysłów i powiedzeń. Prawie wszyscy oni byli rodem z Białorusi i jako pierwsi zwrócili się do dobrze znanej im twórczości ludowej i obyczajów narodu białoruskiego. Przede wszystkim Mickiewiczowi zawdzięcza literatura polska napływ potężnej fali folkloru, który stał się integralnym jej składnikiem. W jego twórczości zawarte są wątki białoruskie o różnorodnym charakterze – językowe, folklorystyczne, rodzajowe, fabularne. Miłość do małej ojczyzny, dobra znajomość jej pieśni, podań, legend i obrzędów, w połączeniu z talentem wieszczą, przyniosły literaturze polskiej takie arcydzieła jak *Dziady* oraz szereg ballad i wierszy, zrozumieć które można tylko poznawszy psychikę narodu, wśród którego poeta urodził się i żył. O białoruskim podłożu utworów Mickiewicza napisano już sporo, o wpływie charakteru tego ludu na światopogląd Mickiewicza – prawie nic. „Niewątpliwie nikt inny tylko Mickiewicz ma dużą zasługę w obudzeniu się zainteresowania dla pieśni ludu białoruskiego, zwłaszcza że pisarze, należący do szkoły białoruskiej pozostawali pod jego dużym wpływem” – pisał znany badacz Józef Gołąbek.

W latach 30.–40. XIX wieku lokalni polscy badacze kontynuowali pracę rozpoczętą przez środowisko filomackie. Tłumaczyli i opracowywali białoruski folklor, publikowali rozprawy naukowe poświęcone tej tematyce. Jednym z prekursorów przybliżenia kulturze polskiej folkloru i etnografii białoruskiej na początku XIX wieku był Zorian Dołęga-Chodakowski, który badał również historię i archeologię Białorusi. W tym samym kierunku działali również inni

badacze polscy – Jan Rychter i Ignacy Łachnicki. Na fali ogólnego zainteresowania twórczością ludową szczególną uwagę przyciągał tak ciekawy z punktu widzenia ludoznawczego region jakim było Polesie. Badania w tym zakresie zainicjował Kazimierz Kontrym dziełem *Podróż odbyta w roku 1829 po Polesiu* (Poznań 1839). W rozprawie znalazło się sporo materiałów obrazujących kulturę ludową miejscowej ludności. Praca ta zwróciła uwagę na Polesie Józefa Ignacego Kraszewskiego. Część materiałów poświęconych Polesiu znalazła się w jego dziele *Wspomnienia z Wołynia, Polesia i Litwy* (t. 1–2, Wilno 1840). Ale zwolennikiem najbardziej wszechstronnych zainteresowań białoruskością tamtego okresu był niewątpliwie Jan Czeczot, jedna z najwspanialszych postaci polsko-białoruskiego kręgu kulturowego. Razem z Tomaszem Zanem i Adamem Mickiewiczem zapoczątkował zjawisko określane później mianem regionalizmu białoruskiego w polskiej literaturze. Do historii literatury polskiej i białoruskiej Czeczot przeszedł jako autor sześciu zbiorów folklorystycznych pod tytułem *Piosnki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny*, wydanych w Wilnie w latach 1837–1846. O ile w pierwszych trzech zbiorach (1837, 1839, 1840) teksty podane są wyłącznie w brzmieniu polskim, o tyle w późniejszych obok tekstów polskich umieszcza autor oryginały białoruskie, a następnie, wzorując się na tych ostatnich, zaczyna pisać pieśni w języku białoruskim. Weszły one do tomu wydane go w roku 1844. Ostatni zbiór (z 1846 r.) autor zaopatrzył w niewielki słownik języka białoruskiego i określił jego zasadnicze osobliwości gramatyczne.

W tym samym czasie na emigracji ukazało się dzieło *Białoruś. Kilka słów o poezji prostego ludu tej naszej polskiej prowincji, o jego muzyce, śpiewach, tańcach etc.* (Paryż 1840). Jego autorem był Aleksander Rypiński, uczestnik powstania 1831 roku. Na wygnaniu poznał Mickiewicza, a jednym z powodów ich zbliżenia było zainteresowanie Białorusią, którą Rypiński uważał za historyczną część Polski. Zawsze jednak podkreślał odrębność oryginalność i samostanny charakter białoruskiego ludu. Wzory białoruskiego folkloru publikowano w polskich wileńskich i petersburskich czasopismach i almanachach: „Rubon”, „Radegast”, „Lud i Czas”, „Niezbudka”, *Rocznik Literacki*”, „Athenaeum”, w grodzieńskiej „Ondynie Druskiennickich Źródeł” i innych. W 1847 roku w Wilnie ukazała się książka Eustachego hr. Tyszkiewicza *Opisanie powiatu Borysowskiego*, w której autor podaje ciekawe wiadomości o pieśniach i przysłowia ludu białoruskiego, jego zwyczajach i obrzędach. Antoni Gliński w *Bajarzu polskim* (Wil-

no 1853, t. 1–2) – zbiorze baśni, powieści i gawęd ludowych, opublikował w wersji polskiej białoruskie bajki ludowe zebrane na Nowogródczyźnie. Ciekawość ta nie była przypadkową, wywołała ją niezwykła oryginalność materiału etnograficznego. Pisał o tym Adam Honoriusz Kirkor: „Poezja ludowa najwyraźniej odbiła się w pieśniach ludu na Białej i Małej Rusi. Prastare to pieśni sięgające czasów pogańskich, a więc wieku X”. W 1851 roku ukazał się duży zbiór piosenek zebranych na Pińszczyźnie przez Romualda Zienkiewicza, przytoczonych w oryginale i w tłumaczeniu na język polski. Kazimierz Władysław Wójcicki stawiał dzieło Zienkiewicza „pomiędzy najpierwszymi zbiorami pieśni ludowych w naszej literaturze”. Historię i etnografię Białorusi badali i analizowali Teodor Narbutt, Romuald Podbereski, Ignacy Daniłowicz. Zainteresowania te podtrzymywali naukowcy, wywodzący się z „Korony”: Kazimierz Władysław Wójcicki, Wacław Maciejowski, Łukasz Gołębiowski, Lucjan Siemieński. Michał Wiszniewski w swej *Historii literatury polskiej* (1851) umieścił rozdział poświęcony starodawnemu piśmiennictwu białoruskiemu.

Na tle realiów białoruskich powstawały pierwsze utwory literackie. Grono pisarzy polskojęzycznych emocjonalnie związanych ze swymi stronami rodzinnymi sięgnęło po miejscowe motywy ludowe. Pierwszą powieścią polską, w której zostały ukazane postacie chłopów-Białorusinów, był *Pan Podstolic albo czym jesteśmy, czym być możemy* pióra Tomasa Massalskiego, wydana w Petersburgu w latach 1831–1833. Przekłady pieśni białoruskich znalazły się w zbiorach poezji witebszczan Juliana Grzymałowskiego i Hieronima Marcinkiewicza. Do białoruskiego folkloru nawiązują utwory polskich autorów z Białorusi: Aleksandra Grott-Spasowskiego, Wincentego Reutta, Wincentego Czajkowskiego, Aleksandra Grozy i in. Polskie wiersze poświęcone Białorusi pisali Franciszek Rysiński, Tadeusz Łada-Zabłocki, bracia Grzymałowscy, wspomniany już Hieronim Marcinkiewicz i Julian Laskowski. Twórczość literacka Jana Barszczewskiego jest przepełniona duchem ziemi białoruskiej. W *Szlachcicu Zawalni*, mimo że utwór ten został napisany po polsku, znalazły wyraz odczucia, myśli i emocjonalno psychiczny typ miejscowego człowieka, Białorusina, co przyznawali nawet współcześni Barszczewskiego. Mając na myśli to właśnie zjawisko lokalnej literatury kresowej, tworzonej przez miejscowych autorów polskich, najczęściej przedstawicieli spolonizowanej szlachty litewsko-ruskiej, pisał Juliusz Kleiner: „Tylko wybitna przewaga kresowców sprawia, że ludem,

który wchodzi do romantycznej poezji polskiej jest nie rdzenny chłop polski, lecz lud Litwy czy też ruskim lud Ukrainy”. Na białoruskich, ściślej poleskich motywach osnute są powieści Józefa Ignacego Kraśzewskiego *Ułana* (1843), *Budnik* (1847), i *Jermoła* (1857). Dwie powieści o chłopach Mińszczyzny opublikowała Ewa Felińska – *Pan deputat* (1852) oraz *Siostrzenica i ciotka* (1853).

Wszystkim wyżej wymienionym autorom, posługującym się wątkami tematycznymi białoruskich legend, podań i realiów życia ludu, nie udawało się jeszcze osiągnąć szerszych uogólnień artystycznych obrazujących Białoruś jako samoistną przestrzeń kulturową. Niektórzy z nich, tworząc w języku polskim, tak dalece wypełniali swoje utwory realiami białoruskimi, że mogły one uchodzić za odrębny typ literacki. Inni, jak Czeczot, we wczesnym dzieciństwie zetknąwszy się z ludem białoruskim, poznali dokładnie jego zwyczaje i obyczaje, żywiąc ku niemu głęboki sentyment, który z latami stale się pogłębiał. W ten sposób „drobnoszlachecka” kultura polska spletała się z ludową kulturą białorską.

Wpływy Oświecenia, a później Romantyzmu polskiego nie zanikły i po powstaniu listopadowym. Idee te okazały się na Białorusi i Litwie nawet bardziej żywotne niż w samej Polsce. W ciągu dziesięcioleci kształtowały one twórcze oblicze przedstawicieli tak zwanej „krajowej” czy też „białoruskiej” szkoły w literaturze polskiej. Przez dłuższy czas niedoceniana, została ona jednak uznana za odrębny oryginalny nurt, tworzący własną filozofię życiową i społeczną, własny rytm i poczucie twórczości artystycznej, czerpiący ze skarbnicy ludu białoruskiego. Pisarzy i poetów tej szkoły, z których wielu było pochodzenia białoruskiego, łączy specyficzna dla tych terenów polszczyzna i charakterystyczny psychologiczny typ, wspólna tradycja literacka. Wszystko to nadaje ich twórczości niepowtarzalne „zabarwienie”, które trudno jest zdefiniować i określić na czym polega ten osobliwy nastrój u poszczególnych pisarzy. Bolesław Hadaczek postrzega tę szkołę w sposób następujący: „Tonacja uczuć ludzkich i przyjaźni bratniej, uniesienie miłości platońskiej, tajemniczość i upoetyczenie spraw codziennych, styl pełen lirycznej prostoty”. Zdanie to uzupełnia opinia Zygmunta Jundziłła: „Była to literatura skromna, rzewna, dobywana z głębi serca”.

Cdn.

dr Jerzy Waszkiewicz
Mińsk

ZABYTKOWE CMENTARZE

dawne woj. poleskie

Wykaz miejscowości i osób pochowanych na cmentarzach:

Miejscowość: - - Obwód - Rejon - Powiat w 1939 r. - Gmina w 1939 r. - - **Majątek rodziny:** - - Osoby poch., występujące w książce:

Bereza Kartuska - - Brześć - Bereza - Prużana - Bereza Kartuska - - **Sapieha** - - Mieczysław i Mania Somkowicze 1883, Józef Niedzielski 1977

Bezdzież - - Brześć - Drohiczyn - Drohiczyn - Bezdzież - - - - najstarszy nagr. Adam Czajkowski 1877-1918, często nazw. Bazylewicz, np. Bazylewicz Frańko ur. 1874-zamordowany 9.12.1943, Antoni Jelec zm. 3.11.1935, l. 69

Brześć nad Bugiem - - Brześć - Bereza - Brześć - - - - Józef Szczepański 1854, Maryanna z Dębskich Płacka zm. 1855, Bazyli Pogorzelski 1855; Joanna z Dankowskich Mazurkiewiczowa zm. 1856; Marja Michajłowna Korsuń 16.8.1856; Michał Gutowski h. Ciołek 13.11.1780-12.1.1861, Konstanty Piątkowski, l. 58, 9.10.1866; Dominik Kurowski zm. 1866, Jekaterina Michajłowna - Dombrowska, l. 53, 3.3.1873, Antonona z Ostrowskich Ponikwicka z 1875; Maria Anna z ks. Radziwiłłów 1voto hr Bnińska, 2voto Bojarowska 1790-3/15.10.1875, córka ks. Dominika i Marii z Czechnickich, zaślubiona hr Bnińskiemu h. Łódzia; Augusta ze Sznajderów Klimaszewska 22.8.1878, Józef Zalewski, l. 75 26.12.1879, Maryanek Zalewski 13.6.1870-11.4.1874, Paweł Zalewski - doktor med., 1839-1911; Wincenty Malewski z 1880, Walery Chrzanowski zm. 1884; Emilja z Poznańskich Masłowska zm. 1888; Maria Siewert zm. 1878, Stefania z Lenczewskich Krzeczowska 1899; Jan Ursyn Niemcewicz, zm. 4.4.1900, l. 72; Weronika z Lachnickich Ursyn Niemcewicz, l. 62, 3.1.1901; kpt. Jan Noskowski 1904r., Kazimierz Nurzyński 1909; Jan Poznański z 1909; Wanda Kisiel 5.9.1921; Bronisław Grot-Spasowski 19.12.1923; Bolesław Poznański 1921, żona Bolesława 1924; Adam Nahajewski 1933; Gustaw Konrad Grzybowski SFINKS 1934; rodzina Bryndzów, m.in. Anna z Iwaszkiewiczów Bryndzowa 1785-1867), żona Joachima, matka Aleksandra; Mieczysław Bryndza 15.3.1785-14.12.1867; Urban Pobóg Benisławski, l. 78, 19.11.1880; Kazimierz Nurzyński 1909; Karolina Eugenia Dzierżyńska 1925; ks. Leopold Mackiewicz 14.7.1899-24.7.1931; ks. Ignacy Mierkiewicz 12.2.1895; Konstanty Sobieszczyński 1908; Kajetan Kozłowski 1908; Leon Mancewicz 1905; Franciszek Iwaszkiewicz 22.9.1905; Jan Zieleniewski, l. 23, 10.5.1932; płk. Paweł Zadarnowski 1834-1903; płk. Karol Dombrowski 30.12.1904; kpt. Adam Downarowicz, l. 37, 9.12.1912; płk. Witold Michalski, l. 58, 1.1.1913; Roman Lampe zg. 29.4.1934; kpt. Władysław Steckiewicz, l. 29, zg. 9.2.1919; ppłk. Jawgienij Iwanowicz Wojnorowski 1883; ppłk. Kazimierz Łuksino 1838-1883; Kazimierz Nurzyński 3.2.1844-12.6.1909; Jan Noskowski, l. 27, 30.11.1904; Alojzy Borkowski zg. 20.9.1904; Konstancja Leśniewska 1868-1903; Marya Okińczyc 1913; Kazia Okińczyc 1892; Marja Czesława z de Ramerów Okińczyc 1906; Konstancja z Okińczyców Jahołkowska 1884; Bolesław Jahołkowski 1913;

Zygmunt Jahołkowski 1907; Czesław Koiszewski 1910; Stanisław Koiszewski 1929; Antoni Koiszewski 19.5.1856; Wincenty Malewski 14.4.1880; Konstanty Sobieszczyński 1.2.1908; Kajetan Kozłowski 9.5.1908; Janina z Miszczuków Kaczmarek 6.8.1922; kpt. Jan Poznański, l. 42, 4.8.1909; Bolesław Poznański 23.12.1924; Aleksander Kościuszko, l. 36, 17.2.1938; Filip Czyżewski 22.1.1911; Paulina Micuk 1911; Władysław Grzybowski 18.6.1930; rtm. Gustaw Konrad Grzybowski 15.12.1888-15.8.1934; Julian Szuster, l. 66, 21.4.1901; Stefan Maksymowicz, l. 52, 1882; Wincenty Lasota 1914; dr Leon Mancewicz, l. 78, 20.3.1905; Tadeusz Władysław Horodeński 1898; Tomasz Mikuczewski 9.5.1878; Julja z Babjańskich Babjańska 3.2.1863; Franciszek Bortnowski; Joanna z (...)kowskich Mazurkiewiczowa 1856; Ludwika z szaniawskich Pachulska 15.5.1892; Julja Chodykiewicz 3.4.1883; Dominik Kurowski, l. 67, 31.1.1866; Antoni Maciejewski, l. 24, 1881; Józefa z Pietruszków Korycka; Antonina z Ostrowskich Ponikwicka, l. 24, z małą dzieciną 2.3.1875; ppłk. Bazyli Pogorzelski, l. 48, 3.4.??; Adam Jan Nahujewski 3.2.1933; Tadeusz Kunicki 1858; Matylda z (...) otlewskich Korotkiewicz, l. 19, 29.7.1872; Krystyna Makowska, l. 50, 24.6.1885; Rachela Jankowska 1894; Anna Marja z Berndów Dmowska, l. 32, 12.3.1893; Walery Chrzanowski, l. 59, 17.9.1884; Karolina Eugenia Dzierżyńska, 24.12.1925; Kamilla Chrzanowska, l. 18, 20.7.1889; Eugenja z Dawidowiczów Chrzanowska, l. 33, 12.2.1891; Delfina ze Stanżewskich Astajewa 17.1.1884; Aleksandra Elżanowska, l. 17, 24.4.1887; Marja Siewert, l. 21, 12.8.1888; Emilja z Poznańskich Masłowa, l. 48, 11.6.1888; Anna z Markiewiczów Paszkiewicz 1879; Ignacy Wysocki 19.5.1854;

Chomsk - - Brześć - Drohiczyn - Drohiczyn - Chomsk - - **Naruszewicze, Dolscy, Wiśniowieccy, Ogińscy, Puśłowsy** - - płk. Paweł Zadarnowski 1834-21.11.1903; płk. Karol Dombrowski 30.12.1904; kpt. Adam Downarowicz 1912; płk. Witold Michalski 1913; lotnik Roman Lampe 1934; Władysław Steckiewicz 1919; ppłk. Jawgienij Iwanowicz Wojnorowski 1883; Kazimierz Nurzyński 3.2.1844-12.6.1909; Jan Noskowski, l. 27, 30.11.1904; Alojzy Borkowski zg. 20.9.1904; Konstancja Leśniewska 1868-1903; Marya Okińczyc 1913; Kazia Okińczyc 1892; Marja Czesława z de Ramerów Okińczyc 1906; Konstancja 1884 z Okińczyców i Bolesław 1913 Jahołkowsy;

Czerwnawczyce - - Brześć - Brześć - Brześć - Turna - - **Illinice, Radziwiłowie** - - zbior. mogiła żołn. pl 1918-20; ks. Antoni Grzybowski 1988; najczęściej wyst. nazw.: Lassota, Sienkiewicz, Litwinowicz, Rodziewicz;

Domaczów - - Brześć - Brześć - Brześć - Domaczów - - - - Michał Żelent 4.8.1910; Marja z Chorążych Żelent 20.4.1911; rodz. Dąbrowskich, m.in. Józef Dąbrowski, l. 64 1.2.1916; Teresa Dąbrowska 14.5.1915; Wiktoria Chorążówna, l. 17, 28.5.1926; Stanisław Milart, l. 54, zginął trag. 1942;

Radziwiłłowie, Wittgensteinowie, - - cment. żydowski - poch. od 1650-1942; zbiorowa mogiła 1.946 Żydów zamord. 3.9.1942;

Łohiszyn - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Łohiszyn - - **Radziwiłłowie, Ogińscy i Lubeccy** - - Maria Kołba 1801; Jan Kołba 1801; Józef Poleski 1823; Antoni Krasnodeski 1827; Jan Nasperowicz 1827; Olechnowiczowa 1836; Anastazja Nolewiczowa 1842; Anna Troczewiczowa 1844; Mikołaj Zojka 1848; Łukaszewiczowa 1855; Kriwop Krożewlanin 1859; Franciszka Szawińska 1881; Marya z Nadrowskich Wygonow(ska), l. 55, 27.2.??; ks. Stanisław Ryżko 4.12.1910-1.12.1984; Aleksander Pietrukowicz 1916-1920; Aleksander Korolewicz 1920; Leonard Korwin Piotrowski 10.11.1890-24.8.1944; szer. Kiewiel 4.7.1919; szer. Leon Majewski 5.7.1919; szer. Kochanowicz 15.5.1920; Wiktor Grzesiukowicz 1919; zbiorowa mogiła Żydów rozstrzel. 1942; Michał Tatarewicz 1873-1917; Jan Jaśkiewicz 1900?; Oskar Tarezi 16.10.191?; Józef Polewski 1909; Kateżina Sawicz 28.??1901; Helena Kujbeczowa 1902; Jerzy Polanowicz 1903; Franz Nikolaiewicz Cvik, l. 40, 8.8.1900; Paweł Przy(...)icz 1919; ppor. Zaremba 1919; Krysiunia Staszewiczówna ??9.1905-28.2.1907; Anna z Awyczów Troczewyczowa 3.??1844; Hriczewnicz 1823;

Łopacin - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Lemieszewice - - **Butrymowicz**, - - ks. Antoni Tomaszewicz 1831

Mikaszewice - - Brześć - Łuniniec - Łuniniec - Lenino - - - Boleś i Witold Bielachowicz 1912; rodz. Barajów - Agafia, Jan, Irena, Eufrozyna - zg. 7/8.12.1917

Mokransy - - Brześć - Małoryta - Kobryń - Mokransy - - - zbior. mogiła pomord. baonu marynarzy należ. do KOP Polesie, w skł. kpt. art. Bogusław Rytyński, por. mar. Jan May, chor. mar. Bolesław Chabałowski, chor. mar. Ludwik Szefer, st. bosm. Bolesław Albo, st. bosm. Roman Mendyka, st. bosm. Wacław Schwartz, st. bosm. Stanisław Sęk, st. bosm. Julian Tomaszewski, bsm. Gabriel Deczer, bsm. Mieczysław Jarczyński, bsm. Władysław Kwinciński, bsm. Józef Lis, bsm. Marian Radziejewski, kpt. sap. Tadeusz Jacyna, por. sap. Zygmunt Dąbrowski; kpt. Władysław Jasik, kpt. mar. Edmund Jodkowski, kpt. mar. Jan Kierkuz, kpt. mar. Narcyz Małuszyński, kpt. mar. Mieczysław Sierkuczewski, por. mar. Janusz Marciniewski, st. bosm. Świeczka 29.9.1939r.,

Mołodów - - Brześć - Janów - Drohiczyń - Motol - - **Woynowie h. Trąba, Ogińscy, Skirmutt**, - - Maria i Henryk Skirmutt 20.9.1939; Karolina z Abramowiczów Sulistrowska 1784-1849; Emilia ze Skirmuttów Orzeszko 14.3.1832-19.12.1905; Aleksander Skirmutt jr 1830-26.6.1909;

Newel - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Chojno - - - cm. żołnierzy rosyjskich i niemieckich zm. w latach 1914-17.

Ochowo - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Żabczyce - - - Józefa z Mikulskich Onichimowska 1834-2.5.1857; Piotr Twardowski h. Ogończyk 1861; Józef Twardowski h. Ogończyk; Maria Twardowska h. Ogończyk;

Osowa - - Brześć - Stolin - Stolin - Płotnica - - - - rodz.

Buchowieckich lub Bochońskich; Tekla ze Skirmuttów Bortnowska, l. 35, 1868; Tadeusz Wabiszczewicz, s. Adama 1944; Sławomir Wabiszczewicz, s. Grzegorza 1944; Dymitr Wabiszczewicz 1942; Wacław Chomiczewski, l. 65, 28.2.1895; Mieczysław Formago 13.10.1891-??8.189?; Stanisław Otrzonsek 5.5.1840-10.2.1904; Witold Komornicki, l. 3, 6.7.1888; Witold Komornicki, l. 30, 17.3.1887; Sylwester Komornicki, l. 67, 8.12.1888; Jan Szpakowski, s. Aftanazego 21.7.1935-13.6.1996; Stefan Szpakowski 3.3.1888; Wincenty Żyliński, l. 76, 20.12.1879; Anna z Matuszewiczów Turczaninowa, l. 42, 22.6.1877; Marya Anna Elżbieta Formago 25.3.1865-28.8.1893; Elżbieta Małyszczycza 29.10.1888-22.3.1898; Rozalija z Kamieńskich Horbatowska, l. 27, 13.12.1880; Józef Mrocznowski, l. 70, 28.1.1909; Walerian Peńkowski 1910-zg.11.6.1931; Agata Borchert ur. 2.1.1835, l. 74

Perkowicze - - Brześć - Drohiczyń - Drohiczyń - Wołowel - - **Wysłouch** - - w cerkwi: Zenon i Wiktor Wysłouchowie z żonami, bp Cyryl Terlecki

Pińsk - - Brześć - Pińsk - Pińsk - - - -

Podbłocie - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Stawek - - **Pusłowsy** - - Helena Linkiewicz 1927; najczęściej wyst. nazw.: Linkiewicz i Dymitruk; Foma Nikolaiewicz Linkiewicz 13.10.1907-14.6.1972; Chelena Linkiewicz, c. Adama, 1926-1927; Stanisław Dymitruk, l. 20, 29.12.1936;

Pohost Zahorodny - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Pohost Zahorodny - - **Druccy-Lubeccy** - - Roman Sierpiński 1869; ks. Hieronim Limbo, l. 73, 11.6.1947; zzbior. mogiła 600 Żydów pomord. 15.8.1942; Bolesław Sielużycki, l. 44, 12.12.1894; Stefania z Liskiewiczów Sielużycka, l. 75, 14.1.1935; Ludwiga z Hulewiczów Makarewicz, l. 72, 9.11.1900; Dominik Bazyl Korolewicz 4.8.1931-10.12.1991; Józefa Korolewicz 11.3.1905-21.5.1935; Albina Tychonowska 1889-1957; Piotr Kaczyński 1913-10.9.1932; Wiktoria Kaczyńska, l. 43, 27.11.1921; Antoni Iwanowski, l. 48, 1915; Stanisław Jacuński 25.7.1872-6.7.1919; Roman Sierpiński, l. 53, 22.11.1869?

Polatycze - - Brześć - Kobryń - Kobryń - Pruska - - - cmentarz żołnierzy niemieckich i rosyjskich z czasów I wojny świat.

Porzecze - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Porzecze - - **Skirmuttowie** - - cmentarz żołnierzy niemieckich z okresu I wojny światowej

Prużana - - Brześć - Prużana - Prużana - - - **ks. Kobryńscy, Szwykowscy** - - Fabjan Białobłocki 1839; Paszkowscy 1841; Trembiccy 1841; Paulina z Kiernożyckich Żarczyńska, l. 44, 28.2.1843; Konstancja z Żarczyńskich Popiejko, c. Pauliny, l. 27, 19.4.1848; Stefania Popiejko, 1 rok, 14.3.1843; Mieczysław Popiejko, l. 2, 5.12.1844; Adolf Popiejko, 1 rok i 10 mcy, 24.11.1845; Bolesław Popiejko, l. 1, 5 18.12.1847; Julja Popiejko 28.1.1848; Marja Popiejko, l. 1, 06.1848; Wincenty Jurkowski 1852; Ferdynand Leżeński 5.1.1852; Karolina z Pierzchalskich Leżeńska, l. 88, 20.2.1890; Józefina z Deramerów Leżeńska, l. 86, 18.2.1852; Konstancja z Zdziłowskich Siedlecka 1852; Gustaw Kotarski 1859; Kazimierz Leżeński 1860; Adolf Hlebowicz 1863; Antonina Hlebowicz 1870; Józef Nadolski;

Leonard Wojniłowicz 23.3.1890; Antonina z Lisowskich Konstantynowa 12.4.1873; Aleksander Turski, l. 45, 5.10.1876; Kazimiera z Borysowskich Turska, l. 58, 1909; Cyprian Krzywobłocki 2.9.1872; Faustyna z Wyładowskich Bukowska, l. 66, 31.10.1873; Adolf Thurn 17.10.1908; Antoni Stupstowicz 1874; Emija Korsak, l. 66, 19.9.1874; Antonina z Dzierżyńskich Ciezielska, l. 68, 11.12.1893; Józef Przesmycki, s. Tadeusza 7.4.1878; Dionizy Kisielewski, l. 75, 20.6.1876; Marcin Iżycki, l. 62, 14.6.1875; Konstancja z Zadzistów Siedlecka; Józefa Piątkowska, c. Konstancyi Siedleckiej; Róża z Karczewskich Babirecka, l. 54, 9.8.1884; Herminja z Ważyńskich Szwykowska, l. 70, 26.4.1888; Walenty Szwykowski, l. 83, 3.4.1900; Saturnin Czerwski, l. 38, 19.6.1899; Józef Ryczak 28.11.1879-5.1.1922; Marcin Bułharyn 15.6.1879; Kazimiera z Jahołkowskich Bułharyn 30.10.1871; Wincenty Trębicki, l. 80, 1842; Bogusław Trębicki 8.8.1804-15.6.1896; Adzio Trębicki 13.2.1888-13.5.1893; Zawadzcy 1910; Bolesław i Michał Czarnoccy 1935; ks. A. Godziński 27.11.1884; ks. Julian Tomasz Zybowicz 22.4.1902; Witold Mikłaszewskich Godzińska 27.12.1867; 25.8.1936; Zygmunt Zimoch 2.11.1934; Antoni Berent, l. 44, 23.3.1943; Władysław Harkiewicz, l. 43, 23.3.1943; Czesław Harkiewicz, l. 21, 23.3.1943; Aleksander Pietraszewski, l. 30, 23.3.1943; Józef Ryczak 1933; Julian Kossopolański 8.5.1875; Melanja Kossopolańska 10.3.1881; Fabjan Białobłocki 20.10.1839; Tadeusz Januszewicz 1934-1987; Antoni Otowicz; Letycya z Nowackich Sokołów, l. 82, 22.11.1882; Antoni Nowacki, l. 45, 13.2.1830; Wincenty Jurkowski 26.6.1852; Helena z Lewickich Twardowska, l. 62, 25.12.1889; Aleksandra ze Stępkowskich Lewicka, l. 33, 17.4.1874; Antonina z Bonieckich Poniatowska; Dorota z Mankowskich Juskiewicz 1888; Felicja Rząśnicka 21.12.1900; Apolinary Rząśnicki 24.4.1878; Maria Sawicka 1994; Emilja z Horbatowskich Krzywopiszyna 25.2.1919; Ludwika ze Ściepurów Strzałkowska 2.4.1910; Adam Ściepura 18.7.1875; Józef Zawadzki 7.7.1910; Gorgonijusz Chodakowski, l. 68, 7.2.1880; Anna z Chodakowskich Panocka 6.10.1881; Gustaw Hipolit Sobiesław Kotarski, s. Bonawentury, l. 27, 24.5.1859; Luckjan Bolesław Czarnocki, l. 57, 13.6.1859; Michał Czarnocki, l. 55, 9.8.1935; Teofila z Niewińskich Godzińska 27.11.1884; kwatery wojenne żołnierzy niemieckich, austriackich i rosyjskich z I wojny światowej; kwatery 126 polskich żołnierzy poległych w wojnie 1920 r. - I rząd: Basatyko 2.11.1919; Niesobski 22.11.1920; Możejko; Michalak A. 19.10.1920; Antczak L. 10.11.1920; Kęsicki St. 10.11.1920; Step(f)añski 1920; Orencki 1920; Klast A. 14.9.1920; Ciestowicz W. 1920; Filipczak J. 14.9.1920; Kowalka St. 24.7.1920; II rząd: Kasza 24.7.1920; Krawczyk S. 22.9.1920; Leśny J. 1920; Brudio T. 4.9.1920; Gorczyca S. 7.3.1921; Ligeza E. 20.7.1919; Wojtacki A. 7.4.1919; Zajączkowski 10.6.1921; Kaźmierczak St. 23.7.1920; Zaremiński J. 1.6.1921; Konkołowicz E. 24.2.1919; Brodziewicz B. 19.2.1919; Mielcuszny L. 21.9.1920; Grzemrowski 2.7.1920; Kęstowiczówna 31.3.1919; Wygrzebek 24.7.1920; Płuczak 24.7.1920; Skiba J. 21.9.1920; Modliński A. 6.1.1921; Samoczewski H. 20.9.1920; Sończyński 24.7.1920; III rząd: S. Mazurczak 1920; T. Gocuła 1920; U. Rolnik 1920; J. Herma 1920; E. Dreger 1920; R. Smoliński 1920; S. Suchron 1920; L. Olejnik 1920; Marcinkowski 1920; W. Rosik 1920; B. Biereńczyk; J. Kubiak 1920; S. Grzegorzczak 1920; S. Urdakujk 1920; F. Cieślak 1920; C. Ratajczyk 1920; S. Kowal 1920; J.

Proiss 1920; L. Richter 1920; J. Lechniak 1920; F. Wraczyński 1920; S. Frąckowiak 1920; S. Lisowski 1920; M. Fabiszewski 1920; W. Wieczorek 1920;

Różana - - Brześć - Prużana - Kosów Poleski - - - **Sapieha** - - mogiła polskich żołnierzy poległych w 1920; Stanisław Siekierski 25.9.1920; Jan Zendel 25.9.1920; Antoni Budkowski 5.4.1827; Marya Janowicz, l. 72, 29.4.1932; Anna Łenkowska, l. 96, 4.1.1898; Bronisława Krupko, l. 22, 8.12.1889; Aleksandra z Lachowiczów Krupko, l. 52, 1895; Stanisław Żukowski 1877; Klara Żukowska 1829; Bogumił Kindler, l. 65, 15.5.1870; Franciszka Lewizorowiczowa, l. 45, 1871; A. Rudziński; Aleksander Nowicki, l. 63, 17.1.1885; Wiktoria ze Zdzitowieckich Nowicka, l. 71, 6.4.1897; Maksymila Nowicka, l. 6, 20.12.1862; Antoni Nowicki, l. 8, 5.12.1871; Stefan Kochanowicz, l. 50, 6.1.1875; Wiktoria z Kołupajłów Radziewska, l. 74, 5.1.1881 1881; Wincenty Muszyński, l. 29, 7.9.1895; Karolina z Ostromięckich Korczyc 8.8.1901;

Siechnowicze Wielkie - - Brześć - Żabinka - Kobryń - Siechnowicze - - **Kościuszkowie, Hłakowiczowie, Przyborowie** - - Klemens Przybora s. Wandalina, l. 18, 22.12. 1876; Karol Czarnecki, l. 54, 25.7.1884; Żelazowscy (prawdopod. rodz. Teodora Żelazowskiego) 1831; Pawlina Pawłowna z Żelazowskich Lewicka 1849; Aleksander Iwanowicz Lewicki 1877; Nadjeżdża Iwanowna Ljubińska;

Siehniewicze - - Brześć - Brześć - Prużana - Rewiatycze - - - Ignacy Szemioth, l. 82, 26.10.1882; Emma ze Staszewiczów Szemiothowa, l. 48, 21.7.1881; Kamilla z Borejszów Łukaszewicz 23.1.1910; Kornela z Olszewskich Gasiuk 1885; ks. Adam Stankiewicz, l. 40, 30.1.1900; Jadwiga z Błazejewskich Odlanicka-Poczobuttowa, l. 54, 3/16.5.1902; Franuś Hermanowicz 1905; Jaonna z Cieplińskich Krantz, l. 73, 23.12.1893; Zygmunt Święcicki 13.10.1912-25.9.1913; Zygmunt Kucharczuk, s. Jana 1935 - zg. 6.12.1978; Taida z Niestuchowskich Rodziewiczowa, l. 70, 3.2.1902; Antonina z Zembruskich Radowicka, l. 67, 17.8.1907; najczęściej występ. nazw.: Kucharczyk, Wasilewski, Czyż;

Sielec - - Brześć - Bereza - Prużana - Sielec - - **Kiszczynowie** - - Józef Zdanowicz 1886; żona Józefa (brak imienia) - Zdanowiczowa 1913; Maria Zdanowicz 1926; ks. Stanisław Możejko;

Starosiele - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Pohost Zahorodny - - **Świeżyńscy** - - Michał Świeżyński 1821-1898; Kazimierz Świeżyński 1859-1902; Karolina ze Świeżyńskich Świeżyńska, l. 76, 5.12.1911; Piotr Świeżyński, l. 42, 17.12.1910; Adela z Westetow Dworakowska 10.9.1866-2.6.1902; Justyn Dworakowski, l. 83, 30.3.1878; Julja ze Stojnowskich Dworakowska 8.1.1885; Marychna Dworakowska, l. 17, 22.7.1908;

Stolin - - Brześć - Stolin - Stolin - - - **Jarosławowiczowie, Sołomereccy, Wiśniowieccy, Korzeniowscy, Pocijowie, Sołtanowie, Skirmuttowie, Stachowscy, Hałaszkiewiczowie** - - Henryk Wierusz-Kowalski, l. 75, 24.10.1930; Aleksander Komorowski 1857-1937; Kazimierz Stojek, l. 21, zg. 18.7.1938; Teresa Klementz 10.1935; Józef Skirmutt 1784-16.8.1857; Antoni Tukieres, l. 67, 19.10.1934;

Stoszany - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Łohiszyn - - **Zawiszowie, Korsakowie** - - ziemne mogiły żołnierzy rosyjskich z okresu I wojny świat.

Szczytniki Wielkie - - Brześć - Brześć - Brześć - Łyszczycze - - **Sapieha, Flemingowie, Czartoryscy, Ponikwiccy, Tukałłowice** - - Antoni Kaliszka, 16.2.??, l. 95; Stefania Witanowska 1941;

Szereszów - - Brześć - Prużana - Prużana - Szerszów - - - - Kalikst Anioł Moraczewski 2.10.1838-9.6.1851; Jan Piotr Moraczewski 27.6.1802-16.11.1864; Jan Kaniowa Kraszewski 1864; Alojzy Kiernożycki 22.6.1802-5.12.1871; Marya z Kiernożyckich Dziekońska, l. 47, 20.8.1887; Franciszek Dziekoński 28.9.1871; Ludwika z Szemiothów Kiernożyńska, l. 70, 26.1.1880; siostra Anna Plecka misjon., l. 28, 15.7.1933; ks. Serwand Bołtuć, 72, 17.5.1893; Ewelina Bakinowska z Hryhorowiczów, l. 82 6.2.1945; Anna Zienowicz, l. 74, 14.6.1877; Jan Kaniowa Kraszewski 1789-27.2.1864; Jadwiga ze Szczerców Gawrycka ur. 8.11.1865; Aleksander Iwanowicz Ruprikt 1852; Jan Soroko 27.8.1856; Olga Dworakowska, l. 64, 24.4.1894; Ignacy Ciechanowski 1867; Wiktoria Gawrycka 1869; Józef Fiedziuszko 1888; Melanja z Wilczewskich Wielowiejska, l. 34, 21.6.1888; Józef Siwudzki, l. 76, 10.4.1932; Ignacy Ciechowski 11.11.1867; W. Klicki 7.7.1859; Jan Czyżewski zginął 1917; Antonina Wołonciewicz 13.6.1894-29.1.1976; najczęściej spotyk. nazw.: Januszkiewicz, Korolkiewicz, Gawrycki, Niemirowicz, Czyżewski, Niechoda.

Święta Wola - - Brześć - Iwacewicz - Kosów Poleski - Święta Wola - - **Dolscy, Wiśniowieccy, Ogińscy, Pusłowsky** - - Alfred Hubrich 11.9.1917; Ernst Klimpel 15.1.1917; Fritz Berger 22.10.1915; Otto Sengher 24.10.1884-27.3.1918; William Watkinson 23.10.1882 Hamburg - 1.3.1918

Terebeń - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Dobrosławka - - **Skirmuttowie** - - symb. dzwon pośw. pam. rodziny Matulisów z 1887; Władysław Skirmuntt, s. Antoniego 1.2.1829-29.2.1890; Zofia z Wolskich Skirmunttowa 1836-1897; Natalia z Kozłowskich Bajkowska, l. 52, 21.12.1905; Ewelina z Piotrowskich Rimaszewska 31.7.1921; Emilja z Rymaszewskich, l. 25, 15.2.1931; Aleksander Matulis, s. Jana 23.1.1947, l. 83; Bronisława Matujlis, l. 77, 10.3.1978; Konstanty Kuncewicz, l. 60, 5.8.1945; Regina Kuncewicz z d. Pawłowska, 1945;

Tewle - - Brześć - Kobryń - Prużana - Matjasy - - - - 150 żołnierzy rosyjskich

Tomaszówka - - Brześć - Brześć - Brześć - Domaczów - - - - 1.346 żołnierzy rosyjskich i niemieckich poległych w latach 1915-16;

Wistycze - - Brześć - Brześć - Brześć - Motykały - - **Nasutowie, Tyszkiewicz, Stetkiewicz, Jagminowie** - - jeden nagrobek w bardzo złym stanie, brak daty i nazwiska

Wołczyn - - Brześć - Kamieniec - Brześć - Wołczyn - - **Gosiewscy, Sapiehowie, Flemingowie, Czartoryscy, Ciołek-Poniatowscy**, - - Józef i Agnieszka Łabanowscy 1805; Constantin Gażycz 1848-1900; Jerzy Gażycz 1819-1877; Konstancja Gażycz 1816-1886; Antoni Gażycz 11.5.1823-27.9.1855; Eugeniusz

Gażycz, l. 64, 5.1.1854; Katarzyna z Gąssowskich Gażycz, l. 64, 30.5/12.6.1849; Katarzyna z Podgórskich Narbutt, l. 52, 25.4.1881; Bronisław Narbutt, l. 61, 20.4.1883; Karolina Wierzbicka 10.2.1889; Stanisława Szemioth, 1886; Marcyanna z Taranowiczów Buczyńska 21.4.1861, l. 66; Tomas(z) Michalc(z) uk 1860, l. 80; w latach 1938-1988 w kościelnej krypcie zwłoki kr. St. Poniatowskiego;

Wysokie Litewskie - - Brześć - Kamieniec - Brześć - Wysokie Lit. - - **Chreptowiczowie, Sapiehowie, Potoccy** - - Maryanna z Kosieradzkich Wysocka 1844; Michał Korczyc 1857; Teodora z Suzinów Łabanowska, l. 78, 15.12.1884; Mikołaj Kalikst Pachniewski, l. 65, zm. 29.12.1886; Paulina Wisłocka 1881; Franciszka Ihnatowicz 1894; Aleksander Zdański 1890; Piotr i Anna Lubowicz 1901; Marcin Jakubowski 1803-1870; Bronisław Gutowski 1884; Konstanty Telatycki 1884; rodzina Domagałów, zamord. 3?3.1942; Wolski Ferencz 1915; Woźniak Stan. 1915; Martenszek Paul 1915; żołnierze Legionów J. Piłsudskiego - Molenda z Iskra; sierż. Stanisław Hyjek; szer. Zygmunt Czempiel; szer. Józef Kabiela; Leopold Wydra; Zygmunt Brandt; Bernard Obmiński; Zygmunt Brandt; Rudolf Wiśniewski; Feliks Molski, l. 60, 28.1.1889; Zygmunt Jahołkowski, l. 52; Anna Zdańska 17.5.1897; Aleksander Zdański, s. macieja, l. 83, 26.12.1890; Lucjan Wisłocki 1808-1883, Paulina Wisłocka 1.6.1888; Franciszka Ihnatowicz, l. 69, zm. 20.3.1894; Julian Skowroński 15.6.1894; Józef Wołynczewicz, l. 88, zm. 27.11.1900; Rozalia Bukiewiczowa, l. 41, zm. 1872; Piotr i Bogumiła z Szumbowskich Lubowicz i wnuczka ich Izabella Nowicka 14.6.1901; Paweł Małyszkievicz, l. 72, 22.2.1863; Józefa z Manderlejew Wilanowska, l. 82, 9.12.1891;

Zakoziel - - Brześć - Drohiczyn - Drohiczyn - Wołowel - - **Orzeszkowie** - - brak śladów cmentarza

Żabinka - - Brześć - Żabinka - Kobryń - Zbirohi - - **Trębicy** - - Stefan, Aleksander, Władysław Smal, 24.6.1941; Mikołaj Kubicki, l. 50; zbiorowa mogiła żołnierzy AK oddz. Warta I okręgu poleskiego AK, dowodz. przez por. Wojciecha Zbilutę, ps. Jura - II wojna świat.: ppor. Stanisław Murawski ps. Stanisław, st. sierż. Józef Kaźmierczak ps. Bzura, kpr. podch. Jan Malik, ps. Thompson, strz. Jan Łagodziuk, ps. Jaś, strz. Czesław Greń, ps. Grześ, strz. Józef Wołoszyński, ps. Sarka, strz. Edward Radwański, ps. Edek, strz. Bolesław N, ps. Rak, polegli 27.10.1943 w okolicy Żabinki

Zytnowicze - - Brześć - Pińsk - Pińsk - Chojno - - **Jarosławowicze, Rydzewscy** - - cmentarz wojenny żołnierzy niemieckich z okresu I wojny światowej

Wykaz opracowano na podstawie książki «Zabytkowe cmentarze na Kresach Wschodnich II RP na obszarze Republiki Białoruś. Województwo poleskie.» wyd. Warszawa 2000 r.

Oprac. *Marta Czerwieniec*



TOŁŁOCZKOWIE



Był na Polesiu możny ród Tołłoczków. Początki znanego na ziemi brzeskiej książęcego rodu Tołłoczków sięgają połowy XVII wieku, kiedy to kniaziówna Teresa Szujaska wyszła za mąż za Piotra Tołłoczkę i wniosła w posagu majątki: Rakowica, Czelejew, Czerwińce, Terebuń i Zaburze. Terebuń i Zaburze zostały po pewnym czasie rozparcelowane, a pozostałe majątki przechodziły kolejno z dziada na ojca, z ojca na wnuka itd. W połowie XIX w. przypadły w udziale Janowi Tołłoczko, który ożenił się z Karoliną Jaskłowską.

W 1863 r. Jan Tołłoczko wraz ze swoim teściem Antonim Jaskłowskim brał udział w powstaniu styczniowym. Po klęsce powstania obaj dostali się do niewoli i zostali skazani na 10 lat zesłania na Syberii. Żona Jana Tołłoczki, Karolina, była bardzo energiczną kobietą i w ciągu tych 10 lat dwukrotnie odwiedziła męża i ojca na zesłaniu, co w tamtych czasach było nie lada wyczynem. Najpierw trzeba było uzyskać zgodę władz rosyjskich na odwiedzenie zesłańca, a to nie takie proste, a potem pokonać kilka tysięcy kilometrów różnymi środkami lokomocji i w niezwykle trudnych warunkach. W czasie pobytu Jana Tołłoczko na zesłaniu urodziła dwóch synów. Jeden z nich, Stanisław, był potem wybitnym uczonym, chemikiem we Lwowie, a drugi, Ludwik, ministrem Poczty i Telegrafów w wolnej Polsce.

Po powrocie z zesłania Jan Tołłoczko musiał odbyć dalszą część kary tzw. banicję, polegającą na przymusowym osiedleniu poza miejscem zamieszkania. Nie było więc mowy o powrocie do rodzinnej Rakowicy.

Jan i Karolina Tołłoczkanie wyjechali z synami na Podlasie, gdzie wydzierżawili majątek Klonowica. Tam urodziło się dwóch kolejnych synów: Teodor i Kazimierz. Po skończonej banicji Tołłoczkanie wrócili wreszcie pod koniec XIX w. do swojej Rakowicy. Majątek był w bardzo złym stanie, a dwór nie nadawał się do zamieszkania. Dlatego też pani Karolina wraz

z dziećmi zamieszkała w sąsiednim majątku Szczytyniki u dalekiego krewnego Tadeusza Panikwickiego, a Jan zajął się odbudową dworu i gospodarstwa w Rakowicy. W Szczytynkach synowie Tołłoczków wychowywali się razem z córką gospodarza Jadwigą Panikwicką. Wspólne zabawy i wieloletnia przyjaźń zakończyły się małżeństwem Jadwigi i jednego z Tołłoczków – Teodora. Ślub odbył się w lutym 1901 r. Teodor miał już wówczas ukończone studia rolnicze i był dzierżawcą, a później właścicielem majątku Sycze, położonego w odległości kilku kilometrów od Rakowicy. Dzięki przedsiębiorczości i pracowitości Teodora, Sycze stały się znanym w całej okolicy dużym i nowoczesnym przedsiębiorstwem rolniczym przynoszącym spore zyski właścicielowi i zapewniającym dobrze płatną pracę, wielu mieszkańcom okolicznych wsi. Była tam gorzelnia, obora pełna rasowych krów i chlewnia. Były też nowoczesne maszyny rolnicze, nieznane jeszcze na Polesiu, a sprowadzone przez Tołłoczkę z Poznania. Teodor Tołłoczko cieszył się powszechnym szacunkiem i autorytetem. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa Związku Ziemian. W Syczach urodziło się Tołłoczkom troje dzieci; Tadeusz, Kazimiera i Zdzisław.



Zofia Tołłoczko

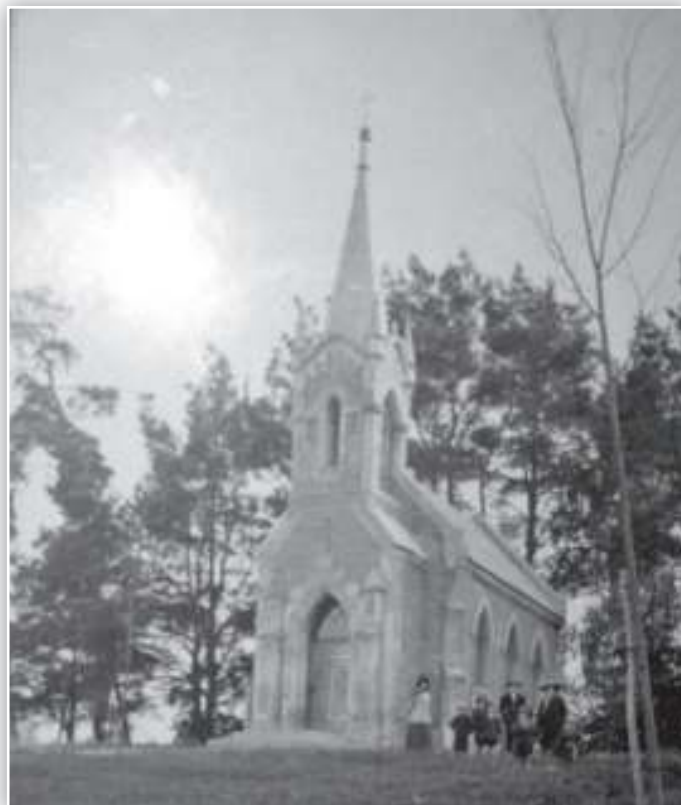
Czasy dobrobytu i stabilizacji skończyły się w chwili wybuchu I wojny światowej. Na polecenie władz rosyjskich Tołłoczkanie, podobnie jak inni mieszkańcy okolic Brześcia, musieli przenieść się w głąb Rosji. Wybrali Kijów. Tam Teodor Tołłoczko kolejny raz dał dowód swojej przedsiębiorczości i pomysłowości. W porozumieniu z właścicielami polskich majątków ziemskich w okolicach Kijowa, którzy hodowali bydło, zajął się przetwórstwem mleka i sprzedażą jego produktów. Miał w Kijowie trzy sklepy mleczarskie, które mimo wojny dobrze funkcjonowały i przynosiły rodzinie niezłe dochody. Rodzina zaś powiększała się. W lutym 1917 r. urodziła się kolejna córka – Zofia.

Wkrótce do Kijowa zaczęły docierać echa rewolucji bolszewickiej. Tołłoczkanie cudem uszli z życiem, i gdy tylko nadarzyła się okazja wyruszyli w drogę powrotną do kraju. Jechali pociągiem, w bydlęcym wagonie, razem z niańką, mamką i z... krową. Podróż z Kijowa do Brześcia trwała kilka tygodni. Można sobie wyobrazić co się w tym czasie działo z pociągami i pasażerami, gdy dokoła szalały rewolucyjne bandy.

Tołłoczkanie szczęśliwie dotarli do domu, ale majątek był zrujnowany. Budynki

gospodarskie zniszczone, brak inwentarza, pusta gorzelnia, zepsute maszyny. Najbardziej jednak dawał się we znaki brak ludzi do pracy. Okolica była zupełnie wyludniona. Dlatego też Tołłoczko kupił mieszkanie w Warszawie, gdzie ulokował rodzinę, a sam zajął się gospodarstwem. Próbował dźwignąć Sycze z ruiny, ale warunki życia były wówczas na Polesiu bardzo trudne i ostatecznie postanowił sprzedać majątek. Ironia losu sprawiła, że tego dnia, kiedy dokonał transakcji była wymiana waluty (słynna reforma Grabskiego) i wartość pieniędzy, które otrzymał za Sycze spadła niemal do zera. Tołłoczkanie znaleźli się nagle w bardzo trudnej sytuacji materialnej. Pani Jadwiga chcąc podreperować budżet rodzinny, zaczęła nawet w Warszawie prowadzić coś w rodzaju jadłodajni, wykorzystując przy tym produkty otrzymywane od krewnych ze wsi. W końcu Teodor Tołłoczko podjął desperacką decyzję. Sprzedał tysiącletnie dęby z odziedziczonego po przodkach lasu i zrobił to wbrew woli swoich braci. Dzięki temu jednak zapewnił byt rodzinie. Kupił kawałek łąki i założył stawy rybne. Założył również sad czereśniowy i ogród warzywny. Znalazł także dobrą gospodynię, która prowadziła mu małe gospodarstwo hodując kury i świnie na potrzeby rodziny. Sytuacja materialna znacznie się poprawiła. Mijały lata. Dzieci dorosły, usamodzielniały się. Każdego lata i na każde święta cała rodzina gromadziła się w ojcystym gnieździe Tołłoczków – w Rakowicy. Przyjeżdżali bracia Teodora, ich rodziny, przyjaciele. Zdarzało się, że do stołu w rakowickiej jadalni siadało ponad 30 osób. Tak było również ostatniego, przedwojennego lata w 1939 r. Ostatnie, rodzinne spotkanie...

Początek września był jeszcze spokojny, ale Teodor Tołłoczko, który przeżył rewolucję 1917 r. w Rosji i znał bolszewickie metody działania, szybko zorientował się, że coś niedobrego dzieje się i tuż przed 17 września. Zdążył wywieźć wszystkich domowni-



Kaplica Tołłoczków – początek XX w.

ków i gości za Bug, w okolice Białej Podlaskiej, gdzie mieszkał jego brat. Było tam już pełno uchodźców z Zachodu, toteż Teodor wynajął dwa skromne pokoiki w Białej Podlaskiej i tam przeżył z żoną i córką całą okupację. W 1944 r. kiedy zaczęto mówić o zbliżaniu się Armii Czerwonej i rychłym zakończeniu wojny, Tołłoczkanie wyjechali do Warszawy, gdzie wciąż mieli swoje mieszkanie i gdzie mieszkała ich starsza córka z trójką dzieci.

Obie córki Tołłoczków od początku należały do Armii Krajowej i obie walczyły w powstaniu warszawskim. Starsza, Kazimiera zginęła od razu na początku powstania, młodsza, Zofia, przeżyła powstanie, przeszła przez obóz w Pruszkowie, a następnie udało jej się zbiec z transportu do Oświęcimia. Zatrzymała się u krewnych w Łowiczu, odszukała rodziców i siostrzenicę, a następnie pojechała do Radomia szukać jakiegoś mieszkania. W Radomiu mieszkała przyrodnia siostra pani Jadwigi i Tołłoczkanie mieli nadzieję, że u niej znajdą schronienie do czasu wyzwolenia Warszawy. W międzyczasie Teodor Tołłoczko został aresztowany i osadzony w słynnym więzieniu na Montelupich w Krakowie. Dzięki staraniom brata znanego przed wojną uczonego, został po kilku tygodniach zwolniony i dołączył do rodziny mieszkającej



Kaplica Tołłoczków obecnie

już w Radomiu. Jednak pobyt w ciężkim więzieniu, chociaż krótkotrwały, spowodował pogorszenie stanu zdrowia, tego zmęczonego już różnymi przeciwnościami losu, 70-letniego człowieka i w 1946 r. Teodor Tołłoczko zmarł. Troska o losy rodziny spadła teraz na barki córki Zofii. Trzeba było zaopiekować się matką i 12-letnią siostrzenicą, a także siostrzeńcem, który po trzech latach pobytu w Oświęcimiu, po stracie narzeczonej i po śmierci matki, przeżywał głęboką depresję.

Wojna nie oszczędzała rodziny Tołłoczków. Zabrała ośmiu jej członków, a drugie tyle przeszło przez więzienia i obozy. Jeden z członków tego rodu był delegatem Rządu Londyńskiego na kraj i tym chyba należy tłumaczyć szczególną zawziętość najpierw Niemców, a potem Sowietów w ściganiu Tołłoczków. Rodzina rozproszyła się po świecie. Pani Zofia została w kraju i próbowała budować swoje życie na nowo. Spadkobierczyni książęcej niegdyś fortuny i absolwentka przedwojennej Wyższej Szkoły Nauk Politycznych zaczęła pracę w radomskiej uczelni i dźwigała bańki z mlekiem. Potem był powrót do Warszawy i praca w spółdzielni „Społem”, gdzie dzięki życzliwości dyrektora została nawet przodownicą pracy, co w tamtych, stalinowskich czasach dawało poczucie bezpieczeństwa i ułatwiało zdobycie mieszkania. Wyszła za mąż. Opiekowała się matką, która dożyła sędziwego wieku, gromadziła rodzinne pamiątki. A kiedy po prawie pół wieku pojawiła

się możliwość wyjazdu w rodzinne strony, pojechała, żeby zobaczyć zrujnowany cmentarz, rozkopane groby swoich przodków i ojcowskie stawy z napisem: „rybnoje ho-zajstwo”. Po domu nie zostało ani śladu. Nie ma już Rakowicy, nie ma Sycz, Szczytnik, nie ma tylu innych, ziemiańskich dworów. Historia okrutnie się z nimi obeszła, a przecież były to miejsca, gdzie rodziły się i wychowywały kolejne pokolenia polskich patriotów, ludzi, którzy służbę ojczyźnie zawsze stawiali na pierwszym miejscu.

Pani Zofia opowiadając swego czasu historię rodu Tołłoczków dyrektorze polskiej szkoły w Brześciu pani Lilii Potonii, mówiła o swoim udziale w powstaniu warszawskim i Armii Krajowej, jako o rzeczach

zupełnie oczywistych. Dla jej pokolenia nie było innej alternatywy, tak jak nie było jej dla pokolenia dziadka pani Zofii Jana Tołłoczko, który zostawił świeżo poślubioną żonę i poszedł do powstańczej partyzantki. Siostra pani Zofii idąc do powstania warszawskiego zostawiła w domu 10-letnią córeczkę, bo taką hierarchię wartości „wpoili” jej rodzice. Dzisiaj taka postawa byłaby źle przyjęta, krytykowana, bo dzisiaj kwestionuje się nawet sensowność wszystkich powstań narodowych.

Pani Zofia ma świadomość jakie niesie ze sobą współczesny relatywizm i mimo podeszłego wieku próbuje ocalić od zapomnienia przeszłość poleskich dworów. Kilkakrotnie już odwiedziła swój „kraj lat dziecinnych” w towarzystwie młodszych przedstawicieli rodu Tołłoczków, którzy przyjeżdżają z Kanady i Stanów Zjednoczonych, żeby poznać ziemię swoich ojców. Chętnie również dzieli się swoimi wspomnieniami i opowiada o ludziach i zdarzeniach dawno minionej epoki. Pamiętajmy o nich, bo „ojczyzna to pamięć i groby. Narody, które tracą pamięć, tracą życie”¹.

**Lilia Potonia,
Eugeniusz Lickiewicz**

¹ Autorstwo tej sentencji przypisuje się na ogół Norwidowi, ale być może Norwid cytował w tym przypadku któregoś z pisarzy antyku.

SAGA POLESKA

Nie śmiejmy się z wróżb

Brześć n/Bugiem, w lecie 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny – sprawiał wrażenie wielkiego obozu ćwiczebnego. Mundurów i samochodów wojskowych widywało się w naszym mieście zawsze bardzo dużo. Kawiarnie i restauracje brzeskie zapęłniały się oficerami różnych broni, lecz po mobilizacji marcowej, ulice Brześcia zazieleniły się kolorem kłaki z niebywałą przed tym intensywnością. Wydawało nam się, że mieszkamy w dużych, ruchliwych koszarach – dookoła tylko mundury, mundury, mundury.

Miałyśmy wówczas po 18-19 lat, byłyśmy w wieku wyjątkowo skłonny do romantycznych wyobrażeń, szczególnie przy takiej ciągłej defiladzie przystojnych, roześmianych chłopaków. Czyż można zresztą dziwić się, że w towarzystwie takiego sztywnego kawalerzysty z długą szablą, lub młodego lotnika w pięknie skrojonym szaro-błękitnym mundurze nasze dziewczęce fantazje wynosiły nas pod obłoki? Nasi szkolni koledzy w swych skromnych ubraniach cywilnych zupełnie przestawali się liczyć i zielenieli z ukrywanej zazdrości. Na urok mundurów wojskowych wrażliwe zresztą były nie tylko młode panienki. Nasze własne mamy, wraz z całym gronem kawiarnianych pań brzeskich, rozprawiły bez końca o każdym przyjęciu w Twierdzy, o każdym nowo-pojawiającym się oficerze na ulicach miasta.

Ja osobiście, nie bardzo mogłam brać udział w tym ogólnodamskim szaleństwie, byłam wówczas na studiach w Warszawie, do Brześcia wracałam tylko na wakacje i święta, najczęściej wraz z moimi studentkami kolegami. Pewnego razu, przy takiej właśnie okazji powrotem pociągiem do domu, jeden z naszych kolegów przedstawił mi swego kuzyna Leszka, młodego kawalerzystę, jadącego na krótki urlop do rodziny, mieszkającej w brzeskiej Twierdzy. Leszek zwracał na siebie ogólną uwagę w pociągu i był wysoki, przystojny: szablę, odpowiednio do swego wzrostu, miał imponującą, w eleganckim mundurze i wyso-

kich, lśniących butach prezentował się nadzwyczaj korzystnie. Niedługo potem w kawiarniach brzeskich zawrzało: panie mówiły ciągle o młodym, pięknym podporuczniku kawalerii, który się pojawił na jakimś przyjęciu w Twierdzy. Nie wiedziałam, że chodziło im właśnie o Leszka. Gdy pewnego dnia Mama moja zobaczyła nas razem na ulicy, posypały się pytania: – Skąd ty go znasz, tego wspaniałego młodzieńca? Byłam nim oczarowana na sobotnim przyjęciu, lecz on miał minę znudzoną i mało tańczył. Dlaczego taki przystojny chłopak właśnie na ciebie zwrócił uwagę, gdy tyle ładnych kobiet stara się o to na próżno?

Trudno mi było coś na to odpowiedzieć, lecz próżność moja była przyjemnie polectana. Postanowiłam więc umówić się z Leszkiem do kina, czy do kawiarni, może nawet pójść z nim do parku – tak po prostu, na złość tym naszym pięknym paniom. Spacer do parku zapowiadał się przyjemnie, przy słonecznej pogodzie i beztroskim nastroju. Chcieliśmy właśnie usiąść na ławeczce przy stawie, gdy zaczęła nas stara, ubrana w malownicze lachmany, cyganka: – Powróżyć, panienka, powróżyć! Patrzyła na mnie swoimi ciemnymi, przenikliwymi oczami. Wszystkie wróżki wyczuwały natychmiast, że moja poleska dusza, pełna guseli i zabobonów z czasów dzieciństwa, spędzonego na wsi wrażliwa jest na wszelkie czary, przepowiednie, wróżby i tajemnicze zaklęcia. Starucha zwracała się wyraźnie do mnie:

Powróżyć, paniczka, powróżyć, przed tobą dużo nowego, dużo zmian.

Coś niesamowitego było w tych oczach i w tym skrzekliwym wołaniu. Coś niepokojącego, coś niebezpiecznego wdzierало się przykrym dysonansem w nasz pogodny poranek.

Nie, nie – żadnych wróżb na dzisiaj, pomyślałam, nie chce nic wiedzieć o przyszłości, chcę zatrzymać tę słoneczną chwilę w naszym starym parku, by trwała jak najdłużej.

Idź precz, cyganko, nie będziesz mi, teraz wróżyć, nie chcę, nie chcę, idź sobie – krzyknęłam.

Cyganka spojrzała na mnie niechętnie.

– Źle robisz, paniczka, źle robisz. Mogłabym ci coś poradzić, ale ty nie chcesz. Ty myślisz, że masz w życiu wszystko, a przecież tak łatwo możesz wszystko stracić, tak łatwo!

A ten piękny chłopak – nie myśl, że jest on dla ciebie, – wykrzyknęła już ze złością. On nie jest dla ciebie! A po chwili spokojniej już, prawie cicho dodała:

On nie jest dla nikogo. I szybko odeszła w głąb parku. Po chwili, odwróciwszy się raz jeszcze, zawołała z daleka

– Ty głupia, pazerna gęś!, – i znikła za drzewami.

Byłam oszołomiona. Leszek chciał biec za staruchą, wołać dozorcę parku, by ją wyrzucić. Zatrzymałam go.

Daj spokój, Leszek, nie trzeba, zostaw ją. Kobieta jest jakaś niesamowita. Dajmy lepiej spokój, chodźmy stąd.

Nastrój mieliśmy zepsuty, na dalszy spacer żadne z nas nie miało już ochoty. Wracałam do domu zupełnie wytrącona z równowagi, to też szczerze ucieszyłam się z milej niespodzianki, jaka tam na mnie czekała. Jedna z najbliższych mych koleżanek, Julia Krycka, pytała właśnie moją Mamę czy można się ze mną zobaczyć. Zatrzymała się na parę dni w Brześciu, w drodze do Warszawy z poleskiej leśniczówki pod Koźeliczynem, gdzie mieszkali jej rodzice. Julia była na trzecim roku wydziału elektrycznego Politechniki Warszawskiej, uczyła się świetnie, zapowiadała się na dobrego inżyniera. Wracała na studia przed czasem, żeby się przygotować do jakiegoś dodatkowego egzaminu. Bardzo się ucieszyłam na jej widok. Spokojna, rozsądna Julia, zawsze gotowa lekkim żartem rozwiać moje wątplenia, czy niepewności w okresie wspólnego studenckiego bytowania, była mi w tym momencie szczególnie miłym gościem. Zaraz też jej opowiedziałam o moim spotkaniu z cyganką. Julia zbyt była rozsądna, by wierzyć w cygańskie wróżby, lecz jako prawdziwe dziecko Polesia, nie potrafiła przecież ich zlekceważyć.

Ciekawe, orzekła, ciekawe. Bo że jesteśmy w przededniu jakichś wielkich zmian, to przecież każdy rozumie, ale jakich? Być może jednak trzeba było tej twojej staruchy posłuchać, kto wie.

– A wiesz, dodała po chwili, podobno gdzieś tu pod Brześciem jest jakaś znakomita wróżka, wcale nie cyganka, tylko prawdziwa jasnowidząca. Gdzieś tu, na

jakiejś zapadłej wsi. Gdy znowu przyjadę do ciebie, przywiozę jej adres – koniecznie musimy ją znaleźć. Podobno jest nadzwyczajna. Niedługo potem Julia wyjechała do Warszawy, Leszek został odwołany do swego pułku, ja, na resztę wakacji wybrałam się nad Jeziora Mazurskie, do koleżanki, także studentki, Krysi Rychter, której rodzice mieszkali w Augustowie.

Wakacje te nie należały do najbardziej udanych. Nastrój ogólny dziwnie był nerwowy, nawet i tu, na odległym Pojezierzu Mazurskim: żadnych imprez towarzyskich, żadnych wycieczek statkami po jeziorach. Leniwie pływałyśmy dwuosobowym kajakiem po Jeziorze Białym, najczęściej we trójkę: Krysia, jej młodsza siostra Basia i ja. Była to nasza jedyna rozrywka. To też, gdy pewnego dnia dowiedziałyśmy się, że na przeciwległym brzegu jeziora właśnie zagospodarowuje się obóz żeglarski studentów warszawskich, postanowiłyśmy natychmiast tam popłynąć. Dzień na tę wyprawę wybrałyśmy niezbyt szczęśliwie: zimny, pochmurny, wietrzny. Ubrałyśmy się w kurtki i ciepłe swetry. W grubych ubraniach, jak zawsze – we trójkę, z wielkim tylko trudem mogłyśmy się poruszać w dwuosobowej łodzi. Wiosłowało nam się ciężko, przy niebezpiecznie dużym zanurzeniu kajaka. Do obozu studenckiego dobrnęłyśmy jednak szczęśliwie, bez przygód i spędziłyśmy tam dość mile czas, zwłaszcza, że i słońeczko się pokazało w czasie posiłku przy ogólnym stole. Pod wieczór jednak pogoda znów się pogorszyła, burza zawisła w powietrzu. Trzeba było szybko wracać do Augustowa.

Ze strachu przed nadciągającą niepogodą bardzo śpieszyłyśmy się do domu i dlatego – zamiast trzymać się brzegu, co oznaczałoby dłuższą jazdę – postanowiłyśmy płynąć na skrót, w poprzek jeziora. Tego właśnie robić nie należało. Duże fale na środku jeziora zaczęły zalewać zbyt obciążony kajak, żeby tego uniknąć, musiałyśmy je przecinać pod kątem 90 stopni, lecz wtedy znosiło nas w zupełnie innym kierunku, wcale nie w stronę Augustowa. Gdy wreszcie o 10-tej wieczorem, zmęczone kilkugodzinnym wiosłowaniem pod wiatr i walką z falami, usiłowałyśmy wziąć kurs na brzeg augustowski, kajak nasz wyrzucił się do góry dnem i, skacząc po falach, jak korek, zaczął coraz bardziej oddalać się od brzegu. Na szczęście dziewczęta, wychowane nad jeziorem, pływały dobrze. Złapały one za poduszki gumowe,

wypadłe z kajaka – w ten sposób mogły się długo utrzymać na wodzie, nawet w czasie burzy. Ja pływałam wtedy bardzo słabo. Wiedziałam, że muszę trzymać się naszej łódki – był to mój jedyny ratunek. W przemoczonym ubraniu i butach z wielkim tylko trudem udało mi się wgramolić na śliskie dno kajaka, ułożyłam się na nim płasko, objęłam go mocno rękami i nogami, a potem zaczęłam niemiłosiernie krzyzczeć. Wrzeszczałam tak potwornie, że, mimo burzy i piorunów, pobudziłam ludzi na odległym o kilka kilometrów brzegu. Jakiś młody sportowiec z pobliskiego obozu szkolnego przyjechał wreszcie po nas dużą łodzią. O godzinie 11-ej w nocy ściągnął mnie współprytomną ze strachu z podskakującego na falach kajaka, po chwili „pozbialiśmy” też obie moje towarzyszkę, wciąż trzymające się kurczowo gumowych poduszek. Na brzegu, szklanka mocnej wódki postawiła nas wreszcie na nogi. Do Augustowa miałyśmy jeszcze kilka kilometrów nocnego marszu, ale to już nie było ważne.

Do domu wróciliśmy cichaczem, przez okno. Stary pan Rychter miał podobno swój dosyć bezwzględny sposób rozprawiania się z córkami, toteż bały się go obie panicznie. Ja swego Ojca nie bardzo się bałam, mogłam więc napisać mu o tej przygodzie. Efekt mego listu był natychmiastowy, na drugi dzień Ojciec sam przyjechał samochodem, by zabrać mnie do domu. Żadne prośby nie pomagały. Miałam natychmiast wracać; wolno mi było jedynie zabrać do Brześcia Krysę, by stamtąd w pierwszych dniach września razem wracać na studia do Warszawy.

I tak, w Brześciu, zastał nas wybuch wojny 1-ego września 1939 roku. Julia w tym czasie była w Warszawie, przeżyła tam całe oblężenie stolicy. Walczyła w jej obronie wraz z wojskowymi, na równi z najodważniejszymi. Inne kobiety gotowały posiłki, czy pielęgnowały rannych, ona walczyła jak żołnierz z karabinem maszynowym, przy działkach przeciwlotniczych. Po upadku Warszawy wracając do rodzinnej leśniczówki, znowu zatrzymała się w Brześciu.

Nie była to już nasza dawna Julia. Z młodej, świeżej dziewczyny zmieniła się w dojrzałą, jakże bardzo zmęczoną, wyczerpaną nerwową kobietę. Żywe jej niegdyś oczy jakoś zmartwiały, wygasły. Nawet głos zmatowiał: mówiła krótkimi, urywanymi zdaniami. Opowiadała o obronie Warszawy, o pięknej postaci prezydenta Starzyńskiego i całej ludności miasta.

Doszły też do niej wiadomości o bohaterskiej obronie Westerplatte. I wszystko to na próżno – pomyśleć tylko: tyle ofiar. Ciężko nam było słuchać jej opowiadania, patrzeć na jej wymizerowaną twarz. Zapytałam o Leszka – nic nie wiedziała. Mówiono, że pułk jego walczył pod Modlinem, co się stało z Leszkiem, nikt nie wiedział. Czy został on wzięty do niewoli? Jakoś mi to nie pasowało do żołnierskiej postawy naszego młodego kawalerzysty. Leszek w niewoli - niemożliwe. Przy tej rozmowie Julia znów przypomniła sobie o swojej wróżce; wymieniła nazwę jej wsi i upierała się, by koniecznie do niej pojechać. Z wielkim trudem uprosiliśmy Ojca o samochód. Nastroje po wsiach były podobno niespokojne, a jazda po złych, polnych drogach, w nieznaney nam okolicy mogła okazać się niebezpieczna. Zgodził się wreszcie chyba tylko dlatego, by sprawić przyjemność Juli, którą tak bardzo pragnęliśmy jakoś pocieszyć, jakoś jej pomóc. Wyruszyliśmy więc na poszukiwania wymienionej przez Julę wsi. Po kilkugodzinnym błakaniu się i wypytywaniu znalazliśmy wreszcie ubogą, drewnianą, krytą słomą chatę. Na nasze spotkanie wyszła wysoka, szczupła kobieta, jeszcze niestara, około czterdziestoletnia. Zauważyłam od razu takie same palające, ciemne, przenikliwe oczy, jak u cyganki z parku, może tylko jeszcze głębsze – silnie podkrążone, a przy tym twarde – surowe w wyrazie.

Spojrzała na nas niechętnie.

– Wracajcie panienki skądżeście przyszły. Nie będę wam wróżyć, nie trzeba nalegać. Ja nie chcę od was pieniędzy, ni podarunków. Ja nie chcę wam wróżyć, panienki – nie trzeba!

Nie chciałyśmy się na to zgodzić, prosiłyśmy, nalegałyśmy uparcie, stanowczo. Najpierw po polsku, potem po rosyjsku, wreszcie przeszłyśmy na gwara białoruską, którą obie znałyśmy dobrze.

Wreszcie ustąpiła. Wzięła mnie za rękę, popatrzyła w oczy, rozłożyła jakieś karty, jakich nigdy przedtem nie widziałam – zupełnie nie podobne do kart normalnych. Wreszcie zaczęła mówić szybko, krótkimi zdaniami, jakby była w transie:

– Byłaś niedawno blisko śmierci. Gdzież to było? Gdzieś poza domem, w podróży. Ach nie, to było na wodzie – na wodzie, w nocy: fale, wiatr, zimno. Cudem ocalałaś; teraz będziesz już żyć. Ale stracisz dom, rodzinę. Rodzice twój żyją niezgodnie, niedługo się rozejdą. Rozejdą się daleko – każde z nich pójdzie

inną drogą. A ty pójdziesz swoją drogą. Przed tobą małżeństwo i własny dom. Ty znasz od dawna twego przysięgo męża, ale ostatnio wcale go nie widzisz. Wasze drogi znów się złączą – pobierzecie się. Czy będziecie razem szczęśliwi, zawahała się przez chwilę, teraz jeszcze nie mogę tego powiedzieć, a z czasem – sama zobaczysz, ja ci tego mówić nie potrzebuję. W tym momencie uśmiechnęła się z lekka jak ktoś, kto powiedział żart niezrozumiały dla innych. Po chwili jednak znów była zła, niechętna,

– A teraz idźcie już sobie, idźcie, panienki – nie zmuszajcie już mnie, żeby więcej wróżyć.

Jula nie mogła się jednak uspokoić i tłumaczyła, że to ona właśnie koniecznie chciała poznać jej przepowiednie, i że tu trafiła tylko przypadkiem. Prosiła, bardzo prosiła, by powiedzieć jej wszystko co ją czeka – całą prawdę, choćby najgorszą. Niechętnie, gniewnie, prawie wrogo spojrzały na Julę ciemne oczy. Kobieta zdecydowanie nie chciała wróżyć i nie stawiała kart, nie patrzyła w Juli oczy, jakby unikając jej pytającego spojrzenia.

I już wyraźnie po to tylko, by się wreszcie nas pozbyć, zaczęła mówić głucho, chrypliwie:

– W twym życiu było tylko wojsko, wojsko, wojsko – przedtem i ostatnio. A teraz znów jedziesz do wojska. Wojsko, wojsko. – A teraz dosyć już, dosyć. Nie chcę od was pieniędzy. Idźcie już sobie stąd, idźcie. I bez pożegnania odeszła włąb chaty. Wracaliśmy przejęte i niespokojne. Jula milczała, ja w duchu przeklinałam wszystkie wróżki: cyganki, nie-cyganki. Tak to już jest z tym wrózeniem, myślałam wtedy rozgoryczona, trzeba mieć mocne nerwy, by nie brać tego zbyt na serio. Lecz Jula, po upadku Warszawy i klęsce wszystkiego, co jej było drogie, zbyt była wytrącona z równowagi. Widziałam, że ta rozmowa z wróżką jeszcze ją bardziej zgnębiła. Zła na siebie, że zgodziłam się jej tu przywieźć, zakląłam głośno:

– Nie wgłupiaj się, Jula, nie przejmuj się tym jej gadaniem – takie bzdury. I za kogoż to ja mam wyjść w najbliższym czasie za mąż? Żadnego kandydata do mej ręki wcale jakoś nie widać! Moi rodzice mówią o rozwodzie już od dziesięciu lat i ciągle są razem. Wszystko to są tylko jej durne wymysły.

– Że byłaś zawsze przy wojsku, to się zgadza: twój brat jest przecież wojskowy i wszyscy twoi wielbiciele z czasów Politechniki też byli mundurowi, a też

i ostatnio walczyłaś razem z żołnierzami – to prawda. Ale co to znaczy, że w przyszłości też będziesz przy wojsku – przecież nie przy niemieckim i nie przy ruskim, a polskie już nie istnieje? Wszystko to bzdury, mówię ci – nie przejmuj się.

W miesiąc potem Mama zdecydowanie zażądała rozwodu. Wkrótce został on sądownie przeprowadzony. W grudniu tegoż samego 1939 roku, to jest w niecałe trzy miesiące po wyprawie do wróżki, wyszłam za mąż. Męża mego znałam od dawna – z czasów szkolnych. Co się wtedy działo z Julą – nie wiedziałam. Po kilku latach spotkałam jednego z jej braci. Od niego usłyszałam o dalszych jej losach. Jula wróciła do leśniczówki, lecz wobec partyzantki i ciągłych bandyckich napadów w okolicy, postanowiła zabrać rodziców ze wsi do pobliskiego miasteczka, Janowa Poleskiego, gdzie udało jej się dostać pracę kreślarki w warsztatach kolejowych. Sowiecka służba kolejowa zorganizowana była jak wojsko – przepowiednia więc się nie myliła.

Po jakimś czasie, korzystając z kursującej tam wąskotorówki – małego pociągu o „przedpotopowej” lokomotywie, zdecydowała się wrócić do leśniczówki po resztę mebli i zapasów. Obiecała też przywieźć do Janowa jakąś dziesięcioletnią dziewczynkę, czyjaś krewną. W drodze powrotnej, wąskotorówkę otoczyli partyzanci, czy też być może jacyś zwyczajni, białoruscy bandyci – nie zdołano już tego ustalić. Zaczęła się strzelanina. Jula, ze swym warszawskim doświadczeniem wojennym, uważała, że nie wolno narażać transportu i towarzyszących jej osób. Kazała więc kierownikowi pociągu zatrzymać lokomotywę i położyć się płasko na ziemi, to samo poleciła – jadącemu z nimi dziecku. Innych pasażerów nie było. Sama, wymachując białą chustką, wołała do strzelających po polsku i po rosyjsku na zmianę, że w pociągu żadnych wojskowych nie ma, i żeby przestali strzelać. Czy jej nie usłyszano, czy też po prostu zlekceważono – nikt się już tego nie dowie. Jula została zastrzelona z białą chustką w rękę, tak jak stała, przy zatrzymanej lokomotywie. Kierowcy pociągu nawet nie zraniono, przewożona przez nich dziewczynka też nie była ranna, miała tylko na szczęście przestrzeloną wielką kokardę we włosach.

A więc jednak znów wojsko – wojsko, wojsko i nic, nic więcej w Juli życiu nie było. Nie śmiejmy się z wróżb! Dziwne to, bardzo dziwne, a jednak.

O Leszku długo nic nie było wiadomo. Matka ciągle szukała jego śladu wśród mogił pod Modlinem, starała się odtworzyć przebieg walk w tej okolicy, upewnić, jakie jednostki kawalerii brały w niej udział. Pisała do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, do wszystkich, którzy mogliby coś wiedzieć o pułku jej syna. O nim samym, niczego nie potrafiła się dowiedzieć. Mąż jej, oficer Wojska Polskiego zginął w Katyniu. Pozostała sama. Po jakimś czasie zamieszkała u swej siostry w niewielkim majątku pod Pruszkowem, nadal prowadząc poszukiwania syna, korespondując z organizacjami międzynarodowymi i z władzami polskimi, ekshumującymi mogiły wojenne. W pobliżu ich domu były też jakieś bezimienne mogiły z okresu kampanii wrześniowej, nikt jednak nie wiedział, kto w nich był pochowany, ani jakie jednostki walczyły w tych stronach.

Mijały lata: trzy, może cztery już upłynęły od zakończenia działań wojennych. Przez cały ten czas nieszczęśliwa Matka nosiła kwiaty na pobliskie groby nieznanymi żołnierzy, modląc się przy tym też i za swego syna. Zaczynała tracić nadzieję, by go jeszcze żywym odnaleźć, lecz przychodzenie na mogiły poległych jego kolegów, jakby podtrzymywało wciąż z samym Leszkiem i przecież przynosiło ulgę. Toteż, gdy po latach zaczęto ekshumację pod Pruszkowem, ciężko jej było pogodzić się z myślą, że nie będzie już mogła zanosić kwiatów tym biednym chłopcom. Ich imiona, ustalane przy ekshumacji na podstawie znalezionych przy nich dokumentów, nie bardzo ją interesowały. Groby te stały się dla niej już tylko droгим symbolem, wyrazem ofiary dla sprawy, za którą walczył jej syn.

Po zakończeniu ekshumacji opublikowano wszystkie zidentyfikowane imiona, wśród nich także imię Leszka. Matka szukała go po całym Bożym świecie, nie wiedząc, że ciało jej syna leżało w odległości kilkunastu zaledwie metrów od jej domu, w jednym z tych właśnie grobów. Nosiła kwiaty na te bezimienne mogiły pod drewnianymi prostymi krzyżami, nie wiedząc o tym, że znosi je także swojemu synowi.

On nie był przeznaczony dla nikogo, ten młody, piękny chłopak. A przecież stara cyganka o tym wiedziała.

Basia

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej przedsiębiorstwo mego ojca – sprzedaż i obsługa samochodów Polski Fiat na okręg poleski – rozwijało się nadspodziewanie dobrze. Tani i wytrzymały, choć niezbyt ładny czteroosobowy Fiat 508 stał się wtedy wozem niezwykle popularnym – liczba jego nabywców systematycznie rosła. W związku z tym, warsztaty obsługi i pomieszczenia biurowe ojca firmy stawały się zbyt ciasne – trzeba było pomyśleć o wynajęciu większego budynku i zatrudnieniu dobrego księgowego.

Dotychczasowe panie sekretarki niewielką były w biurze pomocą: niezbyt dawały sobie radę z wypełnianiem szczegółowych kartotek akcesoriów i części samochodowych, nie mówiąc już o rozliczeniach prac warsztatowych, czy prowadzeniu wymaganej księgowości. Ojciec musiał wszystko robić sam – pracował do późna w nocy, do domu wracał potwornie zmęczony. Na mamę nie bardzo można było liczyć: do prac biurowych nie miała ona ani cierpliwości, ani chęci, zaś swoimi inspekcjami w przedsiębiorstwie robiła sporo zamieszania – wszystkie ojca pomocnice biurowe, zwłaszcza te nieco ładniejsze, traktowała z wyraźną podejrzliwością i wcześniej czy później wymuszała na nim ich zwolnienie.

Zaangażowanie nowej pracownicy było więc nielada problemem: należało znaleźć taką osobę, która stanowiłaby nie tylko skuteczną pomoc w dobrze prosperującym przedsiębiorstwie, lecz również potrafiła zadowolić moją mamę, nie dając jej podstaw do jakichkolwiek wątpliwości, czy obaw. Wtedy to właśnie ojciec zwrócił się do kierowniczkę brzeskiej szkoły handlowej, zgłaszając gotowość zatrudnienia na dobrych warunkach jednej z jej absolwentek. Ewentualna kandydatka musiała jednak odznaczać się zdecydowanie niekorzystną, nie zwracającą uwagi powierzchownością, a przy tym fachowością i pracowitością – musiała godzić się na pracę także i w godzinach wieczornych. Pożądane więc były skromne warunki domowe, spokojny – cierpliwy charakter, duże poczucie odpowiedzialności, a jednocześnie dobra znajomość księgowości.

Nie zrażona tą niezwykle ofertą Pani Dyrektorka orzekła, że owszem, ma ona taką właśnie, kandydatkę, nie tylko o wyjątkowo niekorzystnym wyglądzie, lecz również wyjątkowo zdolną i pracowitą. Było jednak co do niej jedno poważne zastrzeżenie: pochodziła z rodziny żydowskiej. W czasach, gdy na płotach i murach Brześcia wypisywano „Nie kupuj u Żyda”, gdy bojkotowano przedsiębiorstwa i sklepy żydowskie, pochodzenie semickie stanowiło poważną przeszkodę przy przyjmowaniu do pracy.

Ojcu sprawa ta nie wydawała się aż tak bardzo ważną. Był przedsiębiorcą prywatnym, niezależnym, o wyrobionej klienteli – z nastrojami antysemitycznymi nie bardzo musiał się liczyć, zaś zwalczanie kogoś ze względu jedynie na jego religię, czy pochodzenie w ogóle nie leżało w jego charakterze. W ten sposób w naszym przedsiębiorstwie „Auto-Polesie” pojawiła się Basia: sekretarka – księgowa, i – co trzeba też przyznać – inteligentna, niewymagająca, i bardzo pracowita dziewczyna.

Mama po następnej wizycie w biurze wróciła bardzo zadowolona. O tę szczupłą, załężnioną dziewczynkę w starym szkolnym fartuszkach; bladą, źle ostrzyżoną, z długim nosem, zgarbioną w ciemnym kącie magazynu nad swoimi kartotekami nie potrzebowała przecież się martwić. Ta opinia okazała się jednak przedwczesna i najzupełniej niesłuszna.

W krótkim czasie Basia stała się tak zwaną doskonałą pracownicą. Zajęła się z miejsca wszystkimi pracami księgowymi i związanymi z tym rozliczeniami – robiła to zresztą dużo lepiej i szybciej niż ojciec. Niedługo potem przejęła też większość pertraktacji z klientami: przyjmowała zamówienia na przeglądy i reperacje wozów, przekazywała odpowiednie dyspozycje do warsztatu, wydawała z magazynu niezbędne części, rozliczała przeprowadzane prace warsztatowe, kontrolowała zapasy magazynowe i w odpowiednim czasie zamawiała w hurtowniach warszawskich, czy fabrykach śląskich brakujące artykuły.

Szybko poznawała specyfikę branży samochodowej, była rzeczowa i dokładna, uczynna i uprzejma dla klientów; wkrótce też zjednała sobie ich życzliwość i sympatię. Niektórzy przychodzili na filiżankę proponowanej przez Basię kawy po to, by z nią po-

rozmawiać, by się jej poradzić. Wiedziała ona zawsze najlepiej, w jaki sposób tanio zreperować wygięty błotnik, pamiętała charakterystyki techniczne wszystkich wozów, znała dokładnie warunki spłat ratalnych, czy specjalnych ulg dla wojskowych.

Po kilku miesiącach pracy w „Auto-Polesiu” Basia nie nosiła już szkolnego fartuszka. Wynagrodzenie było niezłe, potrafiła stosownie ubrać się, zaczęła chodzić do fryzjera. Zaraz też się okazało, że w eleganckich kostiumikach, przy swej dobrej figurze i ładnych nogach, wyglądała zupełnie niezłe. Nie była już tak przeraźliwie chuda, jak w pierwszych dniach pracy.

W roku 1938-ym wyjechaliśmy we trójkę zagranicę, samochodem na wakacje. Sześć tygodni wędrowaliśmy przez Francję, Szwajcarię i Włochy. Mogliśmy sobie na to pozwolić dzięki Basi. Nigdy przedtem ojciec nie był w stanie oddać się z przedsiębiorstwa na długo. Basia, sama w biurze, świetnie sobie poradziła, zawarła nawet kilka poważnych transakcji.

Po tych wakacjach zrozumieliśmy, że ta nowa księgowa stała się ojcu niezbędna, że przyczynia się poważnie do jego zwiększonych zarobków, do dobrobytu, w którym żyliśmy. Wtedy właśnie Mama rozpoczęła swą otwartą walkę z Basią.

Już przedtem mówiło się u nas na jej temat: że jako Żydówka źle jest widziana w kołach wojskowych, że szkodzi to przedsiębiorstwu. Trudno powiedzieć, czy było tak istotnie, gdyż w tym czasie ojciec pobił wszystkie swoje poprzednie rekordy sprzedaży samochodów – właśnie wojskowym.

Nie słuchając żadnych perswazji, Mama stanowczo żądała zwolnienia Basi. Nie chciała, czy nie potrafiła zrozumieć że ojciec nie był już w stanie ustąpić – robota biurowa przedsiębiorstwa przerastała jego możliwości. Dlatego zresztą znów ma szukać kogoś nowego, skoro po tylu nieudanych próbach, znalazł wreszcie dobrego pracownika?

Im bardziej ojciec unikał rozmów na ten temat, tym bardziej Mama nalegała; wreszcie postawiła ultimatum: „Ja, albo ona – jej nie zwolnisz, przeprowadzamy rozwód!”.

Ojciec na rozwód się nie zgadzał – nie chciał Mamy utracić – kochał ją taką, jaką była: piękną

i władczą. Ale Mama nie ustąpiła: przed samym wybuchem wojny wyprowadziła się z naszego mieszkania, twierdząc, że pragnie rozpocząć nowe życie, z kim innym. Wkrótce rozwód został przeprowadzony sędowo w ostatnich dniach sierpnia. W kilka dni potem spadły na Brześć pierwsze niemieckie bomby.

Po rozwodzie rodziców pozostałam przy ojcu.

Zajmowaliśmy wówczas niewielkie mieszkanie na pierwszym piętrze, nowowyprowadzanego domu przy jednej z głównych ulic Brześcia. Cały parter zajmowało nasze przedsiębiorstwo: sala wystawowa i pomieszczenia biurowe z magazynem części, w piwnicy. Stacja benzynowa i warsztat obsługi samochodów mieściły się obok, na podwórzu.

Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku Basia pracowała nadal w naszym biurze. Kilku, niepodlegających mobilizacji chłopaków warsztatowych obijało się po podwórku, bez specjalnego zajęcia. Ojciec nikogo nie zwalniał, wypłacał wszystkim tygodniówki, chciał odczekać – zobaczyć, co będzie dalej.

Lecz o normalnej pracy – sprzedaży, czy reparacji wozów – nie było już mowy. Zaraz w pierwszych dniach września brzeska Komenda Wojska Polskiego zarekwirowała wszystkie, znajdujące się w firmie samochody i motocykle, a także znaczną ilość części zamiennych, płacąc za wszystko skrupulatnie według obowiązujących cen.

Po wycofaniu się Wojsk Polskich z Brześcia, na szosach pozostało wiele uszkodzonych wozów, niekiedy nawet nieuszkodzonych, lecz porzuconych z braku paliwa. Ojciec, wraz ze swoimi chłopakami zaczął te opuszczone wozy ściągać na nasze podwórko i reperować. Pewnego dnia przytaszczył też pod nasz dom, znalezione przy drodze dwa wielkie polowe kotły wojskowe, twierdząc, że nigdy nie wiadomo, co się komu może jeszcze przydać.

Niedługo jednak cieszył się swymi ośmioma, pięknie wyreperowanymi samochodami zdobycznymi; zaraz po wejściu do Brześcia Niemców zostały zarekwirowane, tym razem bez odszkodowania.

Dwa wielkie, ustawione na ruchomym wózku kotły pozostały jednak nadal na naszym podwórku; nie zarekwirowano wtedy również małego dwuosobowego samochodu Polski Fiat 500, co umożliwiło ojcu zakupy

żywności w okolicznych wsiach. W samym Brześciu nic, dosłownie nic nie można było dostać.

Z przywiezionych w ten sposób kilku worków kartofli, odrobiny cebuli i słoniny zaczęliśmy gotować zupę dla proszących o żywność uchodźców z zachodnich części kraju, czekających w Brześciu na możliwość powrotu do domu. Kotły przydały się więc istotnie.

Wkrótce przed naszym domem zaczęły się tworzyć długie kolejki; dopominano się ciągle o tę naszą niewymyślną zupę; gotowaliśmy ją nieraz do późna w nocy.

Takie codzienne zbiegowisko zwracało na nas uwagę, zwracało uwagę szczególnie na ojca, lecz on się tym nie przejmował. Nie robił przecież nic złego, dla czego i kogo miał się więc obawiać? Naiwni i nieświadomi są ponoć najodważniejsi, a my przecież nic nie wiedzieliśmy jeszcze ani o niemieckich łapaniach, ani o sowieckich więzieniach. Dopiero z czasem, w tym nieskończenie długim okresie pięciu lat wojennych, poznaliśmy podstawową zasadę zachowania się w obecności wroga: nie zwracać niczyjej uwagi – „nie wpadać w oczy”.

W tych pierwszych miesiącach wojny ojciec mój robił coś wręcz przeciwnego: zwracał na siebie uwagę wszystkich. Uważał po prostu, że skoro nie możemy brać bezpośredniego udziału w walce z nieprzyjacielem, to obowiązkiem naszym jest pomagać ofiarom wojny – pomagać w każdy dostępny nam sposób. Ta zupa z kotła była jego osobistym udziałem w wojnie – udziałem, jak się później okazało niemniej niebezpiecznym. Wkrótce bowiem zaczęły się wizyty wojskowych w naszym domu, a następnie – areszty.

Aresztowali ojca najpierw Niemcy, lecz po paru dniach zwolnili wraz z całą grupą rzemieślników, niezbędnych dla uruchomienia zniszczonych bombardowaniem instalacji miejskich: wodociągów, kanalizacji, przewodów elektrycznych.

W końcu września, a być może było to na początku października 1939 roku, Niemcy przekazali Brześć Rosjanom. Również i nowi okupanci z miejsca zaczęli zabierać ludzi do więzień, wraz z nimi również i ojca. W ciągu października i listopada pięć razy go tak zabierali, zwalniali i znów zabierali. Gdy go aresztowano

po raz szósty, myśleliśmy, że – jak i poprzednio – wróci po paru dniach. Tym razem jednak nie wrócił. Przesiedział w więzieniach sowieckich prawie dwa lata i tylko dzięki przypadkowi uniknął śmierci.

W grudniu 1939 roku, gdy Ojca już z nami nie było, wyszłam za mąż i postanowiliśmy z mężem wyjechać do Warszawy. Pozostawanie w Brześciu stawało się dla nas niebezpieczne, gdyż władze sowieckie zaczęły wtedy masowo wywozić rodziny aresztowanych na Syberię

Przedsiębiorstwo nasze i magazyny zostały opieczątowane przez NKWD, mieszkanie zarekwirowano dla jakiegoś rosyjskiego wojskowego. Po ślubie zamieszkaliśmy u znajomych.

W tym czasie, gdy ludzie bali się „własnego cienia”, a rodzin aresztowanych unikano, by nie narażać się sowieckim władzom bezpieczeństwa, Basia okazała się niezwykle odważna. Manipulując sznurkami przy nałożonych pieczęciach, potrafiła dostać się do naszych magazynów i wynieść z nich rzeczy najcenniejsze.

Pieniądze uzyskane ze sprzedaży wszystkiego, co się dało sprzedać, podzieliliśmy na dwie części: połowę zostawiliśmy u Basi dla Ojca, gdy wyjdzie z więzienia, z pozostałymi pieniędzmi przedostaliśmy się do Warszawy, przez tak zwaną „zieloną granicę” przeprowadzeni lasami pod Małkinią przez miejscowych chłopów.

Basia pozostała w Brześciu, pracowała jako księgowa w zarządzie miasta. Ojcu do więzienia nosiła regularnie żywność w dozwolonych terminach. Nie było to bynajmniej proste: trzeba było wstawać przed trzecią w nocy, by zająć kolejkę przed bramą więzienia, a potem stać po siedem, osiem i więcej godzin, niekiedy w deszczu, czy śniegu.

Gdy po roku przewieziono ojca z Brześcia do Mińska, Basia wystarała się o jakąś delegację służbową, by zawieźć mu do tamtejszego więzienia trochę żywności. Młody wojskowy w mundurze NKWD paczkę Basi przyjął, lecz jednocześnie szczegółowo zapisał jej personalia, dając przy tym do zrozumienia, że lepiej dla niej samej nie interesować się zbyt wiele więźniami politycznymi, gdyż łatwo można się znaleźć wraz z nimi. Gorliwy był młodzieniec – nie można powiedzieć – czekała go niewątpliwie wielka kariera we władzach sowieckiego bezpieczeństwa.

Ojca uratowała zresztą także jedynie nadgorliwość sowieckich śledczych.

Do tego, że pochodził z ziemiańskiej rodziny przyznał się od razu, bo tak istotnie było, ale za to nie mogli go jeszcze skazać na śmierć. Było więc tego towarzyszem z NKWD za mało: chcieli mu koniecznie udowodnić coś znacznie poważniejszego, do czego się przyznać nie mógł, gdyż było to złym pomysłem.

Przy rewizji w naszym mieszkaniu znaleziono wielki album w pięknej oprawie skórzanej, zawierający zdjęcia z wakacji 1938 roku, spędzonych przez nas we Włoszech: zdjęcia typowo turystyczne z Rzymu, Neapolu, Wenecji. Wypytyując o te fotografie, usiłowano ojcu wmówić, że był on szpiegiem niemiecko-włoskim. Sowieccy towarzysze po prostu nie potrafili zrozumieć, że ktoś mógł zupełnie prywatnie pojechać do Włoch – ich zdaniem tylko płatny szpieg mógł sobie na coś takiego pozwolić.

Jednakże ani z naszych zdjęć w ruinach rzymskiego Colosseum, czy na gondoli w Wenecji, ani w oparciu o przesłane do Mińska dokumenty z brzeskiego więzienia, dowieść mu tego nie mogli; odesłali go więc z powrotem do brzeskiego NKWD z poleceniem zebrania dodatkowego materiału obciążającego. Tylko dzięki temu wyszedł ojciec z więzienia w dniu 20 czerwca 1941 roku.

Zaskoczeni ofensywą niemiecką Rosjanie odeszli z Brześcia w takim pośpiechu, że nie zdążyli ani zlikwidować samych więźniów, ani zniszczyć ich dokumentów. W innych miastach, ewakuowanych zawczasu, odbyło się to inaczej. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że wszyscy towarzysze ojca z mińskiego więzienia, zostali przez Rosjan rozstrzelani przed opuszczeniem miasta.

Od czasu powtórnego wejścia Niemców do Brześcia nikt już ojca nie aresztował. Chciał jak najprędzej zacząć pracować, lecz zdrowie jego było w tak złym stanie, że początkowo o żadnej pracy mowy być nie mogło. Silna anemia, chore serce, wątroba, nerki, ogólne wyczerpanie – wszystko to wymagało długiej, intensywnej kuracji.

Po paru miesiącach zaczął on odzyskiwać siły i nawet coś niecoś ze swej dawnej pogody ducha. Powtarzał często, że skoro wrócił zza grobu i dostał

jeszcze kilka lat życia w darze od losu, to ma teraz prawo żyć po swojemu, z nikim i z niczym się nie licząc. Mimo to jednak, nie bardzo się chyba w tym więzieniu zmienił, bo pierwszą rzeczą, którą zrobił, gdy trochę okrzepl, to przyjechał do Warszawy, by zobaczyć się z Mamą. Pytał jej, czy go nie potrzebuje i czy nie zechciałaby do niego wrócić. Nie zechciała – miała już wówczas kogoś innego.

W tym czasie pojawił się poważny problem – sprawa Basi, a dokładniej mówiąc, jej pochodzenia. W Brześciu Gestapo zaczynało działać – tworzone żydowskie getto.

Basia, jej starszka matka oraz dwie siostry, z których starsza Dora spodziewała się właśnie dziecka, a młodsza Mira zaledwie skończyła szkołę średnią, musiały mieszkać w dzielnicy żydowskiej, ogrodzonej drutem kolczastym, bez prawa wychodzenia do miasta. Mąż Dory dziecka swego nie miał już zobaczyć, został zabrany z domu i gdzieś wywieziony wraz z innymi mężczyznami, zaraz po wejściu Niemców. Żaden z nich nie wrócił.

Basia nosiła żółtą opaskę z gwiazdą szczęścioramienną – znak rozpoznawczy ludności pochodzenia żydowskiego. Ojciec wystarał się dla niej o zezwolenie wychodzenia na miasto, przychodziła więc czasem do jego mieszkania.

Trwało to niecałe dwa lata. W lutym 1943 roku Gestapo zaczęło likwidować brzeskie getto.

Wszyscy już wtedy wiedzieli, co to znaczyło. W innych miastach podobne akcje przeprowadzano już przedtem. Rodzina Basi przygotowywała się do tego od dawna. Zdarzały się przecież wypadki, że ludzie z takiej likwidacji ratowali się – rzadko wprawdzie, ale jednak.

Na poddaszu ich małego domku urządzono schowek, wejście do niego zawałono starymi gratami. W tym niewielkim pomieszczeniu zamierzały się ukryć: matka i trzy córki z kilkumiesięczną już wówczas córeczką Dory.

Gdy gestapowcy zaczęli wyciągać ludzi z domów dzielnicy żydowskiej, rzeczywiście udało im się tam umieścić, lecz w ostatniej chwili wprosił się na ich poddasze również i sąsiedzi. Nie miały serca im odmówić, zresztą na nic by się taka odmowa i tak nie zdała, wiedzieli oni o tym schowku i mogliby go

przed Niemcami zdradzić. W ten sposób do pomieszczenia, w którym z trudem mieściły się cztery dorosłe osoby z dzieckiem, wtoczyło się osiem osób.

Gestapo ich nie znalazło ani pierwszego, ani drugiego dnia. Wszyscy z brzeskiego getta byli już wywiezieni, szukano jeszcze, tylko ukrywających się, dom po domu.

Ukrywający się na ciasnym poddaszu, stłoczeni, głodni, bez snu, wyczerpani nerwowo, nie wiedzieli co robić dalej. Dziecko płakało coraz głośniejsze. Wreszcie, trzeciej już chyba nocy, Basia wybuchła; potrząsając z całych sił zupełnie załamana Dorę, zawołała:

– Ty jesteś przecież matką, ratuj twe dziecko! Biegnij do Kisłowskiego (mego Ojca), on ci na pewno pomoże.

Dora nie potrafiła się jednak na to zdobyć: przekradając się w nocy obok posterunków niemieckich, a potem przez miasto, w którym obowiązywała godzina policyjna i całą noc chodziły patrole wojskowe – bała się, bardzo się bała – nie mogła.

– Bierz dziecko ty, zawołała do siostry, uciekaj do Kisłowskiego, on zna ciebie lepiej niż mnie. Zabieraj stąd dziecko, żeby nas nie zdradziło. Popatrz na twarze tych ludzi – oni je zaduszą, jeśli je zaraz nie zabierzesz!

Basia nie namyślała się długo, owinęła dziewczynkę jakimś kocem, matka sprowadziła ją po ciemku po schodach.

Wykraść się z dzielnicy żydowskiej było Basi rzeczywiście łatwiej, niż komukolwiek innemu. Często wychodziła przedtem do miasta, wiedziała gdzie można się przecisnąć przez druty kolczaste, przy jakich domach można się ukryć. W mieście znała każde podwórko, każdą piwnicę, wiedziała też, gdzie są posterunki wojskowe i którędy przechodzą patrole nocne. Zawsze była rzeczowa i dokładna, jak każda dobra księgowa.

Po długim, ostrożnym przekradaniu się, prawie już nad ranem dotarła wreszcie do domu swojego ojca. Na jej pukanie w okno od strony podwórka nikt się nie odezwał. Wreszcie, po dłuższym dobijaniu się, otworzyła wystraszona nocną wizytą gospodyni. Ojca nie było wtedy w Brześciu; wyjechał właśnie do nas, do Warszawy.

Przerażona na widok Basi – kobieta za żadne skarby nie chciała jej wpuścić do domu. Czy można się temu dziwić? W całym mieście rozklejone były plakaty: „Za ukrywanie, czy pomaganie Żydom – kara śmierci”.

Z trudem ubłagała ją Basia, by pozwoliła jej przesiedzieć do powrotu ojca w tak zwanej drewutni - szopie drewnianej, gdzie przechowywano na zimę porąbane drzewo opałowe. Rozgarnęły ułożone polana, utuliły nieszczęsne uciekiniarki czym się dało: kocami, poduszkami. Następnie gospodyni znów ułożyła polana, tak by nic nie było widać wchodząc do szopy.

Trzy doby przesiedziały w nieogrzewanej drewutni – w lutym, wyjątkowo mroźnym tego roku.

W parę dni potem widziano ich krewnych, prowadzonych przez oddział gestapowców z psami. Matka Basi, widząc znajomych w tłumie, zawołała:

– Zawiadomcie Kisłowskiego, zawiadomcie go, proszę! – była to ostatnia wiadomość od nich.

Po powrocie ojca należało działać szybko. Dziecko natychmiast ochrzczono u znajomego księdza, zdobywając w ten sposób metrykę chrztu na nazwisko Anny Nowakowskiej. O papiery dla Basi wystaraliśmy się w Warszawie – wyrobiliśmy jej fałszywą niemiecką „Kennkarte” na nazwisko Barbary Nowakowskiej.

Dalsze jednak pozostawanie w Brześciu stawało się niebezpieczne – zbyt dużo ludzi ich tam знаło. Zaczęły się więc wędrówki: Baranowicze, Prużany, Lida. Ojciec podejmował się wszystkiego, co się dało, najczęściej dostaw drzewa, bo na tym dobrze się znał. Wystarczyło jednak spotkać na ulicy kogoś z brzeskich znajomych i znów trzeba było uciekać.

Najchętniej pozostawali w różnych leśniczówkach, pod pozorem wyszukiwania drewna do zakupu. Zbyt długo nigdzie jednak nie można było pozostawać – stawało się to podejrzane.

W ten sposób, ciągle zmieniając miejsce zamieszkania, uchodzili oni jednocześnie przed zbliżającym się w roku 1944 frontem, w kierunku na zachód. Jakimś pociągiem towarowym przyjechali wreszcie do Krakowa, jedyne chyba niezniszczonego wojną miasta polskiego. Tu doczekali się zakończenia działań wojennych.

Myśleli, że wreszcie odetchną: zdobyli mieszkanie, obydwójce zaczęli pracować, mogli wreszcie się pobrać i zaadoptować Basi siostrzenicę. Po wszystkim, co przeżyli, tak mało było im potrzeba: byli pogodni, szczęśliwi, kochali malutką Niusię. Nie trwało to jednak długo.

Silny niegdyś organizm Ojca wyniszczyły przeżycia ostatnich lat – pod koniec życia ciągle chorował. Nasze, a zwłaszcza Basi, wysiłki nie mogły mu już pomóc. Umarł w 1949 roku, w wieku zaledwie 53 lat. Mój drogi, dobry biedny, biedny Papa.

Nisia wyrosła na ładną dziewczynę z falującymi blond włosami i zadartym noskiem. Oddano ją do szkoły sióstr zakonnych w Krakowie, wychowana została w duchu katolickim. Ojca i Basię uważała za swych rodziców, o wypadkach z czasów wojennych nic nie wiedziała.

Toteż, podczas gdy Basia już pozostała poważna i zgaszona, w spojrzeniu i uśmiechu Niusi było życie, radość, kokieterijna przekora – dużo pociągającego uroku.

Nisia wyszła za mąż wcześniej, za swego starszego kolegę z technikum dentystycznego. Pochodził z Zakopanego, z dobrej, góralskiej, katolickiej rodziny. W rok potem urodził im się synek, życie potoczyło się dalej.

Tylko uczucia Basi się zatrzymały. Zatrzymały się nad mogiłą męża, ocienioną starymi drzewami na cmentarzu krakowskim. Nie wyszła ponownie za mąż, choć była dużo młodsza od mojego taty – gdy umarł. Miała zaledwie trzydzieści dwa lata.

Całą swą zdolność kochania oddała potem wnuczkowi. Nazywał się Wojciech-Aleksander, tak jak mój ojciec.

Dzieje Basi to historia jedna z wielu – jeden tylko niewielki ułamek ogromu przeżyć ludzkich z czasów ostatniej wojny; wojny, która spokojnie żyjących obok siebie ludzi, zamieniła w prześladowców i prześladowanych, w morderców i mordowanych.

Być może warto ją opowiedzieć tym wszystkim, którzy wojny nie przeżyli, a także i innym – dla przypomnienia.

Natalia Hartmann-Kisłowska

Brześć

„HAMERYKA” DZIADKA GIEŁGUDA

W tamtym roku zima też była dosyć sroga i długo nie ustępowała. Zaczynała się już druga połowa marca, a wszędzie po polach i w lasach leżała gruba powłoka śnieżna, trzymał niewielki, aczkolwiek dokuczliwy mróz. Jedynie po południu słońeczko częściowo zabierało się do pełnienia swoich „obowiązków” i ze słomianych strzech wiejskich chałup puszczało strumyki wody, ku wielkiej radości dzieciarni i wróbelków, które zbierały się wrzaskliwymi gromadkami przy błyszczących kałużach: jedni dla zabawy, inni zaś dla płukania umorusanych i okopconych piórek.

Rolnik coraz częściej z nadzieją podnosił ku niebu oczy, wyglądając wracających z wyrazu ptaków, wróżąc, że przyniosą na swoich skrzydłach tak oczekiwaną wiosnę. A jej, widocznie, jakoś wcale nie śpieszyło się do tej bagiennej krainy, zwanej Polesiem. Toteż biedny miejscowy ludek, owi Poleszacy albo „tutejsi”, jak sami o sobie zwykli byli mówić, siedzieli znużeni zimą po swoich obejściach i melli na ręcznych żarnach resztki zboża, narzekając na swój marny los. Z odległych łąk zwożono sańmi ostatnie stogi siana; poniekąd zaczęli przebąkiwać o tym, że „mus będzie dorznać cielaka albo i krowę”. Więc miejscowy agent skupu bydła – gruby facet o fioletowej twarzy, o pasującym nawet do niego nazwisku Parpura, „urzędujący” zazwyczaj w miejscowej knajpie – zacierał radośnie łapczywe dłonie, przeczuwając niezły interes.

Właśnie do tej pożydowskiej karczmy, „schowanej” już w tych powojennych latach pod szyldem „Bufet”, wlaź pewnego popołudnia starzec ubrany w wyszmelcowany kozuch, podpasany jakimś staroświeckim pasem. Trudno było natomiast zgadnąć, jakie miał spodnie, bo spod długiego kozucha wystawały jedynie opatulone onucami nogi, z przymocowanymi do stóp łapciami z łyka wierzby. Dziadek, chociaż opierał się na długim kiju, miał posturę wyprostowaną, z hardo uniesioną do góry głową.

– A cóż to się stało, że was tu widzę, stary Giełgudzie? – zawołał od stołu Parpura tubalnym głosem, wytrzeszczając ze zdziwienia nalane krwią ślepie. – Czyżbyście chcieli wcisnąć mi to stare ściervo, które

nazywacie krową? – zagadywał do starca, puszcżając z gęby kłęby dymu od ćmionego skrętu machorki.

– Ano i owszem, mam taką nadzieję – odparł spokojnym, dobrze opanowanym głosem, lecz z błyskiem w szarych oczach stary Poleszuk. – W życiu bym tego nie uczynił, a przynajmniej takiemu hycłowi jak ty, to nawet nie pozwolił dotknąć mojej Maruchy! Ale cóż, potrzebuję na gwałt gotówki, bo coś mi po nocach ta „Hameryka” śnić się zaczęła; chyba już niedługo tam odjadę.

Bufetowa Marfa, słysząc te słowa, ukradkiem przeżegnała się, kreśląc znak krzyża pulchną ręką na dorodnych piersiach. Z odległego kąta brudnej, pełnej siwego dymu sali przyglądało się starcowi kilka par ciekawskich oczu stałych bywalców tego zakładu. Dziadek, nie zwracając na nich uwagi, poczłapał do stołu Parpury, rzucił pod ścianę przyniesiony kij i usiadł na skrzypiącym taborecie vis a vis groźnie wyglądającego kupca. Zaczęli między sobą gwarzyć, a bufetowa – widząc, że na razie nic nie zamawiają – wycofała się na zaplecze, dźwigając pełny czajnik piwa, które to co jakiś czas podgrzewała na piecu dla spragnionej klienteli.

Zostawmy więc i my na jakiś czas naszych bohaterów, a spróbujmy rozejrzeć się po tej okolicy. Może dowiemy się czegoś więcej o kłopotach starego człowieka, które to zmusiły go wziąć kij do ręki i przywlec się przez zaśnieżone wertepy do tej ohydnej karczmy.

Wieś

Dziwna to była miejscina, lecz dosyć typowa dla Polesia Wołyńskiego. Otóż w miejscu, gdzie stała karczma, krzyżowało się bodajże z pięć ulic, a każda z nich miała inną nazwę, bo faktycznie była odrębną wsią. Centrum tej „aglomeracji” nazywano od niepaństwianych czasów miasteczkiem. Kiedyś, podobno, stał tu zamek książąt Sanguszków, był rynek z czworobokiem i żydowskimi sklepami. Nieco na uboczu, nad rzeką, wybudowano drewniany kościółek. Był w miasteczku nawet dworzec kolejowy na linii zbudowanej przez wojsko austriackie w czasie I wojny światowej. Natomiast okrucieństwa drugiej wojny

nie oszczędziły jednak tego miejsca. Z całej zabudowy miasteczka pozostała właśnie ta stara, kryta gontem karczma oraz kilka wypalonych kamienic, które sowieci przeznaczili na wiejskie urzędy. Byli to już lata pięćdziesiąte, więc utworzono tu kołchoz i spędzono ludzi z rozsianych po polach chutorów. Nazwożono z okolicy budulca z rozebranych dworów, chałup i stodół, postawiono szkołę i klub. Brakło jedynie dobrych dróg i przez znaczną część roku dojazd transportem kołowym z reszty świata był wielce problematyczny, zresztą samochodów też było niewiele.

Okolica, jak na Polesie, wcale nie była płaska i monotonna. Rzeka tworzyła liczne zakola pomiędzy piaszczystymi pagórkami, dookoła, nieco w oddali, czerniały postrzępione u góry ściany sosnowych borów. Daleko, hen na zachodzie, sterczały nad lasem główki mileckiego monasteru. Po lewej stronie drogi, wiodącej w tym kierunku, rozciągało się lekko falujące zbocze wzniesienia, porośniętego na samym grzbiecie grzywką olszyny. Na zboczu, wzdłuż drogi, stało kilka chałup tworzących małą wioskę czy raczej kolonię, która miała typowo wołyńską nazwę Dubcze. Na znak tego, że nazwa jest jak najbardziej słuszna, pomiędzy zabudowaniami rosło kilka potężnych, kilkusetletnich dębów. Kiedyś był tu folwark i stał pański dwór, lecz pamiętali o tym tylko najstarsi mieszkańcy. A czy nie najstarszym pomiędzy nimi był właśnie ten dziadek o tajemniczo brzmiącym przezwisku „Giełgud”.

Co prawda mieszkał nie w samej wsi, a nieco na uboczu, za jeziorem, na płaskiej wyspie wśród moczarów. Dostać się do jego obejścia suchą nogą można było tylko w okresie wielkich mrozów, idąc ledwo widoczną ścieżką, wijącą się pomiędzy rudymi oparzeliskami znaczącymi miejsca trzęsawisk. Jezioro Miakotyń, za którym mieszkał stary Giełgud, było swego rodzaju osobliwością. Miało formę półksiężyca, okalającego piaszczystą wydmy, porośłą rzadką sośniną. Na mokradłach, wzdłuż wydmy, rosła olszyna, widoczna, gdy się jechało drogą. Samo jezioro pozostawało niewidocznym dla obserwatora, co oznaczało, że jego powierzchnia rozpościera się parę metrów wyżej nad okolicznym terenem! Jakim cudem utrzymywała się tu woda? Nikt z miejscowych nie zwracał sobie głowy tym pytaniem, bo woda tu była „od zawsze”, nawet w gorące, upalne lata.

Bagna, ciągnące się od jeziora w południowym kierunku, porastały rzadkie kępy rachitycznych brzó-

zek, z domieszką tak samo marnie wyglądających sosenek. Tu i ówdzie piętrzyły się zielonoszare poduchy mchów, gęsto poprzątkane płożącymi się krzaczkami żurawin. W maju wilgotne powietrze napełniała woń kwitnącego bagna. Była to ostoja niezliczonej ilości ptactwa, które miało tu doskonałe warunki do wylęgu i żerowania. Samotny dziadek wyglądał na tle tej menażerii jak wielki, szary żuraw, dumnie kroczący wśród zgiełku kotłującego się ptasiego pospólstwa. Nikt ich na bagnach nie niepokoił, władze machnęły ręką na tego samotnika, od którego próżno by było oczekiwać jakiegokolwiek korzyści, tym bardziej, że kołchoz też nie miał chrapki na te kilka arów jałowej ziemi.

Człowiek

Kim więc był ten stary Poleszok, siedzący jako szlachcic na zagrodzie pod samym bokiem nowej władzy, stojącej na czele społeczeństwa „budującego świetlaną przyszłość”? Według mniemania tejszej władzy – był żywym anachronizmem, człowiekiem z innej epoki, niezrozumiałym i budzącym pogardę. Ale on przecież był u siebie! Żył tak, jak żyli jego rodzice, rodzice jego rodziców i rodzice tamtych...

Tu, na tych bagnach, od wieków wszystko doskonale pasowało jedno do drugiego, a znaczyło dobre i nikt się nie ważył, bez koniecznej na to potrzeby, zmieniać pozostawionych przez ojców obyczajów i układu życia. A dziadek faktycznie był szlachcicem czy raczej potomkiem szlachty zagrodowej, która w wyniku carskich szykan utraciła swój status i znaczenie. Jego prawdziwe nazwisko prawie wszyscy zapomnieli, bo było długie i brzmiało dziwacznie dla ucha miejscowego chłopca: Kurdwanowicz. Czyli można było się domyślać, że dziadek wywodził się od jakiegoś osiadłego na Polesiu Litwina, przybyłego tu za niepamiętnych czasów. Natomiast przezwisko „Giełgud”, które przyczepiło się tej rodziny dosłownie jak rzep psiego ogona, też dawało wiele do myślenia o dawnych, burzliwych dziejach tych terenów. Akurat gdzieś tu przez wiele lat przebiegała granica między Litwą a Ziemią Chełmską.

Ród Giełgudów niegdyś był dosyć liczny i siedział na tym Dubczu, pracując, a może i służąc u miejscowego dziedzica Zakaszowskiego, który jednak stracił majątek po Powstaniu Styczniowym. Kilku Giełgu-

dów widocznie też sobie wymachiwało szabelkami, bo musieli uciekać do zaboru austriackiego, bądź polegli za Ojczyznę na nieznanym uroczyskach. W Dubczu pozostał niepełnoletni syn jednego z tych braci, no i dał początek nowej gałęzi rodu Kurdwanowiczów. Z czasem ta szlachta całkiem „schłopiała” i wtopiła się w otoczenie, przyjmując zwyczaje a nawet i wiarę miejscowego ludu, zachowując jedynie w pamięci swoją genealogię oraz schowane gdzieś na dnie kufra, poźółtkę i podziurawione przez robactwo „hramoty”. Zachowali również w charakterze niesamowity litewski upór, a także żywotność; kochali nade wszystko swobodę i mieli poszanowanie do tradycji. Co zresztą nie oznaczało, że całkowicie wyobcowali się z życia wsi czy kraju. Tu też dochodziły wieści z reszty świata i ludzie rozważali je po swojemu, próbowali dostosować się, chociaż i z trudem, do nowych warunków. Brat dziadka Giełguda wyemigrował do Ameryki razem z poślubioną mu małżonką. „Za Polski” czasem pisał do niego listy, zachęcał do wyjazdu, obiecał w czymś pomóc. Ale ten miał już dosyć liczną rodzinę: żonę, dwie córki i syna, więc jakoś nie mógł się zdobyć na ten wyjazd. A w międzyczasie przyszła komasacja; ziemię miał w kilku niewielkich kawałkach, położonych w różnych miejscach. Była dobrej jakości i została nieźle wyceniona. Postanowił zamienić ją na jakieś większe gospodarstwo i dostał właśnie tę wyspę na bagnach, kilkakrotnie powiększając stan posiadania. Ziemia ta jednak była jałowa, lecz na grządki się nadawała, nieźle rosły tu również ziemniaki i żyto. Ale prawdziwym skarbem były bagienne łąki! Wieś miała sporo krów, a trzeba było je gdzieś gonić na paszę czy też kosić siano.

Giełgud brał na lato wiejskie bydło na swój ostrów i doglądał, zrobił nawet z żerdzi zagrodę. Dostawał pieniądze za wypas, a poza tym miał stertę obornika do nawożenia swej ziemi. Żył już zamożnie i nie bardzo przejmował się starą chałupą, którą przeniósł ze wsi i nieco podprawił. Rozmyślał po poleszucku: „chata zawsze może się spalić, a ziemia nie!” Swoje córki powydawał za mąż, syn poszedł do wojska i już nie wrócił do rodziców. Znalazł sobie pracę aż w Gdyni i za jakiś czas tam się ożenił. Giełgudowie zostali na wyspie sami i nadal żyli – jak to się mówi – „w harmonii z przyrodą”. Bydło doglądał wynajęty pastuch, a dziadek skumał się z Żydem, arendarzem jeziora, stróżował i łowił ryby.

Był niesamowitym wprost oryginałem, wręcz dziwakiem w opinii otoczenia. Do samej starości zachował fizyczna krzepę, połączoną z bystrością umysłu. Potrafił w ciągu dnia przemierzyć w łapciach kilkadziesiąt kilometrów poleskich dróg. Znał w okolicy wszystkie ścieżki, lasy i uroczyska. Potrafił nawet w najciemniejszą noc bezbłędnie dojść we właściwe miejsce. Zdrowie miał mocne i wydawał się być tak niezniszczalnym, jak te dęby rosnące na miejscu dawnego folwarku.

Czasem, wracając z jarmarku z Kowla czy Kamienia, wchodził do jakiejś przydrożnej knajpy, siadał za stołem, wyciągał z zanadru butelczynę gorzałki, a z płóciennej torby owiniętego w gazetę śledzia i bochen wiejskiego chleba. Rzucił Żydówce ze dwadzieścia groszy na tacę, żeby nie wrzeszczała, że nic u niej nie kupuje. Potem zdejmował z głowy maciejówkę, czynił znak krzyża na piersi i siadał do posiłku. Wprawnym ruchem wlewał do gardła połowę zawartości flaszki i pałaszował „rozbieranego” palcami śledzia, zając go grubo pokrojonym chlebem. (Ach, cóż to były za śledzie! Duże, grube i tłuste, nazywane przez Poleszucków „końmi”.) Po jakimś czasie wypijał resztę wódki i dodając posiłek, pieścizotliwie zmiatał dłonią ze stołu okruszynki chleba. Wstawał, chował pustą butelkę do torby, dziękował Bogu za jedzenie i czuł się gotów do dalszej drogi.

Smutek

Tak było kiedyś... Ale oto przyszła wojna. Prawie do końca września przemieszczały się drogami Polesia formacje wojska i rzesze uchodźców. To tu, to tam słychać było wystrzały karabinowe i dudnienie broni maszynowej. W nocy widziano na niebie łuny pożarów.

Serce starego Giełguda napelniał jakiś dziwny niepokój. Nie umiał tego wytłumaczyć, lecz wydawało się jemu, że oto przychodzi kres jego beztroskiemu życiu, że wszystko lada chwila może się zawalić. Żona Jawdocha przez całe dni rozpaczała i ocierała ukradkiem napływające do oczu łzy, wylwane po dzieciach, których losu nie była pewna. Córki zostały wydane za Polaków, osadników wojskowych, a syn przecież mieszkał tak daleko, pod samymi Niemcami! Podobno został powołany do wojska, lecz gdzie walczył? – tego nikt nie wiedział.

Wkrótce pojawili się sowieci. Natychmiast zaprowadzono nowe porządki. Ni z tego ni z owego okazało się, że Dubcze teraz leży na samej granicy! Bo tu miała być Ukraina, a za rzeką – Białoruś! Tak ustalono na jakimś tam zebraniu. Podobno jeździło tam kilku delegatów z dalszych wsi. Poleszycy nie mogli się nadziwić tym nagłym zmianom, lecz i nie za bardzo zastanawiali się nad tym, jak to teraz będzie, bo na razie i tak nikt ich się nie czepiał. Oczywiście ten spokój nie potrwał długo. Nastąpiła zima i w styczniu 1940 roku rozeszły się pogłoski, że jednak Polesie Wołyńskie przyłączy z powrotem do Ukrainy. Mrozy trzymały okropne, a tu raptem gruchnęła wieść, że zaczynają wywozić Polaków! Nie bacząc na pogodę, Giełgud wybrał się do córek mieszkających aż pod Lubieszowem. Zdążył je zobaczyć już w ostatniej chwili, dosłownie siedzące na tobołach. Tyle tylko, że wyściskał jak umiał te swoje dzieci i pocierał siwą brodą płynące, gorące łzy. Odjechali w nieznane...

A od syna nadal nie mieli żadnych wieści. Dopiero kiedy przyszli tu Niemcy – jakoś tak w zimie z 1941 na 1942 rok – otrzymali Giełgudowie list. Syn pisał, że we wrześniu 1939 roku dostał się do niemieckiej niewoli. Kilka miesięcy spędził w obozie, a później odesłano go wraz z kilkoma towarzyszami do pracy u gospodarza aż pod francuską granicę. O żonie nie pisał nic, podobno nie miał z nią kontaktu. Giełgudowa mocno przeżywała tę długą i tragiczną rozłąkę z dziećmi, a że była wątłego zdrowia – zachorowała i jakoś tak, na wiosnę, umarła – cicho i spokojnie, tak jak żyła...

Giełgud został sam jak palec na tych bagnach. Zmarniał na twarzy, postarzał się jeszcze bardziej, przestał zajmować się gospodarką. Została mu tylko stara krowa, kilka kur i pies – wierny towarzysz niedoli. Wiosną trochę dłubał w ziemi, ale chyba tylko z przyzwyczajenia. Całe dnie spędzał albo na jeziorze, bądź w lasach; żył z tego, co złowił i łączył. Krowę trzymał nadal, jako pamiątkę po zmarłej żonie, której obiecał na łożu śmierci, że zaopiekuje się bydłem, gdy jej nie stanie.

Tak doczekał końca wojny i przeżył pierwsze powojenne lata.

Któregoś roku niespodziewanie dostarczono mu list z Ameryki od żyjącego jeszcze brata. Była to niespodzianka podwójna, bo w środku koperty znajdował się także list od syna! Brat pisał, że jest już stary

i schorowany, że na pewno się już nie zobaczą, chociaż ma jeszcze taką nadzieję... Syn pisał, że został wyzwolony z niewoli przez wojska amerykańskie, trafił do ich strefy i z czasem dostał się za ocean. Dostał pracę w fabryce i odnalazł swego stryjka, którego nigdy nie widział. Ma się dobrze, tęskno mu jednak za ojcem i matką, których serdecznie pozdrawia...

Nadzieja

Szybko rozchodzą się wieści nad bagnami i gładzią Miakotyńską! Już cała okolica tylko i gadała o szczęściu, jakie nagle przytrafiło się staremu Giełgudowi. Przebąkiwano, że stary szykuje się na wyjazd do „Hameryki”. Ale dziadek siedział sobie i siedział na tej wyspie, prowadząc nadal ciche i spokojne życie. Jedynie od czasu do czasu przychodził do miasteczka po jakieś sprawunki. Zagadnięty przez ciekawskich – machał tylko rękawem, odpowiadając, że na razie jeszcze nic nie postanowił. A czasem, gdy miał trochę humoru, odpowiadał żartobliwie, że takiego dziada jak on, to tam nikt nie czeka! To z kolei żartował, iż żał mu golić brodę i wąsy, a inaczej przez granicę nie puszczają!

I znów minęło parę lat. Odezwała się niespodziewanie jedna z córek. Pisała, że mieszka z mężem w Polsce, że z wielkim trudem udało się im wydostać z Syberii. Mieli już dwoje dzieci, otrzymali poniemieckie gospodarstwo na Śląsku. Zapraszała do siebie, obiecała, że jak trochę się polepszy, będzie starała się zabrać ojca. Trudno powiedzieć, co czuł, o czym dumał stary Poleszok, siedząc samotnie w swojej chałupie. Któż to wie? Może naprawdę szykował się do wyjazdu?

Czasem widziano dziadka idącego ścieżką na wiejski cmentarz na Zarzeczu. Siadał tam na stopniach zamkniętej cerkwi i godzinami wpatrywał się w rzędy pomalowanych na niebiesko krzyży. Pod jednym z nich spoczywała jego Jawdocha. Gdzieś tu, pod murawą i barwinkiem, spoczywały też prochy ich przodków: i tych znanych, i tych zapomnianych... Słońce grzało ciepłymi promieniami zwieszoną na pierś siwą głowę starca. Czasem jakiś mały ptaszek podlatywał bliżej człowieka, siadał na ramieniu pochylonego krzyża i wesołym szczebiotaniem próbował rozweselać zadumanego Poleszuka.

Gdy słońce zaczynało zaglądać mu w twarz, staruszek podnosił się, brał do ręki swój długi kij i stał jakiś czas nieruchomo, jakby słuchał szumu wiatru w sosnowych gałęziach. Potem zęgnął się, czyniąc ukłon w stronę cerkwi i dreptał z powrotem na swój ostrów, z rzadka wstępując – raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby – do starej knajpy. Chodził jakiś przegnębiony, a zapytany niekiedy przez napotkanego wieśniaka o zdrowie, uśmiechał się, podnosił kij i wskazując w stronę cmentarza, tajemniczo odpowiadał, że „już pomału trzeba wybierać się do tej „Hameryki!”

Kłopoty

Wróćmy teraz do znanej już nam knajpy i zobaczmy, co porabiają nasi bohaterowie.

W zadymionej sali nadal było gwaro, przybyło nieco ludu. Bufetowa sprawnie rozlewała gorzałkę i wino do szklanek, napełniała piwem kufle. Parpura siedział na dawnym miejscu i rozmawiał z Giełgudem, lecz w tym zgiełku, wywoływanym przez podchmieloną publikę, trudno było zrozumieć, o czym mówiono. Nareszcie Giełgud podniósł swój kij, dźwignął się z taboretu i podał kupcowi rękę na pożegnanie.

– Pamiętajcie, stary – odezwał się Parpura. – W czwartek będę zabierał bydło, to musicie być z krową gdzieś tak koło drugiej. Potraktuję was jako dawnego znajomego, nie bójcie się! – wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby.

W czwartek dziadek pociągnął swoją Maruchę na sznurku do miasteczka. Krowa, przeczuwając nieszczęście, opierała się, ciągnęła starego przez śnieżne zasy; parę razy przewrócił się na śliskiej powierzchni zamrożonego rozlewiska. Skracając drogę, poprowadził krowę brzegiem jeziora.

Na placu opodal bufetu zebrało się już trochę ludzi z przeprowadzonym bydłem. Ładowano od razu na ciężarówkę. Bydło się zapierało, ryczało, rzucało się na boki, lecz sprytni Poleszacy „sposobem” wciągali je po pochyłym podejściu, podstawionym pod burty samochodu. Była to potężna amerykańska ciężarówka z demobilu – studebacker, na trzy mosty, ze skrzynią wzmacnioną u góry deskami. Ogromne cielsko Parpury królowało nad całym tym zbiegowiskiem. Kupiec był w swoim żywiole! Macał podstawione

bydło, poklepywał je potężną dłonią po bokach. Jego nabrzmiała, okrągła jak księżyc twarz okazywała zadowolenie. Grubymi palcami odliczał papierki dla marudzących, narzekających wieśniaków. Coś im zapalczywie tłumaczył, przekonywał.

Giełgud zjawił się w samą porę, bo jeszcze trochę, a było by zabrakło miejsca dla jego Maruchy na ogrodzonej deskami platformie ciężarówki. Dziadek milcząco oddał krowę razem z powrozem w ręce ładujących bydło mężczyzn. Krowa miała wilgotne oczy. Nie chciał, czy może nie miał siły na nie patrzeć; odwrócił się i podszedł do Parpury. Ten bez słowa sięgnął po portfel, wyciągnął plik banknotów i milcząco odliczył odpowiednią kwotę w lekko drżące ręce starego.

– Już po wszystkim, zamykać! – polecił Parpura swoim grubym głosem, zwracając się do pomocników. Tamci pomału zamykali budę z wagą, krzatali się, spinając burty ciężarówki.

– Chodź, Wasylu! – zawołał do kierowcy. – Zapijemy „maharycz”!

– Chodźcie też, Giełgudzie, wypijmy po „granczaku” – zagadał łagodnie do starego. – Ileż tam tego życia! Pijmy tut, bo na tym świecie nie dadut!

Weszli do śmierdzącej rozlanym piwem, tytoniowym dymem i mokrymi kozuchami ciemnej sali bufetu. Marfa uwijała się pomiędzy dębowymi beczkami i skrzynkami butelek; dzisiaj w bufecie też był niesamowity ruch! Parpura usiadł we właściwym miejscu, podsuwając dziadkowi jedyny wolny taboret, a kierowca wgramolił się na pusta beczkę po piwie. Doświadczonym ruchem dłoni wybił korek z przyniesionej flaszki i rozlał po równo w podstawione szklanki. Parpura podniósł swoje naczynie i, stukając się ze współbiesiadnikami, wzniosł toast za zdrowie starego.

– No, dziadku, hej! – do góry głowa! Sto lat!

– Niech żyje! – dołączył się kierowca.

Dziadek wychylił „granczaka” do dna, utarł rękawem kozucha długie wąsy i tknął widelcem w kawałek tłustej, domowej kiełbasy, przyniesionej przez usługową bufetową. Jedli w milczeniu. Wreszcie Parpura podniósł głowę znad talerza i rzekł do kierowcy, żeby uruchamiał samochód. Czekala ich daleka droga.

Los

Giełgud pozostał sam za stołem. Na dworze rozszalała się wichura, ciemniejące niebo sypało mokrym śniegiem. A w zadymionej knajpie było ciepło; w kaflowym piecu trzaskały sosnowe polana. Staremu wcale nie chciało się wyłazić na ulicę. Jakaś dziwna pustka powoli wypełniała jego duszę. Nie miał gdzie i do kogo się śpieszyć, bo nikt też na niego nie czekał w pustej chałupie na bagnach. Powoli namacał w zanadrzu plik otrzymanych za krowę „karbowańców”, wyciągnął, popatrzył przez chwilę na kolorowe papierki. Zamówił sobie kufel piwa.

Na dworze było już dosyć ciemno, gdy stary Giełgud wygramolił się przez próg bufetu. Pogoda nadal była paskudna. Dziadek mocniej naciągnął na głowę baranią czapkę i opierając się na kiju – powłókł się w kierunku swego obejścia...

Minął marzec, pomału kończył się kwiecień; już dawno nie widać było żadnych śladów zimy. Zaczynały się zwykle dla wsi prace polowe. Każdy miał ręce pełne roboty. Ludzie dziwili się, że jakoś od dawna nie widać starego Giełguda. Czasem jakiś chłop, idący za pługiem, przystawał na chwilę, ocierając pot z czoła, spozierał spod dłoni na czerniejącą na wyspie chatę i szedł sobie dalej, pokrzykując na konie. Tłoczące się pod sklepem baby zastanawiały się, czy jednak „ten odludek” nie wyjechał po cichu do tej „Hameryki”? Ktoś nawet opowiadał, że podobno widziano dziadka na dworcu w Kowlu.

Pewnej niedzieli wypłynął czółnem na jezioro miejscowy kłusownik, rudy Omelan. Postanowił zarzucić sieć po przeciwnej stronie jeziora. Torfiasty, płaski brzeg unosił się częściowo nad czarną tonią, lekko kołysząc się na falach. Miejsce było dzikie i niedostępne. Powszechnie uważano, że gnieździ się tu „neczysta syła”. Omelan jednak nie bał się niczego; był to taki łobuz, że chyba i z czarta potrafił zdjąć skórę. Zresztą już od dawna wiedział, że oprócz wydry i dużych szczupaków, tu nic mu się nie trafi. Właśnie postanowił „zacząć się” na jednego z tych kryjących się w głębi drapieżników.

Sieć zarzucił jeszcze z wieczora i teraz niespiesznie wiosłował w tym kierunku, płosząc żerujące ptactwo i rozważając, czy da radę wyciągnąć z wody ogromną rybę, która już raz potrafiła ująć z jego rąk, ledwo nie wyróciwszy łódź.

Mrucząc pod nosem pogroźki pod adresem „okropnego stworzenia”, Omelan ciekawym wzro-

kiem obserwował życie ptasiej gromady. Nagle jego uwagę przykuło jakieś szamotanie między kępami pośliskich szuwarów, rosnących tuż nad wodą. Kilka wrzeszczących srok skakało dookoła pary czarnych kruków, zajętych dziobaniem jakiejś padliny. Omelan skierował czołno w stronę ptaków, płosząc ich podniesionym wiosłem. W niewielkiej zatoce między szuwarami unosił się na wodzie ogromny bąbel nadętego, pokrytego śliską pleśnią kozucha. Sina głowa topielca leżała z odwróconą na bok twarzą, rozdżobaną przez ptaki. W zaciśniętej pieści trupa tkwiły rozmokłe papierowe pieniądze. Kilka banknotów kołysało się w mętnej, brązowego koloru wodzie.

Omelan z przerażenia ledwo nie wyrócił łódkę, próbując zatrzymać ją przed okropnym znaleziskiem. Dziób czółenka jednak dotknął topielca, gniotąc wzdęty kozuch i ciało powoli zaczęło opadać na dno. Kłusownik, zapomniawszy o swojej sieci, co tchu w piersiach popłynął z powrotem. Napotkani wieśniacy ze zdziwieniem odwracali się za nim, gdy „leciał” w stronę miasteczka. Zdyszany wpadł do mieszkania dzielnicowego, składając „meldunek” zapanemu jeszcze milicjantowi.

Koło południa na jezioro wypłynęły dwie łódki z mężczyznami. Omelan poprowadził ich w znane mu miejsce. Po godzinie ciężkiej pracy udało się im wydobyć bosakami rozkładające się zwłoki Giełguda. Że to był on – nikt nie miał żadnej wątpliwości. Prezes kołchozu rozkazał sklecić trumnę z sosnowych desek, do której złożono wyłowione szczątki. Nazajutrz, w poniedziałek, zebrało się kilka bab i chłopów, załadowano trumnę na podwodę i kondukt żałobny skierował się na Zarzecze. Dziadek Giełgud spoczął w żółtym piaseczku obok swej małżonki.

Nikt jakoś nie przeżywał tego zgonu, nie było płaczek, nie było też stypy. Kilku chłopów weszło, wracając z cmentarza, do starej knajpy i wypilo „za upokoj duszy”, powspominano dawne czasy...

– Już się „odmęczył”, carstwo jemu nebesne! – powtarzali, podnosząc do góry „granczaki” z wódką starzy Poleszucy.

– Oj tak. Niechaj spoczywa w spokoju, namęczył się biedak! – zza lady odezwała się smutnym głosem bufetowa Marfa. – Może już ogląda tę swoją „Hamerykę”?

Anatol F. Sulik
Kowel

Z LISTÓW CZYTELNIKÓW

Szanowna Redakcjo,

Kontynuując starania mojego śp. Ojca Antoniego (1912-1984), poszukuję wszelkich śladów i informacji pozwalających ustalić losy mojego Stryja Wawrzynca Kamińskiego. Wawrzyniec Kamiński syn Stanisława i Agaty z d. Gośka, urodził się 2 września 1898 r. w Królowej Woli (gm. Inowódź). Po ukończeniu szkoły powszechnej rozpoczął naukę w Seminarium Nauczycielskim w Ostrogu n/Horyniem, które ukończył w latach 1919-20. Pierwszą pracę jako nauczyciel podjął w Rosyjskim Gimnazjum Żeńskim im. Błudowa w Ostrogu. W latach 30-tych był początkowo zastępcą, a następnie inspektorem szkolnym w Kosowie Poleskim, gdzie mieszkał wraz z żoną Lubomirą i córką Teresą Wierosławą przy ulicy Wesolej 17. Był osobą aktywną społecznie: był równocześnie przewodniczącym Związku Młodej Wsi oraz Związku Strzelec w Kosowie.

W kwietniu 1940 r. cała rodzina została deportowana ze swojego domu, Stryja aresztowało NKWD, a w maju Lubomira i Teresa zostały wywiezione do

Kazachstanu, gdzie przeżyły całą wojnę. 12 maja 1940 r. Wawrzyniec Kamiński został wywieziony przez NKWD z Kosowa Poleskiego i wszelki ślad po nim zaginął. Poszukiwania podjęte przez mojego Ojca jeszcze w czasie wojny (po ujawnieniu przez Niemców Grobów Katyńskich), a następnie przez Lubomirę Kamińską po jej powrocie z zesłania, nie dały żadnych rezultatów. Pozostaje tylko ludzka pamięć i strzępy informacji, jakieś dokumenty i fotografie. Po Stryju pozostało tylko kilka fotografii – te, które przysłał na pamiątkę rodzicom i rodzeństwu. Wszystkie osobiste rzeczy zaginęły w trakcie deportacji i zsyłki.

Być może tzw. Białoruska Lista Katyńska kryje tajemnicę śmierci i miejsca pochówku mojego Stryja.

Liczę na to, że „Echa Polesia” albo czytelnicy mają jakieś informacje w tej sprawie. Serdecznie pozdrawiam i pozostaję z nadzieją

Janusz Kamiński,
Tomaszów Mazowiecki



Słuchacze Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Komisji Edukacji Narodowej w Ostrogu nad Horyniem (zdjęcie z lat 1928-1931)



Wawrzyniec, Teresa i Lubomira na ulicy
w Kosowie Poleskim – 1935 r.

Kamiński Antoni
Państw. Tarasak Konewka
Poczt. Tomaszów Maz.
Skrytka poczt. Nr 140

Konewka, dnia 3 sierpnia 1943

Nr. VIII-2/43.

Do

Spr. Poszukiwanie osób
na terenie ZSRR.

Polskiego Czerwonego Krzyża
Biuro Informacyjne

WARSZAWA

W odpowiedzi na pismo Nr. Vc/AK 46.13 C z dnia 30 lipca 1943 podaę
potrzebne dane dotyczące poszukiwanych osób.

- I. 1. Kamiński Wawrzyniec syn Stanisława i Agaty ur. 1898 r. w Królowej
Woli gm. i poczt. Inowódz pow. Tomaszów-Maz. Inspektor Szkolny w Kosowie
Poleskim, zam. w Kosowie Pol. ul. Wesoła Nr 17 wywieziony z Kosowa-Poleski
dnia 12 maja 1940 roku. Adres w ZSRR nieznany, nie było żadnej wiadomości
2. Kamińska Lubomira c. Mikołaja i Aleksandry ur. w 1906 zam. w Kosowie
Poleskim adres jak wyżej, wywieziona z Kosowa/data wywieżenia niewiadoma
do Kazachstanu, bliższy adres nieznany.
3. Kamińska Teresa-Wierosława c. Wawrzyńca i Lubomiry ur. w 1932. zam.
i wywieziona jak wyżej.
- II. 1. Kamiński Walenty ur. 10.2.1909 r. w Królowej Woli gm. i poczt. Inowódz
pow. Tomaszów Maz., syn Stanisława i Agaty, Kierownik Szkoły zam. we
wsi Kobylia gm. Korzec pow. Równe na Wołyniu, Oficer rezerwy wzięty do ni
woli pod Żółkwią i wywieziony do obozu w Starobielsku.
2. Kamińska Janina c. Michała ur. 1910 r. w Dubnie zam. jak wyżej wywie
na z miejsca zamieszkania w czerwcu 1940 r. Ostatni adres: Haniro-Kaza
chanskaja obł. Kellherowski rajon seło Bohoduchowka Kamińska Nin
Michajłowna.
3. Kamińska Krystyna c. Walentego i Janiny ur. w 1934 r. zam. i wywiezi
na jak wyżej.

Jednocześnie nadmieniam, że ostatni list otrzymałem od Janiny Kam
ińskiej jesienią 1940 r.

Wszelkie koszty związane z poszukiwaniem pokryje na badanie.

Załączam znaczki poczt. na 96 gr.

Z poważaniem: A. Kamiński.

Wykaz Inspektorów i Podinspektorów Szkolnych

Uwzględniając liczne prośby PP. Kolegów z terenu, podajemy ostatnio zestawiony wykaz Inspektorów i Podinspektorów Szkolnych wg. Okręgów i Obwodów Szkolnych.

1. Okrąg Szkolny Brzeski.

1. BRZEŚĆ N/D BUGIEM: Insp. — Lastowiecki Wacław. Podinsp. — Łukasiewicz Antoni i Gładysz Paweł.
2. DROHICZYN: Insp. — Bens-Edgar. Podinsp. — Mudryk Franciszek.
3. KAMIEN KOSZYRSKI: Insp. — Makarewicz Jan. Podinsp. — Hojak Kazimierz.
4. KOBRYN: Insp. — Bem Edward. Podinsp. — Bocewicz Kazimierz.
5. KOSÓW POLESKI: Insp. — Kamiński Wawrzyniec. Podinsp. — Dr. Suchan Edward.
6. LUNINIEC: Insp. — Bandurski Czesław. Podinsp. — Har Józef.
7. PISSK: Insp. — Bartnicki Benedykt. Podinsp. — Krak Eustachy i Juniszewski Leon.
8. PRUZANA: Insp. — Raducki Edward. Podinsp. — Tomaka Franciszek.
9. STOLIN: Insp. — Ciesielski Mieczysław. Podinsp. Sianca Stanisław.
10. BIAŁYSTOK: Insp. p. o. — Budziszewski Teofil. Podinsp. — Filipczuk Franciszek, Mizerski Bolesław i Hartwig Bolesław.
11. SOKÓŁKA: Insp. — Wycke Zygmunt. Podinsp. — Zaręba Andrzej.
12. BIELSK PODLASKI: Insp. — Radwański Jan. Podinsp. — Nowak Jan i Jagusiak Edward.
13. ŁOMŻA: Insp. — Józefski Konstanty. Podinsp. — Telejko Władysław i Nowicki Władysław.
14. OSTROŁĘKA: Insp. — Wawszczak Stanisław. Podinsp. — Jędrzejczyk Stanisław i Kochański Bolesław.

Kamiński Walenty (1909-1940)

Urodzony 10 lutego 1909 r. w Królowej Woli (obecnie gm. Inowłódz, woj łódzkie). Syn Stanisława i Agaty z d. Goska. Żona Janina z d. Termiljan (córka Michała, ur. 1910 r. w Dubnie), córka Krystyna ur. w 1934 r.

Nauczyciel, absolwent Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Komisji Edukacji Narodowej w Ostrogu nad Horyniem, kierownik szkoły we wsi Kobyła gm. Korzec pow. Równe

Zmobilizowany jako ppor. rez., walczył w składzie batalionu KOP HOSZCZA w obronie Lwowa – pod Żółkwią, tam dostał się do niewoli sowieckiej. Więziony w Starobielsku – zamordowany w Charkowie i tam pochowany (STAR-/1379).

Jego nazwisko umieszczono na tablicy pamiątkowej, pod Krzyżem Katyńskim, na cmentarzu wojskowym w Tomaszowie Mazowieckim.



Boże Narodzenie 1938 r. - spotkanie rodzinne w domu Wawrzyńca i Lubomiry Kamińskich w Kosowie Poleskim przy ul. Wesołej 17. Stoją: Edward Suchan, Janina Kamińska, NN, Antoni Kamiński, Wawrzyniec Kamiński; siedzą: Walenty Kamiński, NN, Teresa Kamińska, Lubomira Kamińska, matka Lubomiry, siostra Lubomiry.

Droga Redakcjo!

Muzeum Marii Rodziewiczówny i Lato Leśnych Ludzi

25 kwietnia 1911 roku Maria Rodziewiczówna wraz z Jadwigą Skirmunttówną zasiedliły chatę leśnych ludzi. Dokładnie tego dnia została zakończona (trwająca tylko 2 tygodnie...) budowa malej leśnej chatki w Hruszowskim Lesie (Polesie, dzisiejsza Białoruś), a obie przyjaciółki tego dnia wprowadziły się meblując i wyposażając swój leśny dom. Tak zaczęła się wspaniała historia, która nie tylko dała kanwę powieści „Lato Leśnych Ludzi” ale także rozpoczęła trwający do dziś ruch puszczański w Polsce.

Powieść „Lato Leśnych Ludzi” jest dla Polaków jak Księga Dżungli. To hołd złożony dla starej Rzeczypospolitej, Polesia, ludzi związanych z puszczą, praca na roli, a przede wszystkim dziewiczej przyrody.

Sama autorka jest postacią niezwykle. Nie tylko jako obrończyni kresowych stanic czy pisarka – twórczyni polskiej kultury, ale także jako niezwykle zaradna kobieta. W dzisiejszych czasach jej heroizm wydaje się wręcz niewiarygodny. Mając zaledwie 17 lat przejmując zadłużone – 1600 hektarowe gospodarstwo i sama je prowadzi. Nie tylko wyprowadza je z długów ale jeszcze sptaca z jego wartości innym spadkobiercom. Majątek co kilka lat jest doszczętnie niszczonej przez kolejne wojny, a ona je za każdym razem od zera odbudowuje. Zakłada szkoły, buduje kościoły i pomniki, rozwija polskość, zakłada towarzystwa ziemiańskie. W tym samym czasie wydaje 30 powieści! Jest ogrodniczką, pszczelarką, hodowcą, doskonałą ornitolożką, a nade wszystko Wielką Patriotką walczącą o polskość na Kresach Wschodnich. W 1939 roku cudem unika śmierci, ucieka z podręcznym tylko węzełkiem do Warszawy, by tam bez końca oddawać się pracy społecznej. Mimo podeszłego wieku bierze udział w Powstaniu Warszawskim pomagając powstańcom. Jednak wycieńczona trudami powstańczymi i warunkami jakie panują w obozach uchodźców z Warszawy umiera zaraz po upadku Powstania Warszawskiego.

Czyż nie jest obrazem niezwykłości też fakt, że pisarka, mająca w 1911 roku już prawie 50 lat! i posiadająca wielki, wygodny dwór, buduje wraz z dwiema innymi szlachciankami (także z zamożnych rodów) malutką, leśną chatkę i tam w otoczeniu dziewiczej przyrody co roku przebywa po kilka miesięcy. Nawet jedzenie z dworu donoszono w umówione miejsce w lesie aby kobiety nie miały styczności z „cywilizacją”.

Trzy kobiety (w powieści ukrywają się pod postaciami męskimi – Rosomakiem – Maria Rodziewiczówna, Żurawiem – Jadwiga Skirmunttówna i Pantera – Maria

Jastrzębska) ubrane w zwykłe poleskie stroje, używające prostych przedmiotów, bez bieżącej wody... – żyły życiem leśnych ludzi aż do roku 1919-ego. Te przygody i naturalność życia były dla Rodziewiczówny najpiękniejszymi momentami w życiu. Wspominała je nawet w dniu śmierci... Nic więc dziwnego, że z takich niezwyklej doświadczeń powstała tak doskonała powieść.

To wspaniały życiorys, wspaniała postać i historia.

Jest to też niezwykle dzisiaj powieść pod względem ekologicznym. Pokazuje jak w krótkim czasie znikły prawdziwe puszcze, a o ostatni naturalny las w Europie (Puszcze Białowieska) trzeba dosłownie walczyć by nie zaginęła jak inne dziewicze ostoje naszego kontynentu.

Nie ma dla nas Polaków wytłumaczenia, że do tej pory Marii Rodziewiczównie nie jest poświęcone żadne muzeum, ani nawet izba pamięci. Wszak od takiej postaci wszyscy możemy się dużo nauczyć.

Powieść „Lato Leśnych Ludzi” dzisiaj niestety jest coraz mniej znana. Jest ona wprowadzie nadal uznawana za księgę ksiąg czy leśną biblię ale tylko przez ludzi, których sama autorka czcicielami przyrody nazywa. To przyrodnicy z krwi i kości, miłośnicy puszczy, leśni harcerze. Oni tą powieść czują i rozumieją, zaś młodzi czytelnicy niestety powieści nie znają...

Świat ma swoją „Księgę Dżungli” Kiplinga, „Walden czyli życie w lesie” Henriego Thoreau, powieści Grey Owl, czy Curwooda – my Polacy mamy „Lato Leśnych Ludzi” Marii Rodziewiczówny. Nie powinniśmy o tym zapominać!

Dla Dariusza Morsztyna – Biegnącego Wilk i założonego przez niego w 1986 roku Harcerskiego Ruchu Ochrony Środowiska im. św. Franciszka z Asyżu powieść Marii Rodziewiczówny była zawsze lekturą podstawową. Dominowało jednak przekonanie, że jest to tylko fikcja literacka. Dziś wypada się za to bić w pierś... Choć ciągle prześladowała wszystkich myśl, że jest to zbyt dobre dzieło aby je od tak sobie wymyślić...cos musiało za tym stać...

Prawdziwy przewrót nastąpił 3 lata temu, kiedy Dariusz Morsztyn wpadł na śladową informację mówiącą o tym, że powieść powstała na podstawie autentycznych wydarzeń. Od tego czasu rozpoczęły się poszukiwania, badania, wyjazdy i detektywistyczna praca. Problem polegał jednak na tym, że historia dotyczy zamierzchłej przeszłości, akcja dzieje się na mało dostępnej Białorusi, gdzie zdobycie nawet mapy jest trudne (Dariusz Morsztyn w badaniach posługiwał się tylko polskimi mapami z 1932 roku). Poza tym „wsio pamienilos” – jak mawiają tamtejsi ludzie – osuszono poleskie bagna, a dawny las już wielokrotnie wycięto. Na początku wydawało się zupełnie niemożliwe dotarcie do czegokolwiek... Jednak upór i determinacja może zrobić wiele.

Obecny poziom badań jest wręcz imponujący. Prawie 300 eksponatów związanych z przedwojennym Polesiem z okolic Hruszowej (majątek Rodziewiczówny), 30 eksponatów bezpośrednio związanych z pisarką, a przede wszystkim dziesiątki interesujących wywiadów (także z osobami bezpośrednio znającymi Rodziewiczównę) i zapisanych relacji. Republika Ściborska stała się miejscem zgromadzenia największych pamiątek po Marii Rodziewiczównie. Prawdziwym sukcesem było odkrycie wiosna zeszłego roku (po 3 latach poszukiwań w poleskich lasach) miejsca po autentycznej chacie leśnych ludzi.

ROZPOCZYNAMY ROK MARII RODZIEWICZÓWNY.

Celem głównym działań jest utworzenie pierwszego w Polsce i na Białorusi (w dawnym majątku Rodziewiczówny w Hruszowej) muzeów poświęconych pisarce.

Miejscem budowy muzeum Marii Rodziewiczówny w Polsce będzie Republika Ściborska – siedziba Harcerskiego Ruchu Ochrony Środowiska im. św. Franciszka z Asyżu na Mazurach. Będzie to wierna replika chaty leśnych ludzi. W Hruszowej (obecnie Gruszewo) powstanie izba pamięci poświęcona pisarce. Docelowym miejscem poleskiej ekspozycji będzie pozostały w ruinach dworu Rodziewiczówny jej osobisty pokój w którym powstała większość prac pisarki. Termin otwarcia muzeum w Republice Ściborskiej planowany jest na koniec sierpnia bieżącego roku.

Do tej pory wszelkie prace związane z powstaniem muzeum są prowadzone społecznie (badania, zakupy eksponatów). Ponieważ sama budowa muzeum wymaga dużych środków – rozpoczęto gromadzenie na ten cel specjalnego społecznego funduszu. W tym celu zostały wyprodukowane cegiełki na budowę muzeum, a na terenie kraju są organizowane prezentacje z których dochód jest przeznaczany na realizację tej zaszczytnej idei.

Ponieważ 3-letnie badania zawierają mnóstwo niezwykłych detektywistycznych przygód, emocjonujących wydarzeń, a czasami są to wręcz dramatyczne albo metafizyczne doświadczenia - dlatego prezentacje cieszą się popularnością zarówno wśród młodego pokolenia, a także osób starszych zakochanych w powieściach Marii Rodziewiczówny albo przedwojennym Polesiu.

Wszak mowa jest o prawdziwym dotknięciu niezwyklej historii. A któż by wcześniej przypuszczał, że można stanąć na miejscu gdzie autentycznie stała chata leśnych ludzi.

Program ramowy obchodów Roku Rodziewiczówny w Republice Ściborskiej.

Maj 2011 – otwarcie wystawy fotograficznej poświęconej 3-letnim badaniom na Białorusi wraz z pierwszą prezentacją wybranych eksponatów. Maj – sierpień 2011 – autorskie prezentacje Dariusza Morsztyna w różnych miejscach na terenie Polski Sierpień 2011 – otwarcie muzeum Marii Rodziewiczówny 2012 rok – wydanie książki

poświęconej pisarce i historii powstania powieści *Lato Leśnych Ludzi*

Potrzebna pomoc – zapraszamy do włączenia się w budowę Muzeum Marii Rodziewiczówny.

Harcerski Ruch Ochrony Środowiska im. św. Franciszka z Asyżu oraz mieszkańcy Republiki Ściborskiej zwracają się o pomoc do osób, instytucji i mediów, które chciałyby pomóc w budowie Muzeum Marii Rodziewiczówny. Jest to praca czysto społeczna, nie komercyjna wykonywana naszymi polskimi rękoma i za nasze polskie pieniądze.

Dariusz Morsztyn

Banie Mazurskie

Pani Redaktor Alina Jaroszewicz

Serdecznie pozdrawiam i gratuluję wspaniale redagowanego kwartalnika *Echa Polesia*. Ja rocznik 1943 ur. w Łunińcu, a następne dwa lata mieszkający w Mikaszewiczach, zdawałoby się nie mający prawa odczuwać tęsknoty do ziem poleskich – a jednak to się stało. Od czasu jak czytam wspomnienia, oglądam ciekawe archiwalne i barwne współczesne zdjęcia w *Echach Polesia* to coś tam zaczyna – „w duszy grać”. Jeszcze raz dziękuję Pani Redaktor. Trochę późno zainteresowałem się moim rodowodem i ziemiami – „skąd nasz ród”. Na początku b.r. otrzymałem od Pana Józefa Adamskiego z Lublina pokazną paczkę z kwartalnikami od 2006 roku. Uważnie czytając je natrafiłem na opracowanie w numerze 4 (12) z 2006r, autorstwa Pana Jerzego Waszkiewicza. Autor opisuje tereny gdzie mieszkali moi dziadkowie – wioska Remel – i tu jest moja prośba. Czy byłaby możliwość skontaktowania się z Panem Jerzym Waszkiewiczem do którego miałbym z kolei prośbę o rozszerzenie tematu i uszczegółowienie zagadnień związanych z życiem i ludźmi zamieszkującymi zwłaszcza wieś Remel, Olpień, Białousza.

Bardzo ciekawym zagadnieniem jest następujący przypadek. Moja babcia z d. Knobelsdorf za sprawą syna przyjechała do Polski z Remla w 1956r. - pamiętam, że mówiła pięknie po polsku i Polką cały czas czuła się (niestety dziadek Antoni Brucko-Stempkowski był sparaliżowany zmarł w Remlu 1954r;). Natomiast z niedalekiej Białouszy k/Stolina w 1937 r. wyemigrował do Brazylii Eufemiusz Brucko-Stempkowski – i tu zagadka – potomkowie Eufemiusza poczuwają się do rosyjskiego pochodzenia. Wnuczka Eufemiusza nawiązała ze mną kontakt – szukając swoich „korzeni”. Próbuję jej trochę wyjaśnić zawilgości losów naszego narodu.

Jeszcze raz za wszystko dziękuję i życzę dalszych sukcesów

Pozdrawiam z Wrocławia

Józef Brucko-Stempkowski
Wrocław

Szanowna Redakcjo!

Dziękuję bardzo za numery „Ech Polesia”, które wysyłacie na mój adres. Materiały zawarte w nich to dokumentalne świadectwo pamięci o tragicznych losach rodzin polskich na Polesiu, zapisane lub opowiedziane przez jeszcze żyjących ludzi, świadków reżimów totalitarnych, zarówno hitlerowskiego, jak i stalinowskiego. „Echa Polesia”, to prawda o życiu i działalności Polaków w przeszłości i w naszych czasach. Jestem bardzo wdzięczny Pani oraz Pani współpracownikom za pielęgnowanie polskości na Polesiu, za postawę patriotyczną, za prawdziwe wnioski i przekonania w artykułach redakcyjnych.

Jeszcze raz dziękuję Pani za czasopisma, jednocześnie czuję się niezręcznie, że jestem dłużny Redakcji i powinienem coś napisać swoim Rodakom, wystać materiały z historii naszych miasteczek kresowych. Odszukałem materiały o swojej rodzinnej Połoneczce. Byłoby dobrze opublikować je za pomocą Redakcji „Ech Polesia”.

A teraz kilka informacji o Połoneczce i o sobie.

Połoneczka to miasteczko o pieszczotliwej i romantycznej nazwie, znane już od XVI w. jako majątek dawnego białoruskiego rodu szlacheckiego Dusieckich-Rudominów. Pod koniec XVII w. wieś stała się własnością Radziwiłłów i tu powstała drewniana rezydencja magnatów. Pod koniec XVIII w. Maciej Radziwiłł (1749-1800) założył kamienny pałac na miejscu drewnianego. Był to utalentowany poeta, kompozytor, działacz społeczny, uczestnik powstania T. Kościuszki 1794 roku.

Połoneczka i jej okolice to nie tylko pałac Radziwiłłów, ale także zabytkowy drewniany kościół św. Jerzego z 1751 r., zrekonstruowany pod koniec XIX stulecia. W tym kościele został ochrzczony naukowiec światowej sławy, podróżnik, bohater narodowy Chile Ignacy Domeyko, pochodzący z sąsiedniej wsi Miedwiadka, bliski przyjaciel Adama Mickiewicza. W tymże kościele na początku lat 50. ubiegłego stulecia zostałem ochrzczony, imię nadał mi na cześć Tadeusza Kościuszki mój ojciec chrzestny, rodzony brat mojej matki, wujek Bronisław, który podczas II wojny światowej został wywieziony do Niemiec do pracy przymusowej, a także do obozu koncentracyjnego „Dachau”. Do tego kościoła po raz pierwszy zaprowadziła mnie matka, kiedy jeszcze nie chodziłem do szkoły. Tu po raz pierwszy usłyszałem tajemnicze słowa liturgii po łacinie pod akompaniament organów, których czarujące dźwięki, bogactwo, wzniosłość i niedoścignioność poruszają mnie dotychczas.

Niedaleko Połoneczki w folwarku Zaosie urodził się Adam Mickiewicz, wybitny poeta polski i demokrat XIX w., przyjaciel A. Puszkina. W okolicach Połoneczki są inne miejsca, związane z A. Mickiewiczem. Do nich należą m.in. jezioro Świtez, „kamień filaretów” we wsi Karczowa, park Tuhanowicze, gdzie Mickiewicz po raz pierwszy zobaczył swoją ukochaną Marylę Wereszczakę i przeżył wielką romantyczną miłość, którą przeniósł przez całe swoje życie,

mimo że los ich rozdzielił. Na tamtej ziemi żyli i tworzyli tacy znani poeci i prozaicy: Jan Czeczot, Tomasz Zan, Edward Odyniec, Wincenty Karatyński, Władysław Syrokomla.

Połoneczka jest sławna nie tylko z powodu wybitnych działaczy nauki i kultury, ale również dzięki tolerancyjnym, szlachetnym, wierzącym i pracowitym ludziom, którzy tu mieszkali i nadal mieszkają na ziemi swoich przodków, dotychczas zachowali swoją szlachetność i wiarę katolicką, mimo ciężkich czasów carskich i sowieckich.

Kocham swoją rodzinną Połoneczkę i jestem dumny, że należę do potomków sławnych ludzi, którzy pochodzą z tej wspaniałej ziemi, wystawionej przez Adama Mickiewicza, tak bardzo tęskniącego za nią na obczyźnie.

Tu się urodziłem i wychowałem, chodziłem do szkoły. Pamiętam nasz chutor, który znajdował się w gaju brzo-zowym, rosły tutaj także krzewy leszczyny i inne drzewa. W tymże gaju obok dworu rosły grzyby i czarne jagody, a rano i wieczorem śpiewały ptaki. Wokół było pole około 3 ha, powstałe dzięki ciężkiej pracy mojego ojca. Pamiętam, jak po wojnie tę skromną własność: ziemię, konia, narzędzia rolne na moich oczach odebrali miejscowi sowieccy



Chutor Połoneczka 1951 r. Rodzice autora Józefa i Kazimierz Jasiewicz z synem Czesławem

przedstawiciele kolektywizacji, a po jakimś czasie wycięli cały gaj brzozy. Widziałem tży w oczach rodziców podczas tej grabieży. Stało się pusto i nieprzytulnie wokół naszego dworu... Pełnomocnicy nowego kołchozowego układu odebrali nam nie tylko środki utrzymania, ale również piękno samej przyrody i nadzieję na nowe lepsze życie.

Moja matka Józefa Jasiewicz z domu Jankowska, ur. w 1909 r. i ojciec Kazimierz Jasiewicz, ur. w 1912 r., przez całe życie ciężko pracowali na ziemi, wychowali nas, czterech synów, którzy po skończeniu szkoły i służby wojskowej wyrwali się z kołchozu i poszli jeden po drugim pracować jako monterzy elektryczni pod koniec lat 50., na początku 60., biorąc udział w powszechnej elektryfikacji obwodu brzeskiego. Rodzice byli osobami skromnymi, pracowitymi, katolikami o dobrym sercu i wierze w duszy, którzy przeżyli najtrudniejsze czasy przedwojenne, wojenne i powojenne. Niestety nie doczekali się lepszej doli. Matka zmarła pod koniec lat 80., a ojciec pod koniec 90.

Po skończeniu w 1959 r. szkoły średniej w Połoneczce, która mieściła się w byłym pałacu Radziwiłłów, pracowałem w miejscowym kołchozie im. Czapajewa. Potem poszedłem w ślady braci, zacząłem pracować jako monter elektryczny urzędu budowlanego w Brześciu. Następnie w latach 1961-1966 studiowałem na wydziale energetycznym Białoruskiej Politechniki w Mińsku. Po ukończeniu pracowałem jako inżynier na przedsiębiorstwie sieci elektrycznych w Berezie obwodu brzeskiego, a w 1973 r. zostałem skierowany do Pińska na analogiczne przedsiębiorstwo. Tak trafiłem z pagórkowatych terenów nowogródzko-mińskiego pasma w kraj bagnisty niziny poleskiej i centrum Polesia – miasto Pińsk, do którego nie przyzwyczaiłem się dotychczas. Dusza rwie się do kraju lat dziecięcych.

Ogromny wpływ na moje wychowanie wywarli rodzice, sąsiedzi z pobliskich chutorów oraz niektórzy nauczyciele, dając przykład uczciwości, pracowitości, życzliwości ludzkiej. W moim rozwoju duchowym, edukacji religijnej oraz świeckiej dużą rolę odegrała moja ciotka Ania (siostra mojej matki), wspierająca mnie również finansowo. Ciotka skończyła 7 klas polskiej szkoły, bardzo dobrze знаła język polski oraz literaturę, zwłaszcza A. Mickiewicza i C.K. Norwida, których utwory umiała na pamięć. Ciotka Ania była gorącą patriotką swojej ojczyzny, kochała twórczość swojego rodaka A. Mickiewicza i wszystko, co z nim związane.

Dzięki opatrności bożej, wrodzonej tolerancji, odziedziczonej po przodkach ze szlacheckiego rodu Jasiewiczów, ciocia Ania poszła służyć do księdza proboszcza Kołosowskiego w Nieświeży, gdzie przez długie lata pracowała jako gospodyni. Następnie pełniła tę samą funkcję u księdza Stanisława Szeplewicza w Makijewszczyźnie koło Darewa rejonu lachowickiego po jego powrocie z łagrów północnych. Wraz z proboszczami służyła Bogu i ludziom, starała się ich nawrócić po oddaniu wierzącym kościołów, zabranych w czasie sowieckiego ateizmu.



Ks. S. Szeplewicz i Anna Jankowska z siostrzeńcem Janem

Po śmierci księdza Szeplewicza ciocia Ania kontynuowała pracę z parafianami, organizowała modlitwy parafian w kaplicy w Makijewszczyźnie. Dzięki jej staraniom został wykonany w Wilnie, przywieziony i postawiony w Darewie na starym cmentarzu katolickim wspaniały nagrobek z granitu. Tak wierni parafianie złożyli hołd księdzu Szeplewiczowi, skromnemu i szlachetnemu kapłanowi, byłemu więźniowi łagrów sowieckich. W ostatnich latach życia ciocia Ania pomagała w pracy młodemu księdzu misjonarzowi ojcu Janowi Glince, w ponownie otwartym po wielu latach zakazów, kościele pw. Zaśnięcia NMP w Darewie.

Ze względu na podeszły wiek cioci oraz stan zdrowia, ojciec Jan Glinka opiekował się ciocią aż do śmierci 18 lipca 1999 r. Pochowano ciocię niedaleko grobu księdza Szeplewicza, któremu służyła. Cześć jej pamięci.

Przy wejściu do kościoła w Darewie postawiono popiersie księdza Stanisława Szeplewicza.

Na tym kończę swój artykuł o pewnych fragmentach z historii Połoneczki, losach moich rodziców i innych członków naszej rodziny.

Minęło już 50 lat, jak wyjechałem z Połoneczki. Co się zmieniło w jej wyglądzie na lepsze? Niestety, bardzo niewiele. Połoneczka już dawno przestała pełnić rolę kulturalnego i administracyjnego centrum całego okręgu. Nie ma już szkoły średniej, a pałac Radziwiłłów, w którym się mieściła, stoi z zabitymi oknami, a budynek wymaga remontu. Zamknięto szpital wiejski, najbliższy znajduje się we wsi Wolne, 7 km stamtąd. Od dawna nie istnieje fabryka, w której kiedyś produkowano sery holenderskie. We wsi bardzo mało młodzieży i prawie nie ma dzieci. Ludność zmniejszała się kilkakrotnie. To bardzo smutne i świadczy o głębokim kryzysie w rozwoju społecznym tych obszarów, w ciągu ostatnich 50 lat. Mimo wszystko jestem dumny ze swojej małej Ojczyzny, i mieszkających tutaj ludzi.

Tadeusz Jasiewicz
Pińsk

Szanowni Państwo,

Dziękuję za ciepłe słowa o „Szkołach mojego życia” Józefa Obłowskiego śp. mojego Ojca. Otrzymane „Moje Telechany...” (stokrotne dzięki) przywróciły z dziecięcej pamięci „exodus” po 17 września 1939 r. odbywany z Urszulankami i b. ambasadorem Konstantym Skirmuntem – panicz Kostiuk – jak nazywali tego doświadczonego dyplomatę miejscowi. Na miejscu ks. Jana Zieji powołanego na kapelana wojskowego był wtedy jako kapelan Urszulanek ks. Stanisław Ryżko. Był z nami również. Gorzkie doświadczenia towarzyszyły tej „wędrownicy” na szczątkach jakiegoś taboru wojskowego, którego nie rozwiązano, bo nie miał kto wydać rozkazu.

„Moje Telechany” to jakby druga strona tego, co przeżywalismy po ogłoszeniu wystuchanej z jakiegoś odbiornika radiowego porażającej wiadomości, że Polski już nie ma! Po krótkiej rodzinnej naradzie – co teraz? – pojechaliśmy na Zachód. Telechany zostały na Wschodzie. Bardzo dziękuję za serdeczny dar.

„Echa Polesia” przybliżył mi ks. Zygmunt Ryżko z Warszawy, brat śp. ks. Stanisława Ryżko znanego z Mołodowa z Polesia. „Echa Polesia” prezentują zasady, ducha i taki patriotyzm, którego ma, ciągle tu brakuje. Dziękuję wszystkim ludziom w Redakcji i współpracownikom, za odkrywanie dla współczesnych oraz utrwalanie dla potomnych, prawdy o czasie i ziemiach, tak bliskich sercu ogromnej rzeszy Polaków.

Z okazji Zmartwychwstania Pańskiego życzę spełnienia i realizacji wszystkich zamierzeń programowych wbrew trudnościom oraz potrzebnych sił i środków do ich przeprowadzenia, pro publico bono i dla osobistej radości ze spełniania tak ważnej misji.

Z serdecznością –

Danuta Świtała ze Szczecina

W kolejnym liście Pani Danuta Świtała m.in. pisze:

[...] Zaskakujący początkowo wydał mi się reprint „Spis kościołów i duchowieństwa diecezji pińskiej” z 1933 r. Potem już nie. Oprócz biogramiku Piusa XI znalazłam dużo nazwisk znanych. Nie tylko osobistości, ale i osobowości. Najbliższe memu sercu to: ks. bp Zygmunt Łoziński, ks. Jan Zieja, bp Bukraba o zaskoczenie następne – bł. Jędrzej Bolebala itd. ks. Jan Zieja (mieszkał wówczas u Urszulanek na Wiślanej, a m. A. Górską zorganizowała mi z nim rozmowę) pokazywał drewniany krzyżyk ofiarowany mu przez bpa Łozińskiego, a stale wiszący nad łóżkiem. A bp Bukraba podpisywał mojemu Ojcu upoważnienie do nauczania religii w początkowych klasach szkoły powszechnej w Mołodowie. Ale to jeszcze nie koniec fascynacji reprintem! [...].

Redakcja „Echa Polesia” dziękuje Pani Danucie za cenną książkę autorstwa Józefa Obłowskiego pt. „Szkoły mojego życia”, w opracowaniu właśnie Pani Danuty – córki autora. Spośród 360 ponad 100 stron cennych opisów odnosi się do Mołodowa.

Żegnaj, Przyjacielu!



9 maja 2011 r. odszedł na Wieczną wartę Edward Gierud – zesłaniec, junak, kombatan, społecznik na rzecz Polonii australijskiej, przyjaciel Polaków na Wschodzie. Urodzony 20 stycznia 1930 r. w osadzie Bakanów niedaleko Baranowicz.

Wywieziony na Sybir 10 lutego 1940 r., potem – Persja, Irak, Palestyna, Junacka Szkoła Mechaniczna w Sarafandzie, potem Egipt. W 1947 ewakuacja do Anglii i 2-letni kontrakt służby w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia. W styczniu 1950 r. przybywa do Sydney. Całe swoje życie w Australii działa w organizacjach polskich, harcerskich, kombatanckich, bierze czynny udział w życiu Kościoła. Był wzorem wielkiego Społecznika. Jego czyny pozostaną na zawsze w serach tysięcy ludzi, którym oddawał swój zapał, wiedzę, zatroskanie, swoje serce. Był człowiekiem niezastąpionym. Wzorem dobrego Człowieka i dobrego Polaka. Mieliśmy zaszczyt i radość z Nim współpracować i Go kochać.

